

**CANDACE SCHULER
KOCHANKOWIE
I NIEZNAJOMI**

scandalous

CANDACE SCHULER
KOCHANKOWIE
I NIEZNAJOMI

scandalous

LOKATORZY BACHELOR ARMS

Ken Amberson - nieco zdziwaczały administrator, który Wie więcej na temat legendy Bachelor Arms, niż się wydaje.

Zeke Blackstone - hollywoodzki reżyser i playboy. Wspólnie z Jackiem i Ethanem zajmował kiedyś mieszkanie 1G.

Eddie Cassidy - barman „U Flynna”, a także scenarzysta, który czeka na swój wielki dzień.

Jill Foyle - seksowna projektantka wnętrz. Świeżo po rozwodzie. Przeniosła się do Los Angeles, aby rozpocząć nowe życie.

Natasza Kuryan - podstarzała *femme fatale*, z pochodzenia Rosjanka. Ongiś charakteryzatorka gwiazd filmowych.

Faith McCray - urocza dziewczyna z Georgii, dorabiająca na chesne jako kelnerka w barze „U Flynna”.

Brenda Muir - młoda entuzjastka. Marzy o karierze aktorki, a na razie pracuje w barze „U Flynna”.

Bobbie-Sue O'Hara - najlepsza przyjaciółka Brendy. Początkująca aktorka. Wie, że prawdziwą władzę ma ten, kto stoi z drugiej strony kamery.

Ethan Roberts - dawny współlokator Zeke'a i Jacka. Ta eks-gwiazda seriali przygotowuje się do swojej największej roli - urzędnika państwowego.

Bob Robinson - ćma barowa. Przesiaduje „U Flynna” dzień i noc. Ma własne zdanie o wszystkim i o wszystkich.

Jack Shannon - cyniczny reporter, który obwinia się o tajemniczą śmierć swojego brata Eryka. Czy miłość uwolni go od wyrzutów sumienia?

Theodore „Teddy” Smith - miejscowy donżuan. Każda świeżo poznana kobieta wywołuje błysk w jego oku.

scandalous

Prolog

Los Angeles, 1970 rok

- Do cholery, Eryk! - wrzasnął Jack, usiłując prze-krzywić głośną muzykę dobiegającą z sąsiedniego pokoju, w którym odbywało się koleżeńskie spotkanie. Zatrzasnął drzwi sypialni i ogłuszający rock nieco przy- cichł. - Mówisz o zaprzedeniu się - ciągnął, usiłując za wszelką cenę zachować spokój - i znalezieniu się w to-warzystwie bogatych snobów. Nie pamiętasz, jak przy- sięgaliśmy sobie, że nie zniżymy się do tego?

- Człowieku, pora wreszcie dorosnąć! Jeszcze ci się płaczą po głowie jakieś studenckie ideały? Poza tym, to nie jest jakiś mydłek z jednego z tych lewicujących szmatławców, do których pisujesz, tylko poważny wy- dawca. Sam Alan Boyd z Regal Productions, kapujesz? On ma kasę, i to dużą. I chciałby w nas zainwestować trochę forsy.

- A w zamian mamy przykroić scenariusz pod jego dyktando, tak?

- W zamian mamy przerobić go tak, żeby się lepiej sprzedał! Jack, co się z tobą dzieje? Na taką chwilę cze- kaliśmy całe życie. Teraz wreszcie mamy cholerną szan-

sę i trzeba ją łapać! Stary, wyobraź sobie, pieniądze, sława, babki! - Eryk otoczył ramieniem plecy młodszego brata. - Pomyśl o tym, Jack - powiedział łagodniej. - Pomyśl o tych wszystkich luksusowych laleczkach, które będziemy mieli na zawołanie, kiedy staniemy się słynnymi scenarzystami Hollywoodu. Na każdy dzień tygodnia inną-rozmarzył się. -I dom. Odlotowa chałupa w jednym z tych kanionów, tylko dla mnie i dla ciebie, tak jak zawsze planowaliśmy. I oczywiście samochody. Pomyśl, chłopie, będziesz wreszcie mógł dać na złom tego rżęcha garbusa i sprawić sobie porządny wóz. Zawsze marzyłeś o czarnej corvette. - Przerwał, by pociągnąć skręta, którego trzymał pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym lewej ręki. Z rozkoszą wciągnął w płuca słodkawy dym. - Sztachniesz się może? - zaproponował.

Jack skrzywił się i zaczął machać ręką, by rozwiać dym, którego nie miał ochoty wdychać. Chciał zachować jasność umysłu i trzeźwość sądów.

- Rozumiem cię, bracie - stwierdził wyrozumiale Eryk, wypuszczając dym. - To śmierdzące bagno, wiem. - Uśmiechnął się krzywo.. - Ale po co się przejmować? Ważne, że wreszcie wyjdziemy na swoje. Człowieku, ale będziemy żyli! Ty i ja, braciszku, razem, tak jak sobie marzyliśmy, kiedy jako kompletne szczeniaki chowaliśmy się do piwnicy przed wujkiem Mickiem. A teraz wystarczy tylko kiwnąć palcem - obrazowo wyciągnął rękę z rozstawionymi palcami - żeby to wszystko mieć -dokończył, zaciskając pięść.

- Nie, nie wystarczy tylko kiwnąć palcem - powie-

dział chłodno Jack. - Chciałabym, żeby tak było, ale nie będzie. Nie licz na mnie, stary. Nie sprzedam się. Nie mogę.

- Jack, ty idioto! - wybuchnął Eryk. Zniknął gdzieś zatroskany o wspólny los starszy brat, a pozostał wściekły, chorobliwie ambitny młody człowiek, któremu wielka szansa wymyka się z rąk, - Co za cholerny sztywniak z ciebie! Przecież to tylko parę słów na papierze, a nie wiekopomny napis ryty na kamieniu.

- W porządku, wcale nie zaprzeczam - zgodził się Jack. -I nawet byłbym skłonny przerobić fabułę, gdyby scenariusz miał na tym zyskać. Ale zmiany, które proponuje Boyd, zrobiłyby z niego jeszcze jeden klajstrowaty, głupi kicz, jakich teraz...

- Klajstrowaty, głupi, ale kasowy - przerwał mu Eryk. - Na filmy Alana Boyda publika wali drzwiami i oknami.

- O takim sukcesie marzysz, braciszku? - skrzywił się Jack.

- A niby o jakim? Ja myślę trzeźwo, człowieku. Gdybyś miał rozum, posłuchałbyś mnie.

- Nie - odpowiedział uparcie Jack.

- Dobra, łaski bez! - Eryk zaciągnął się po raz ostatni i wściekle zdusił skręta w popielniczce. - Poradzę sobie bez ciebie.

- Nie poradzisz sobie.

- Coś ty powiedział, braciszku? - Eryk naparł na niego groźnie. Obaj byli wysocy, ale starszy, o ciężkiej, masywnej budowie, górował nad smukłym osiemnastolatkiem.

- Zostaw mnie, Eryk! - ostrzegł Jack.
- Ten scenariusz jest tak samo mój jak twój, pamiętaj o tym. - Brat znacząco postukał palcem w jego pierś. - I mogę z nim zrobić, co mi się żywnie podoba.,
- Nie, mój drogi, nie możesz. - Jack wciąż za wszelką cenę usiłował zachować spokój. - A teraz zostaw mnie, proszę.

Eryk zignorował prośbę.

- A dlaczegoż to uważasz, że nie mogę? - wycedził.
- Dobrze znam Alana Boyda, a on nigdy nawet o tobie nie słyszał. - Znów prowokacyjnie trącił brata. - No, i dlaczego według ciebie nie mógłbym zrobić tych poprawek? - Jeszcze jedno pchnięcie. - Gadaj!

Jack chwycił go za przeguby i odepchnął od siebie.

- Bo nie masz za grosz talentu! - wypalił, doprowadzony do ostateczności. - I obaj dobrze o tym wiemy
- dodał, patrząc bratu prosto w oczy. - Brakuje ci pomysłów, potrafisz tylko wypełniać moje fabuły słowną watą dialogów.

Rozdział

1

- Od kiedy to zatrudniasz licealistki do podawania drinków?

Eddie Cassidy na moment przestał wycierać kieliszek.

- Słucham? - zwrócił się zdziwiony do samotnego mężczyzny przy barze.

Jack Shannon ruchem głowy pokazał na obraz odbijający się w długim lustrze za plecami barmana.

- Wygląda najwyżej na osiemnastkę - ocenił, wydmuchując obłoczek dymu. - No, jak się uprzesz, mogę dorzucić rok.

Eddie nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, o kim mowa.

- W ankiecie napisała, że ma dwadzieścia cztery - wyjaśnił, wprawnym ruchem dostawiając pięknie wytarty kieliszek do rządka innych.

Jack spokojnie dopalił drugiego z dziennej dawki trzech papierosów, na które w tym tygodniu sobie pozwalał.

- Poprosiłeś ją o prawo jazdy? - zapytał, cały czas

pilnie obserwując scenę rozgrywającą się w lustrze. Może dziewczyna rzeczywiście nie była tak młoda, jak myślał, ale z pewnością brakowało jej doświadczenia. - Nasz stary, poczciwy Theodore już się do niej dobiera - powiedział, patrząc, jak pierwszy podrywacz wśród bywalców baru „U Flynna” czule ściska dłoń kelnerki. - Wcale jej się to nie podoba, ale nie wie, biedula, jak się odciąć.

- Aha. - Eddie zerknął mu przez ramię, by ocenić sytuację. - Niech tam, dam jej szansę, musi sama nauczyć się, jak sobie radzić. - Kącik jego ust podjechał do góry w komicznym grymasie. - Kim uważa, że powinienem panować nad swoim kompleksem Galahada .

- Kompleks Galahada? - Jack wyraził zdziwienie uniesieniem brwi.

- Niestety, kobiety nie cenią już dzisiaj szlachetnych mężczyzn, którzy spieszą im na ratunek. - W głosie Eddiego brzmiała skryta nuta urażonej męskiej dumy.

Jack zrobił umiarkowanie współczującą minę i umoczył usta w piwie. Mówiono o Eddim, że nie radzi sobie z dzisiejszymi, wyzwolonymi, zainteresowanymi karierą kobietami, ale komu idzie z nimi łątko? Sam wolał nie poruszać tego drażliwego tematu, gdyż obiektem jego westchnień była pewna wyemancypowana mężatka. Odstawił opróżnioną do połowy szklanekę pilsnera na bar i automatycznym ruchem sięgnął po papierosy.

- A co z twoim scenariuszem?

* W legendzie o królu Arturze sir Galahad był jednym z najszlachetniejszych rycerzy Okrągłego Stołu - przyp. tłum.

Barman wzruszył ramionami, z zawodowym spokojem przyjmując nagłą zmianę tematu.

- Chcą, żebym znowu go przerobił. Jeśli bohaterka będzie bardziej krwista, może Meg Ryan da się skusić na rolę.

- To brzmi zachęcająco — skomentował Jack, z roztargnieniem grzebiąc w paczce i zastanawiając się, -czy powinien zostawić sobie tego ostatniego papierosa na później, kiedy będzie go naprawdę potrzebował, czy poddać się i wypalić go teraz.

Eddie znów wzruszył ramionami i postawił na barze kolejny lśniący, kieliszek.

- Dokładnie trzy miesiące temu uważali, że babski charakter jest za mocny, więc musiałem dosłodzić jej dialogi - wyznał. - Rozumiesz, miała być mniej ostra.

Jack rozumiał doskonale.

- Zabawa bez końca - orzekł z mądrą miną.

To było dawno, ale pamiętał ten sprzeciw, kiedy wiele razy przemyślane, wyczelowane zdania kazano mu ciąć i podlewać komercyjnym sosem, bo takie było widziwić się jakiegoś nadętego prasowego szefa, który gardził intelektualnymi subtelnosciami. Wzdychając i zastanawiając się, czy dzisiaj zareagowałby inaczej, sięgnął po trzeciego i ostatniego papierosa. Kiedy pochylił głowę nad płomieniem zapałki, którą podsunął mu Eddie, przypomniał sobie o lustrze. Obraz, jaki zobaczył, skwitował mocnym, głębokim zaciągnięciem się i śledził go dalej, marszcząc brwi.

- I co, będziesz, na to pozwalał? - rzucił, bardziej zirytowany faktem, że się przejmuje, niż samą sceną.

W końcu, z jakiej racji miałyby się przej mować jakąś niewypierzoną ślicznotką, która koniecznie chce być kelnerką, a nie potrafi sobie poradzić z najprostszymi zaczepkami w barze?

- Nie bój się, mam na nich oko. - Eddie starannie odłożył zapałkę do popielniczki. - Theodore jeszcze się nie rozkręcił. I raczej mu to nie grozi. Jeśli bardzo się martwisz - skinał głową, by pozdrowić trójkę biznesmenów, sadowiących się przy drugim końcu baru - nie krępuj się, załatw to dla niej. Kto wie - pokiwał głową z miną znawcy życia, sięgając po kieliszki dla nowych gości-może ona to doceni.

- Tak, na pewno. - Skrzywił się sceptycznie Jack, ale barman już odszedł. Nie miał najmniejszego zamiaru angażować się w cokolwiek. O, nie, drogi panie. Tylko nie to. Jeśli panienska nie wie, jak poradzić sobie z namolnymi Smithami, nie ma co startować jako kelnerka. Zresztą i tak nie przyszyłoby jej do głowy, by mu podziękować. Eddie miał rację - kobiety nie potrzebują już szlachetnych rycerzy, którzy broniliby ich czci. Albo przynajmniej tak im się wydaje.

Mimo to nadal nie spuszczał baczego wzroku z lustra. Minę miał poważną, a oczy czujnie zmrużone. Nie raz widział już z pozoru niewinne sytuacje, które nagle zmieniały się w bardzo niemiłe. Lekceważony facet w ułamku sekundy mógł stać się niebezpieczny; kobieta, przyparta do muru, zaczynała się desperacko bronić, zębami i pazurami. Znał te sceny z różnych miejsc, gdzie pobierał naukę życia. I teraz, patrząc poprzez dym z papierosa, okiem znawcy ocenił, że tych dwoje potrafi

w końcu rozegrać całą sprawę bezboleśnie. Theodore Smith nie miał w sobie ikry. Jack osądził, że zbliża się do czterdziestki, ale usiłuje wyglądać młodziej. Choć i tak prezentował się całkiem niezłe - wysoki, szczupły, ostrzyżony u dobrego fryzjera, ze starannie utrzymanym wąsikiem, znał się na modzie tak, że zawstydziłby niejedną kobietę. Dyskretny rzucik na niebieskim krawacie współgrał z kraciastą sportową marynarką, o ton jaśniejszym odcieniem koszuli i wzorkiem na skarpetkach. Taki facet, ocenił Jack, nie będzie ryzykował, że doprowadzona do ostateczności kobieta zacznie go przy wszystkich szarpać za klapy.

Tak, kobieta, zdecydował, mrużąc oczy w obłoku dymu. Nie była aż tak młodziutka, jak mu się z początku wydawało. Ale otaczała ją aura dziwnej, niemal staroświeckiej niewinności. Jack, obserwował ją chłodnym, badawczym okiem reportera, usiłując zrozumieć, co sprawiało, że kojarzyła się z pensjonarką, nawet w takim miejscu jak bar.

Włosy - długie do ramion, lekko falujące, o rudokasztanowym odcieniu, który z pewnością był naturalny. Podtrzymywały je dwa proste grzebienie, odsłaniając łagodny owal twarzy. Jedynymi śladami makijażu, jakie wypatrzył, była jasna, różowawa szminka na wargach, i cień tuszu na rzęsach. Ubrana była w taki sam uniform jak inne kelnerki Flynna, a jej kształty całkiem przyjemnie go wypełniały. A jednak wąska czarna spódniczka, obcisła satynowa kamizelka, biała marszczona bluzka oraz dyskretna czerwona muszka, które innym kelnerkom nadawały seksowny i oficjalny zarazem wygląd,

w przypadku dziewczyny podkreślały jedynie jej skromność i prowincjonalność.

Jack niedostrzegalnie wzruszył ramionami, zastanawiając się, czemu stary, zmanierowany podrywacz, Theodore Smith, zainteresował się tą chodzącą niewinnością. Nagle zeszywniał, a potem zaklął po cichu, widząc Jak ręka Theodore'a zbłądziła na łagodną krągłość kobiecego biodra.

- Kobieto, pchnij na niego ten kieliszek - szepnął, zaciskając palce. - Wino ostudzi jego zapędy.

Ale młoda kobieta nie zrobiła nic takiego, tylko z męczeńskim uśmiechem pokręciła głową, nieśmiało sprzeciwiając się czemuś, co powiedział do niej Theodore. Jego ręka pozostała na biodrze kelnerki i najwyraźniej nie zamierzał jej wycofać. Jack dostrzegł, że kobieta rozpaczliwie zerknęła w kierunku baru. Eddie, zajęty mieszaniem trunków, właśnie odwrócił wzrok. Jack czekał jeszcze, mając nadzieję, że barman jednak zareaguje, uwalniając go od konieczności interwencji. Tymczasem dłoń Theodore'a zdążyła już poklepać kształtną pupę. Jack zaklął jeszcze dosadniej. W przeciwieństwie do Eddiego dawno już uporał się ze swoim kompleksem Galahada. Po paru bolesnych kopniakach, jakie dostał od życia, nauczył się, że nie należy wsadzać nosa w prywatne sprawy innych ludzi.

Ale co by na jego miejscu zrobił facet, który czuje się mężczyzną?

Z pełnym rezygnacji westchnieniem po raz ostatni zaciągnął się papierosem, wolno zdusił go w popielniczce i zsunąwszy się z wysokiego stołka, ruszył w stronę tych dwojga.

- Czy mogłaby mi pani podać przy barze porcję *nachos* i piwo? - zagadnął z miłym uśmiechem, przeznaczonym dla podrywanej przez Theodore'a kobiety. Dla niego zaś miał wyzywające, twarde spojrzenie, które mówiło jednoznacznie: Chłopie, zabieraj od niej te łapy, i to już!

Smith posłuchał natychmiast. Puścił zdobycz tak szybko, że zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymały jej ramiona Jacka.

- Och... bardzo przepraszam... ja... - wyszeptała, tchnąc ciepłym oddechem na jego szyję.

- W porządku, aniołku - powiedział uspokajającym tonem.

Była ciepła, miękka i delikatna. Jej włosy pachniały słodko i niewinnie, jak u dziecka. Nagle poczuł się stary, choć skończył czterdzieści trzy lata, a także wyjątkowo opiekuńczy. Najchętniej uniósłby ją w ramionach, daleko od tego miejsca, gdzie życie niepotrzebnie ją doświadczało.

- Wszystko w porządku, aniołku - powtórzył, niemal muskając wargami jej włosy. - Nie myśl już o tym. - Przygarnął ją mocniej, nawet nie zdając sobie sprawy, że to robi.

- Och, proszę... - Odgięła się do tyłu i wparła mu dłoń w pierś.

Ich oczy spotkały się. Już nie w lustrze, a blisko, bardzo blisko. Teraz zobaczył, że są orzechowe, z delikatnymi przebłyskami złota. Wielkie, ocienione gęstymi ciemnymi rzęsami, królowały w drobnej, owalnej twarzy. I tak jak u dziecka, łatwo było odczytać z nich wszelkie odczucia.

Była zakłopotana, lekko przestraszona i... zła. Zła na niego.

Jack osłupiał. Jak to, przecież w klasycznym stylu wybawił ją z opresji, jak rycerz na białym koniu, a dna odwdzięcza mu się spojrzeniem ostrym jak sztylet?

- Proszę - powtórzyła, tym razem z większym naciskiem. Teraz zauważył lekki akcent z Południa. I nutę desperacji. - Muszę iść. Przecież pan coś zamówił. Proszę mnie puścić! - Naparła mocniej.

Jack cofnął ręce, jakby nagle zaczęła go parzyć. Dziewczyna spiorunowała go wzrokiem i pobiegła w stronę baru.

Wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni załomotały, pchnięte z niespotykanym impetem. Faith cisnęła swoją kelnerską tacą o ladę, a potem dopiero rozejrzała się spłoszona w obawie, że ktoś mógł być świadkiem tego pokazu charakteru. Na szczęście pomieszczenie było puste. Spojrzała na ścienny zegar i z ulgą stwierdziła, że jest dopiero wpół do piątej. Potrzebowała tych kilku minut, by opanować emocje.

Oparta o blat kuchennego stołu głęboko wciągała powietrze i powoli je wydychała, stopniowo odzyskując kontrolę nad sobą. Fatalnie się stało, że Theodore Smith uznał ją za łatwy łup. A jeszcze gorzej, że pozwoliła mu pozostać w tym przekonaniu. Najgorzej zaś, że ten drugi facet, którego wcześniej tu nie widziała, obserwował całą jej wpadkę w lustrze. W jego oczach dostrzegła to, czego nie cierpiała: dezaprobatę dla jej niezdecydowania i tchórzostwa oraz litość. A przecież nie powinna być na

niego wściekła. W końcu zachował się jak prawdziwy dżentelmen, tak jak powinien w tej sytuacji zachować się mężczyzna.

Powinna być raczej wściekła na Theodore'a Smitha. I na siebie, oczywiście.

Była na siebie zła, to fakt, ale nade wszystko nienawidziła tego wyrazu w oczach mężczyzny! Spojrzenia, które redukowało ją do roli biernej, bezsilnej ofiary. Miała ochotę krzyknąć. Och, jak można być taką kompletną idiotką! Jak można...

- Faith? Faith, kochana, co się stało?

Faith drgnęła i wyprostowała się, odruchowo chwytając tacę.

- Och, to ty, Bobbie-Sue. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Przyszłaś wcześniej;

- Tylko kilka minut. Byłam ciekawa, jak wypadł twój debiut w piątkowy wieczór.

i- Dziękuję, jakoś sobie radzę. Nawet całkiem nieźle.

- Usiłowała powiedzieć to beztroskim i lekkim tonem, lecz przeczył mu gest kurczowego przyciskania tacy do piersi, jak tarczy.

- Właśnie widzę - mruknęła sceptycznie Bobbie-Sue,

- Powiedz wreszcie, co się stało?

- Nic, naprawdę. - Faith nadal ścisnęła tacę.

I tak ci nie wierzę, Faith McCray. - Miękki południowy akcent Bobbie-Sue O'Hara świetnie podkreślał jej niecierpliwość i zaciekawienie. - To nie może być „nic”. Przecież widzę, co się z tobą dzieje. - Położyła dłoń na zaciśniętych palcach koleżanki. - No, powiedz, co się stało.

Faith westchnęła tylko w odpowiedzi. Gdyby ktoś próbował takich zaczepek wobec Bobbie-Sue, natychmiast osadziłaby go w miejscu kpiącym śmiechem albo lodowatym spojrzeniem. Krótko, szybko, żadnych rozchwianych emocji, żadnych scen, których trzeba by się wstydzić. Tak, ale Bobbie-Sue była piękna, bystra i pewna siebie.

Była taka już w szkole średniej, w Pine Hollow, w Georgii. Błyszczała tam na wszystkich paradach, udzielała się w samorządzie uczniowskim i w kółku teatralnym. Przy tym, co się raczej rzadko zdarza takim ślicznotkom z Południa, była zdolna. W ostatniej klasie zgodnie uznano ją za Dziewczynę Szkoły, zaś drużyna futbolową obrała ją za swoją maskotkę. Dla Faith, która była wobec siebie aż za bardzo krytyczna, śliczna i podziwiana koleżanka stała się niedościgłym wzorem. Nigdy nie mogła się nadziwić, jakim cudem ona, szara mysz, została jej przyjaciółką, a przyjaźń przetrwała późniejsze, trudne lata.

- Może chcesz, żebym poszła na salę i wylała wino na łeb jakiegoś buca? - zaproponowała domyślnie Bobbie-Sue.

Faith nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie, nie trzeba - powiedziała, podchodząc do lodówki, by naszykować meksykańskie placuszki, o które prosił klient. - Najwyższy czas, żebym zaczęła sobie sama radzić - stwierdziła.

- I tak trzymać - podsumowała przyjaciółka, zerkając dyskretnie przez drzwi na salę. - Powiedz mi, który to? • - zapytała. - Wsadzę mu szpilę z wielką przyjemno-

ścią. A, już widzę! - Wycofała się. - Przyznam, że tego się po nim nie spodziewałam.

- Nie spodziewałaś się? - zdziwiła się Faith, nakładając na placek zamrożoną fasolkę.

- Nie wyglądał mi na faceta, któremu kleją się łapy - wyjaśniła Bobbie-Sue, obserwując, jak Faith sprawnymi, szybkimi ruchami przyprawia danie. - Myślałam, że ma klasę.

- Przecież sama ostrzegałaś mnie przed nim, nie pamiętasz?

Ale Bobbie-Sue pokręciła głową.

- Nie wiem aż tyle o Jacku Shannonie, by móc kogoś przed nim ostrzegać. Wiem tylko, że mieszka w Bachelor Arms od półtora miesiąca i raczej nie jest towarzyski. Oczywiście, krąży o nim tysiąc plotek, ale nikt nie wie niczego na pewno, a Amberson, wiesz, ten administrator, nabrał wody w usta, jak to on. W każdym razie, pewne jest tylko to, że Shannon był dziennikarzem. Chyba nawet korespondentem wojennym.

- Plotki? Jakie? - Faith dopytywała się, choć gardziła plotkami i plotkującymi.

- No więc, Natasza Kuryan, wiesz, ta starsza pani, która po twoim przyjeździe poczęstowała nas herbatą i ciasteczkami migdałowymi...

Faith skinęła głową, zajęta posypywaniem placków tartym serem.

- Natasza Kuryan mieszka w Bachelor Arms od czasu wojny albo i jeszcze dawniej - ciągnęła Bobbie-Sue. - Ona właśnie mówiła, że Jack Shannon mieszkał tu już wcześniej, przed laty. Razem z bratem i innymi chłop-

kami wynajmowali na spółkę 1G. - Zniżyła głos dla lepszego efektu. - Teraz Shannon mieszka w tym samym apartamencie!

- I co z tego?

- To, że jego brat zginął w czasie jakiejś wariackiej imprezy w Bachelor Arms - wyszeptała dramatycznie Bobbie-Sue. - Spadł z balkonu mieszkania 1G.

- Och, to straszne!

- Zaraz będzie jeszcze gorsze. Wyobraź sobie, że to nie był wypadek!

- Chcesz powiedzieć, że... - spojrzenie Faith odruchowo powędrowało ku drzwiom na salę - chcesz powiedzieć, że ten Shannon wypchnął brata?!

- Nie, niezupełnie. To znaczy, nikt bezpośrednio nie oskarżył go, że dosłownie wypchnął Eryka przez poręcz. Oficjalnie mówiono o samobójstwie. Słyszałam jednak, że bracia nie żyli ze sobą dobrze. Kilku świadków mówiło, że tego wieczoru ostro się pokłócili.

- O co się kłócili?

- A kto ich tam wie? W każdym razie, Jack zniknął, kiedy tylko zamknięto śledztwo i podobno nie pojawił się nawet na pogrzebie. A teraz nagle wrócił. Pyszna historia, co? - Jakby dla podkreślenia tych słów Bobbie-Sue łakomie uszczknęła sera z pojemnika.

- Na pewno bardzo smutna. To straszne, gdy człowiek popełnia samobójstwo.

- Owszem, ale tamto zdarzyło się już tak dawno. - Bobbie-Sue wzruszyła ramionami. Jej pogodna natura nie znosiła smutku. - Najciekawsze jest to, co się dzieje teraz.

- W jakim sensie?

- No jak to? Facet wraca na miejsce tajemniczej zbrodni, o której prawdę zna jedynie on. Co robił przez ten czas? Dlaczego wrócił? Wyrzuty sumienia? Chęć zemsty? Czy przyjechał, by odpokutować za ten straszny postępek, czy po to, by ścigać mordercę brata?

- Mordercę? Mówiłaś, że uznano to za samobójstwo.

- Och, licencja poetycka - beztrzesko przyznała Bobbie-Sue. - W każdym razie mówię ci; że z tego byłby świetny film.

- Oczywiście z tobą jako reżyserem, jak się domyślałam - uśmiechnęła się Faith.

- Oczywiście. A Jack Shannon grałby samego siebie. Świetnie nadaje się do roli twardziela, nie uważasz? - Zmrużyła oczy, najwidoczniej wyobrażając sobie ujęcia. - Seksowny, przystojny facet, trochę zniszczony życiem, któremu szkoda czasu na gadanie. Tajemniczy, samotny i zamknięty w sobie, tak że do samego końca nie jesteś pewna, czy jest to bohater pozytywny, czy nie. Jak któryś z tych typów, jakich grywał Bogart, tylko przystojniejszy. Gwarantuję, że zostałby ulubieńcem bab. One szaleją za takimi facetami.

- Serio?

- Chcesz powiedzieć, że mieszkając w Bachelor już od tygodnia, nie zdażyłaś jeszcze zauważyć, że każda stara się choćby o niego otrzeć w korytarzu?

Faith pokręciła głową.

- No to uwierz mi na słowo, że na niego lecą. Ale poza jedną Jill Foyle, nie mają szczęścia. On się trzyma z boku.

- Jill Foyle? - Faith wyrwało się to pytanie wbrew woli. Jack Shannon był przecież dla niej kimś zupełnie obcym i nie powinna słuchać plotek o jego prywatnym życiu. W ogóle nie powinna słuchać paplania Bobbie-Sue.

- Tak, ta rozwódka spod 2B. Nie pamiętasz, jak zaczęła nas, kiedy wchodiliśmy z zakupami? Blondynka w stylu Lindy Evans, z akcentem z Nowej Anglii.

- Ach, teraz sobie przypominam. - Faith dałaby wiele, by wyglądać tak jak Jill Foyle - opalona, sprężysta, seksowna złotowłosa piękność, typowa ozdoba kalifornijskich plaż. - Jest dekokatorką wewnątrz, tak?

- Architektką wewnątrz - poprawiła Bobbie-Sue.

- Co za różnica?

- Nie wiem, ale podobno jest. - Bobbie-Sue wzruszyła ramionami i uszczknęła oliwkę z potrawy. - Chciałabym wreszcie dowiedzieć się, co on zrobił?

- Kto?

- No jak to, kto? Pan Wysoki, Ciemny i Niebezpieczny. Czym cię tak zdenerwował? Tylko nie mów mi, proszę, że po prostu chwycił cię za pośladek, bo będę musiała przyznać, że kompletnie nie znam się na facetach!

Faith odwróciła się do przyjaciółki.

- Już ci mówiłam, on nic nie zrobił. - Włożyła danie do kuchenki mikrofalowej. - To był pan Smith.

- Teddy? - Duże niebieskie oczy Bobbie-Sue zakrężyły się z niedowierzania. - I ty pozwoliłaś, żeby Teddy cię zaczepiał?

- Mówiłaś mi, że to babiarz.

- O rany, dziewczyno. - Przyjaciółka bezradnie rozłożyła ręce. - Przecież tacy faceci są nieszkodliwi. Każda dziewczyna to wie.

- Ale on...

- Wiem, położył łapę tam, gdzie nie trzeba. Zaręczam ci, kochana, że gdybyś zrobiła odpowiednią minę, w życiu by się nie ośmielił.

- Jaką minę?

- Minę wkurzonej nauczycielki szkółki niedzielnej.

Faith zmarszczyła brwi, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

- Dobrze, widzę, że wymagasz gruntownego szkolenia - stwierdziła Bobbie-Sue. - Dziś wieczorem staniesz przed lustrem i zaczniemy kurs.

- Kurs czego?

- Kurs robienia min, które mówiłyby facetowi, że zachował się jak idiota. O, na przykład „obrażona”. - Uniosła podbródek i spojrzała wyniośle. - Albo „urazona”. - Dolna warga zaezęła jej lekko drżeć. - I „wściekła”. - Oczy zwięziły się groźnie. - To na początek, dla wprawki.

Faith nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? - zapytała z podziwem.

- Każda baba ma to we krwi, tylko musi poćwiczyć - zapewniła ją przyjaciółka.

Faith czujnie zerknęła za drzwi kuchni.

- Czy- mogłabyś nauczyć mnie paru najpotrzebniejszych min już teraz? - zapytała z przejęciem.

- Hmm... - Bobbie-Sue zawahała się, ale przekona-

ło ją pełne nadziei spojrzenie przyjaciółki. - Dobrze, zrobimy szybką lekcję, ale naprawdę tylko podstawy; żebyś jakoś przetrwała dzisiejszy dyżur.

Podeszła do Faith, ujęła ją za ramiona i odwróciła twarzą ku lśniącej powierzchni dużej mikrofalowej kuchenki. Obie odbijały się tam wyraźnie.

- Dobra, wyprostuj się i cofnij ramiona. - Bobbie-Sue była poważna i skupiona jak prawdziwy nauczyciel. - Przypomnij sobie, jaką minę robiła pani Griffen z naszej czytelnicy, kiedy ktoś chciał wypożyczyć książkę, którą uważała za nieprzyzwoitą. O, tak! Jeszcze trochę unieś podbródek. W porządku, a teraz odrobinę opuść powieki i powoli przekrzyw głowę. - Zademonstrowała, o co jej chodzi. - Za łagodnie! Spróbuj wyglądać tak, jakbyś zauważyła świeżą psią kupę na parkiecie podczas wytwornego przyjęcia, ale była zbyt dobrze wychowana, by głośno zwrócić na to uwagę gospodyni.

Faith parsknęła śmiechem.

- Nie śmiać się, kursantka - ofuknęła ją z udawaną powagą Bobbie-Sue. - To jest poważna sprawa. I nie marszcz tak nosa. Jeszcze nie wachasz tego gówieiiika, tylko wyobrażasz sobie, jak by śmierdziało. No, próbuj!

Faith pilnie starała się powtórzyć wyczyny mistrzyni i była dumna, gdy Bobbie-Sue poklepała ją po ramieniu.

- Bardzo dobrze, staruszko. Naturalnie ci to wychodzi - pochwaliła. - Możesz spokojnie iść na salę.

- Naprawdę? - nie dowierzała Faith.

- Jasne. A jeśli mina nie pomoże, pamiętaj, że zawsze możesz udać, że niechcący wylałaś wino na gościa. Albo łupnąć go w głowę tacą. Okay?

- Okay. - Faith wyjęła gorące *nachos* na talerz, ułożyła na tacy serwetki, sztućce, postawiła szklankę i butelkę wychłodzonego piwa. Zręcznie uniosła tacę na dłoni i ruszyła ku drzwiom.

- Pamiętaj: mina panny Chiffen, a w gorszych przypadkach patrz na gościa jak na psią kupę - przypomniała jej Bobbie-Sue, przytrzymując drzwiczki.

Faith uśmiechnęła się blado i wkroczyła na salę jak na arenę. Pierwszym klientem, z jakim miała się zmierzyć, był ten sam, który zdążył już poznać ją jako beznadziejnego tchórza.

scandalous

Rozdział

2

Jack zaklął dosadnie pod nosem i wyrwawszy kartkę z maszyny do pisania, zmiażdżył ją w kulę i cisnął w róg pokoju. Odbiła się i dołączyła do podobnych piguł zasłaniających podłogę,

- Cholerny scenariusz - mruknął z pasją i obrzydzeniem, po czym sięgnął po paczkę papierosów, leżącą na stosie papierów. Była pusta. Znów zaklął, zgniótł pudełko i cisnął nim o ścianę. Tygodniowa dawka papierosów dawno już została przekroczona, a nie dalej jak wczoraj otworzył świeżą paczkę. Jak tak dalej pójdzie, wykończę się na raka płuc, zanim wyduszę z siebie ten scenariusz, pomyślał.

Nagle wstał, z łomotem odpychając krzesło i przeszedł do maleńkiej kuchenki, żeby zaparzyć sobie kawę. Wobec braku nikotyny proces twórczy mogła wspomóc już tylko kofeina. Zbiornik ekspresu był pusty, a fusy nie nadawały się do kolejnego parzenia. Z irytacją wyciągnął filtr i cisnął go do przepełnionego kubła na śmieci. W samą porę przypomniał sobie, że powinien mieć jesz-

cze resztkę prawdziwej arabskiej kawy, którą kupił w małym wschodnim sklepiku. Rzucił się do szafki. Na szczęście było jeszcze trochę w torebce. Nastawił ekspres.

Przez chwilę stał, opierając się o blat, aż w jego głowie coraz natrętniej zaczęła kształtować się myśl, że warto by przejrzeć niedopałki w popielniczce, ponieważ jednego papierosa wypalił tylko dó połowy. Przecież potrzebował tylko jednego czy dwóch głupich dymków. Naglony impulsem, ruszył do pokoju. Już pierwszy rzut oka na zawartość przepełnionej popielniczki upewnił go, że musiały bardzo się napracować, by uzdatnić którykolwiek z petów wypalonych aż do filtra. Tym mógłby się pohażać tylko beznadziejnie uzależniony palacz. Tak nisko jednak nie upadł. Jeszcze...

Wściekle poświstując przez zęby, wbił ręce w kieszenie dżinsów i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, niczym tygrys w klatce. Wreszcie podszedł do jednego z wysokich łukowych okien, przysiadł na parapecie i z braku lepszej rozrywki zaczął wyglądać na ulicę.

Dwadzieścia pięć lat temu, w sierpniową, gorącą noc, jego starszy brat Eryk wyskoczył z balkonu, kończąc swoje dwudziestopięcioletnie życie. Jack na zawsze zapamiętał widok martwego ciała leżącego na betonie. I nigdy nie zapomniał o swoim udziale w tym, co stało się tamtej strasznej nocy. Być może, gdyby zachował się inaczej, brat żyłby jeszcze.

Z westchnieniem oparł czoło o ramę. Podobno Bachelor Arms wzniesiono przed laty jako luksusową rezydencję. Nawet liczne przebudowy nie zdołały do końca zni-

weczyć jej staroświeckiego uroku. W zasadzie zbudowano ją w stylu hiszpańskim, w którym dominowały łuki, małe balkoniki i kute, ozdobne balustrady. Z kolei wyblakły różowy odcień ścian i równie wyblakły turkusowy fryz nad ostatnim piętrem należały wyraźnie do *art deco*. Do tego dochodziła jeszcze mauretańska wieżyczka. Własną, odmienną atmosferę miał hol, gdzie pyszniły się wspaniałe hibiskusy i inne kwitnące, tropikalne rośliny.

Jak łatwo można dać się omamić sennemu urokowi tego miejsca, pomyślał Jack. Zapomnieć o powikłanych, często tragicznych historiach, jakie się tu rozgrywały. Niektórzy mówili, że nad Bachelor Arms wisi kłątwa. Będąc w takim nastroju, jak tego dnia, Jack gotów był w to uwierzyć.

Ponura śmierć Eryka, nie była pierwszą w dziejach domu. W 1930 roku znaleziono ciało mieszkającej tu słynnej hollywoodzkiej gwiazdy. Ponoć jej duch pojawił się w lustrze wiszącym w apartamencie 1G. Było to duże tremo w starym stylu, w ozdobnej wiktoriańskiej ramie, prawdopodobnie tak stare jak sam dom. Wisiało na ścianie za jego plecami. Niektórzy widzieli w nim ubraną na biało czarnowłosą piękność, która patrzyła na nich z głębi zwierciadła, uśmiechała się, a potem znikała. Natasza Kuryan, dawna charakteryzatorka, która mieszkała w Bachelor Arms od lat czterdziestych, zaklinała się, że widziała ducha tej nocy, kiedy zaczął się jej ogniasty romans z Errolem Flynnem. Z kolei jeden z dawnych współlokatorów Eryka twierdził, że zaledwie ukazała mu się zjawa, dowiedział się, że dostał intratny angaż do

znanego telewizyjnego serialu. I wreszcie pewna piękna dziewczyna, która często bywała u nich tamtego fatalnego lata, mówiła, że w czasie pamiętnego przyjęcia widziała ducha w lustrze. Zresztą prawie wszyscy goście twierdzili, że go widzieli - ale w tamtych czasach, na owych szalonych przyjęciach nie żałowano sobie alkoholu ani halucynogenów, więc można było zobaczyć absolutnie wszystko.

Jednak Jack nie ujrzał damy z lustra. Nie wierzył w duchy, może tylko w te, które straszyły w jego własnych myślach.

A skoro mowa o duchach, stary, to scenariusz sam się nie napisze, napomniał się niechętnie.

Wstał z parapetu i rozprostowując ramiona, ostatni raz zerknął przez okno. Jakiś ruch na dziedzińcu przyciągnął jego uwagę. Prawie wszyscy mieszkający w tym domu wychodzili rano do pracy albo uczęszczali na różne kursy. Tylko Natasza Kuryan z parteru i administrator, Ken Amberson, pozostawali w domu w ciągu dnia. Ktokolwiek inny pojawiający się tu o tej porze był podejrzany, a zwłaszcza ktoś, kto zdawał się przemykać bokiem pod ścianami.

Jack wychylił się i wreszcie rozpoznał, że tajemniczym gościem jest nieśmiała kelnerka z baru „U Flynn-a”. Zapamiętał ją, bo przy całym swoim bojaźliwym, nieporadnym zachowaniu miała dziwnie bystre, pełne temperamentu spojrzenie. Tamtego wieczoru, w piątek, podeszła do niego. Zaskoczyło go to, gdyż sądził, że się spłoszyła i uciekła tylnymi drzwiami. Sztywnym ruchem podała mu *nachos* i piwo, a gdy podziękował

z uśmiechem, dumnie uniosła podbródek i zmierzyła go zimnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek. Poczuli się rozżalony takim brakiem wdzięczności i zastanawiali się, skąd wzięła się ta nagła zmiana postawy. Po kilku minutach dyskretnej obserwacji dostrzegł, że wobec innych klientów rodzaju męskiego dziewczyna stosuje podobną minę. Później zobaczył coś jeszcze - znaczącą wymianę spojrzeń z drugą kelnerką. Jedno było pytające, a drugie aprobujące i dodające otuchy.

Jack nagle zrozumiał, o co tu chodzi, kiedy na twarzy tej drugiej zobaczył identyczny, chłodny wyraz. Przybrała go w momencie, gdy jakiś podchmielony gość stał się zbyt namolny. Najwidoczniej Miss Niewinności musiała zaliczyć w kuchni "przyspieszony kurs radzenia sobie z kłopotliwymi gośćmi.

Hm, trzeba przyznać, że nie mogła znaleźć lepszego nauczyciela, pomyślał, obserwując jej mistrzynię. Tamta była seksowna, żywa, skora do uśmiechu - ale całym swoim zachowaniem nadawała jednoznaczny komunikat: Dobra, chłopaki, gapcie się na co chcecie, ale łapy przy sobie' Widział ją wcześniej tylko parę razy. Wiedział, że nosi jedno z tych podwójnych, typowych dla Południa imion, zdaje się Betty-Sue i mieszka po drugiej stronie dziedzińca, naprzeciwko niego, razem z jakąś drugą dziewczyną. Podobno obie chciały być aktorkami, więc w dzień biegały na kursy i przesłuchania, a wieczorami dorabiały jako kelnerki.

Zastanawiał się, czy Miss Niewinności również chce zostać aktorką, ale raczej w to wątpił. Młode kobiety, które o tym marzą, zwykle cechuje pewność siebie, jeśli

nie arogancja. A gdyby dziewczyna miała zdolności aktorskie, potrafiłaby przynajmniej taką pewność siebie odegrać.

Obserwował, jak zmierza w stronę tablicy ogłoszeń domowych. Stanęła i zaczęła je uważnie studiować. Pod pachą trzymała plik jaskraworóżowych kartek. W pewnym momencie położyła je na stoliku obok, wygładziła starannie, wybrała jedną i przypięła na samym środku tablicy.

Polityka czy religia? - zastanawiał się Jack. Z kuchni przywoływał go zapach kawy, ale zignorował go i dalej śledził tajemnicze poczynania dziewczyny. Zgarnęła papiery i okrążywszy donicę z okazałym krzewem hibiskusa, weszła do holu, skąd miała dostęp do wszystkich mieszkań. A raczej do otworów na pocztę w ich drzwiach. Zaledwie to pomyślał, już stał pod własnymi drzwiami i czekał w napięciu. Drgnął, kiedy rozległo się delikatne pukanie.

Dlaczego puka? - zastanawiał się, chwilowo rezygnując z zamiaru nagłego otwarcia drzwi i zaskoczenia jej. Z góry wiedział, że nie będzie chciał kupić tego, do czego zachęcają jej ulotki. Powinien wrócić do kuchni i wreszcie nacieszyć się swoją kawą.

Już miał odejść, kiedy stuknęła klapka i kartka przeraźliwie różowego papieru spłynęła w dół. Jack znów zmienił zdanie. Jedną ręką chwycił ulotkę, zanim dotarła do podłogi, a drugą pociągnął drzwi, które otworzyły się, ukazując odchodzącą dziewczynę.

Odwróciła się, zaskoczona.

- Och, pan był w domu - stwierdziła z niezbyt mądra

miną. Głos miała miły, niski i podszyty skrywanym napięciem, które maskował przeciągły akcent z Południa. - Nie odpowiedział pan od razu na pukanie, więc myślałam, że nikogo nie ma.

Wolałabyś, żeby mnie nie było, co, aniołku? - pomyślał i dość napastliwym tonem zapytał:

- Co pani proponuje? Reformę podatków czy może zbawienie duszy?

Faith popatrzyła na ulotkę w jego ręku. Spodobały się jej długie, mocne palce.

- Ani jedno, ani drugie. - Obronnym ruchem przycisnęła plik kartek do piersi. - Chodzi o usługi... Ale nie dlatego tu przyszłam. Przynajmniej niezupełnie. - Odchrząknęła niezręcznie. - Nazywam się Faith McCray, panie Shannon, i...

- Na imię mi Jack - poprawił.

- Ach, tak... Więc, Jack - wyraźnie zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy - przyszłam tu, żeby cię przeprosić.

- Przeprosić? Za co? - zdumiał się szczerze.

- Za tamten piątkowy wieczór w barze. Okazałam się bardzo nieuprzejma.

- Naprawdę?

Przytaknęła z powagą, jakby zupełnie nie usłyszała lekkiej ironii w jego głosie.

- Postąpiłeś jak dżentelmen, a ja zamiast podziękować za to, że ruszyłeś mi na ratunek, zachowałam się histerycznie. Czasami tak reaguję, kiedy jestem zdenerwowana. Albo zakłopotana - dodała, chowając głowę w ramiona.

- Czy będziesz zdenerwowana albo zakłopotana, je-

śli zaproszę cię na małą kawę? - zapytał Jack; który dałby wiele, by zobaczyć ducha, który przemówił jego ustami.

- Kawę? - powtórzyła niepewnie.
- Właśnie ją zaparzyłem.

Górował nad nią wzrostem i siłą. Dżinsy wprost nieprzyzwoicie opinały mu wąskie biodra, a czarna bawełniana koszulka, wyblakła i wyciągnięta, odstaniała moc'ną, opaloną szyję. Był boso, a na dodatek przydałby mu się fryzjer i golenie. Na prawym bicepsie pysznił się wizerunek drapieżnego ptaka. Słowem, sprawiał wrażenie niebezpiecznego i nieobliczalnego. Musiałaby stracić instynkt samozachowawczy, by przyjąć jego zaproszenie.

Odgadł, co myśli, o czym świadczył gorzki grymas w kąciku ust.

- Kawa będzie naprawdę świeża, aniołku. A ja postaram się nie zepsuć ci jej smaku.

Zastanawiała się jeszcze. Na pewno nie patrzył na nią jak na powietrze. Nie dostrzegła w jego spojrzeniu pogardy czy litości. Ani też zdróżnych zamiarów.

Chyba jest samotny, pomyślała. W jego spojrzeniu jest jakiś smutek. Faith poznała samotność. Znała też żal i smutek.

- Dobrze - lekko skinęła głową. - Chyba dam się zaprosić.

Jack wprowadził ją do pokoju, a sam poszedł do kuchni po kawę. Faith uśmiechnęła się do siebie. Dotychczas bywała w mieszkaniu tylko jednego samotnego mężczyzny. Zatem teraz powinna się bać, ale nie czuła

strachu. Miała zadziwiająco mocne przekonanie, że nic jej nie grozi. Rozejrzała się z zainteresowaniem.

Pod ścianą stała długa, skórzana kanapa. W jednym jej końcu piętrzyła się sterta nie poskładanego prania. Przed kanapą ustawiono prosty, sosnowy stolik do kawy, o blacie kompletnie zawalonym rozsypującymi się stertami papierzysek i gazet. Pod przeciwległą ścianą, na czubku piramidy kartonowych pudeł umieszczono przenośny telewizor i wideo. Na półkach, zarzuconych płytami kompaktowymi, wideokasetami i książkami, rozstawione były części nowiutkiej, wysokiej klasy aparatury stereo.

, Z miejsca, gdzie stała, miała widok na jadalnię. Była równie, skromnie umeblowana jak salon i panował w niej nie mniejszy bałagan. Przy prostym, kuchennym stole stały dwa metalowe krzesła. Na laminowanym blacie królowała maszyna do pisania i popielniczka pełna niedopałków. Drewnianą podłogę zaścierały porzrzucone kule zmiętego papieru. W tym pomieszczeniu ściany były puste. W salonie wisiało przynajmniej duże, staroświeckie lustro. Żadnych fotografii, roślin, nawet zasłon, które złagodziłyby widok surowych, drewnianych żaluzji. Ani odrobiny ciepła, jakiegoś bardziej osobistego akcentu. Czy wszystkie mieszkania samotnych mężczyzn są takie? - zastanawiała się w duchu.

Drgnęła, kiedy Jack wszedł, cicho stąpając bosymi stopami. Niedbałym ruchem zgarnął stertę magazynów ze stolika i ustawił tam tacę z parującym dzbankiem.

- Proszę. - Nalał solidną porcję czarnego płynu i wręczył jej filiżankę. Kiedy przytknęła ją do ust, nie

zdołała powstrzymać grymasu. Kawa była piekielnie mocna.

- Powiniennem być cię ostrzec - roześmiał się, błyskając białymi zębami. - Zawsze piję taką siekierę. Chodź do kuchni, dolejesz sobie mleka. To powinno pomóc.

Kiedy się tak śmiał, w policzku robił mu się sympatyczny dołek. Faith odpowiedziała mu uśmiechem, mile zdumiona taką przemianą. Już nie wydawał się jej oschły.

Mała kuchnia była zapuszczona, tak jak i reszta mieszkania, A nawet gorzej, uznała po chwili. Z resztek można byłoby odtworzyć historię posiłków sprzed tygodni. Jej różowa ulotka pławiła się pod drzwiami lodówki w kałuży czegoś, co było zapewne sokiem pomarańczowym.. Faith aż śwędziały ręce, by chwycić zmywak i zacząć porządkować.

.- Wiem, uważasz mnie za flejtucha. - Pokiwał głową, rozbawiony jej przerażonym spojrzeniem. - Ale przysłaś właśnie na dzień przez moim cotygodniowym sprzątaniami. - Otworzył karton mleka i na wszelki wypadek powąchał zawartość. - Raz w tygodniu się poświęcam, wierz mi.

- Ale... nie chciałam... - zająknęła się niezręcznie, odwracając wzrok.

- Daj spokój, aniołku, masz absolutną rację. Jestem okropnym bałaganiarzem. To skutek mieszkania w hotelach i różnych wynajętych dziurach, gdzie nigdy nie za-grzałem miejsca. Dolać mleka?

- Tak - uśmiechnęła się.

'- A cukru?

- Tak, proszę. - Szczodrze wsypała sobie dwie czubate łyżeczki.

Jack wzdrygnął się na ten widok.

- Jak można tak psuć dobrą kawę.

Faith spróbowała łyk. Smakowało o wiele lepiej.

- Nie bardzo się na tym znam — przyznała. - Piłam kawę parę razy w życiu, i tylko instant. Była zupełnie inna.

- Kilka razy w życiu? - Jack spojrzał na nią jak'na przybysza z, innej planety. - Może należysz do mormonów albo coś w tym rodzaju?

Faith pokręciła głową.

- Jestem katoliczką.

Jack uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

- W domu wpajano mi od małego, że alkohol i inne używki są grzechem. Tata nie pozwalał pić w domu nawet kawy, herbaty i coli, ze względu na kofeinę.

- W takim razie chyba nie wie o twojej pracy w barze „U Flynna”?

Faith zaprzeczyła ruchem głowy, usiłując zignorować niemal odruchowe poczucie winy, jakie wywołało w niej to pytanie. Absolutnie nie miała ochoty czuć się winna.

- Nie, nic nie wie - ucięła, by nie miał wątpliwości.

Jack przyglądał się jej uważnie, zastanawiając się, czemu tak nagle spoważniała i spuściła głowę. A potem, zanim w ogóle zdążył pomyśleć, wyciągnął rękę i delikatnie ująwszy jej podbródek, zmusił do podniesienia głowy.

- Co się stało, aniołku? - zapytał miękko, pilnie wpatrując się w wielkie, smutne oczy dziewczyny. Lśniły od

powstrzymywanych łez. - Czyżbyś, uciekając z domu, spaliła za sobą wszystkie mosty?

Faith poczuła, że uśmiecha się mimo woli. Był bliżej prawdy, niż myślał. Co za ulga, że znalazł się ktoś, kto rozumiał wszystko bez zbędnych słów.

- Można i tak powiedzieć - przyznała.

- Chcesz o tym pogadać?

Zawahała się. Potrzeba, by wyznaczyć wszystko życzliwemu słuchaczowi, była przemożna, ale zwalczyła ją. Musi wreszcie stanąć na własnych nogach, musi!

- Dziękuję za troskę, ale co się stało, już się nie odstanie - stwierdziła sentencjonalnie. - Słowa niczego tu nie zmieniają.

Jack musiał przyznać przed samym sobą, że jest zadowolony, iż nie doszło do zwierzeń, Nie mógł zrozumieć, co go podkusiło, Od tak dawna już nie wczuwał się i nie angażował w problemy innych! Cholera, czy tą dziewczyna musi tak tutaj stać i wyglądać jak skrzywdzone dziecko?

Jakimś cudem sprawiła, że zapragnął ją wziąć w ramiona i pocieszyć, zapewnić, że wszystko się ułoży, choć nawet nie wiedział, co się jej przytrafiło. Może coś dręczyło jej duszę, tak jak jemu nie dawało spokoju wspomnienie śmierci brata... Zaszokowany własnymi odczuciami, odruchowo odsunął się od niej.

- Może jeszcze kawy? - zaproponował, żeby ukryć zmieszanie.

- Nie, dzięki. - Faith błyskawicznie wyczuła zmianę nastroju. - Muszę już iść, mam jeszcze ulotki do roznieśienia.

- Ja też mam robotę. - Jack odstawił Filiżankę i chwyciwszy Faith za łokieć, prawie siłą poprowadził ją do salonu. Przechodząc koło stolika, potracił stertę papierów, która zwała im się pod nogi. Zaklął pod nosem, pochylił się i zaczął je nerwowo zgarniać. Musi pozbyć się tej kobiety ze swojego mieszkania, zanim zrobi coś głupiego!

- Och, to moja wina! - Rzuciła się, by mu pomóc i oboje złapali ten sam kawałek papieru. Ich palce zetknęły się, głowy zbliżyły do siebie, a spojrzenia spotkały. Zamarli, patrząc sobie w oczy jak kochankowie, którzy nagłe zobaczyli się po długiej rozłące.

Faith miała uczucie, jakby z pokoju nagle wypompowano powietrze, a całe światło i ciepło świata skupiło się w przepastnym spojrzeniu Jacka Shannona. Nie zdołała się poruszyć, nie była w stanie myśleć. Mogła tylko czekać z drżeniem. I mieć nadzieję, że ta piękna chwila będzie trwać wiecznie.

Serce waliło Jackowi jak młotem. Marzył, by pochwycić ją w ramiona i całować, całować bez końca. Albo rzucić ją na podłogę i zawładnąć jej ciałem. Racjonalna część jego istoty ze zdumieniem i grozą obserwowała te porywy. Z ogromnym trudem odwrócił spojrzenie.

- Przepraszam - bąknął, wstając sztywno.

- To moja wina ~ wyszeptała Faith, drżącymi rękami zbierając swoje ulotki.

Stanęli naprzeciwko siebie, starając się nie dotykać i tkwili tak w niezręcznej ciszy, jak para nastolatków po pierwszej randce, kiedy przyszła pora, by wreszcie się rozstać.

- Już chyba pójde. - Faith czuła, że musi jakoś przełamać milczenie. - Dziękuję za kawę.

- Ja też dziękuję. - Jack wpatrywał się w swoje bose stopy.

- Chwileczkę, dam ci jeszcze to. - Wręczyła mu różową ulotkę. - Tamta zamokła w kuchni.

Jack, rad, że nie musi patrzeć Faith w oczy, przebiegł wzrokiem po tekście.

- Oferujesz sprzątanie?

- Tak. Uznałam, że muszę się jakoś zabezpieczyć, gdyby nie wyszło mi „U Flynna”.

- Dlaczego akurat sprzątanie?

- Właściwie tylko na tym się znam. Już mam zresztą jednego chętnego - powiedziała z zadowoleniem. - Pan Amberson spod 2C. Ty możesz być moim drugim klientem - zasugerowała, dziwiąc się własnej śmiałości.

Jack doskonale wiedział, że powinien powiedzieć „nie”. Tak byłoby lepiej dla obojga. Ale nagle poczuł nieprzewartą ochotę, by powiedzieć „tak”, ponaglany przez radosne wyczekiwanie w jej oczach. Do licha, nie jest tu przecież po to, żeby spełniać kobiece zachcianki, próbował pohamować sam siebie. Poza tym była zbyt młoda, zbyt niewinna dla takiego starego wyjadacza jak on. Nie, nie będzie działaczem charytatywnym ani uwodzicielem szukających pracy pańienek z prowincji!

- Może umówimy się na pierwszy raz próbnie - nie rezygnowała. - Nie zapłacisz mi, jeśli nie będziesz zadowolony z mojej pracy.

Jack z ciężkim westchnieniem przeciągnął ręką po

włosach. Jak może odmówić, kiedy ona tak na niego patrzy?

- Fakt - powiedział - ktoś powinien tu fachowo posprzątać.

Faith rozpromieniła się.

- W takim razie, kiedy mam przyjść? Może już jutro?

- Świetnie, może być jutro. - Aleś wpadł! Sam jesteś sobie winien, skomentował w duchu.

- W takim razie, do zobaczenia. - Już miała się odwrócić i odejść, ale zatrzymała się nagle, wydając lekki okrzyk.

- Co się... - zaczął Jack, ale nie dokończył, gdyż kątem oka dostrzegł coś, co kazało mu zamilknąć.

Stali przed starym lustrem, oświetleni strugą słonecznego blasku, wpadającą przez okna. Faith - w powiewnej białej bluzce i szerokiej niebieskiej spódnicy do pół łydki, z jasnymi włosami luźno związanymi żółtą chustą nisko na karku; Jack - ciemna, groźna, górująca nad nią postać o wzburzonej szopie włosów i ciemnym zarostcie, z wytatuowanym na ramieniu orłem.

- Czy to hologram? - zapytała, wyraźnie zdumiona.

- Co?

- Ta postać kobiety w lustrze. Więc to hologram?

Jack poczuł, jak lodowaty palec przesuwają mu się wzdłuż kręgosłupa.

- Jaka kobieta? - Starał się zachować spokój.

- Nie widzisz? - Faith pokazała jakiś punkt w zwierciadle.

- Powiedz, jak wygląda - polecił, choć sam widział tylko ich odbicia.

- Jest w długiej, białej sukni, jakby z satyny. I patrzy na mnie, jak... jakby patrzyła mi prosto w duszę, tak dziwnie, jak za sprawą czarów. Jest bardzo, piękna i bardzo smutna. Czekaj;.. teraz się uśmiecha! - Faith postąpiła krok naprzód i wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć widziadła, ale zatrzymała się nagle. - Ach, zniknęła. Powiedz, co mam zrobić, żeby znów wróciła? - Z nadzieją spojrzała na Jacka.

Gdyby ktoś inny powiedział mu to, co przed chwilą ta dziewczyna, popukałby się w głowę i doradził mu wizytę u psychoanalityka. Ale zachowanie Faith było zbyt spontaniczne, a ona sama nazbyt szczerą i uczciwą, by móc je odegrać.

- Jack?

- Nie przypuszczałem, że bogobojni katolicy wierzą w duchy.

- Duchy? - W pierwszej chwili pomyślała, że sobie z niej żaruje. Ale nie sprawiał wrażenia, by był w wesołym nastroju. Przeciwnie, patrzył na nią z poważną miną i zmarszczonymi brwiami. - Więc chcesz mi powiedzieć, że to nie był hologram? Że... O, nie! - Pokręciła głową na tak absurdalną myśl.

- Nie słyszałaś historii o kobiecie ukazującej się w lustrze?

Faith uznała, że Jack jednak z niej kpi. Uśmiechnęła się, bo to było nawet miłe.

- Opowiedz mi.

- W 1930 roku albo coś koło tego znaleziono tu martwą słynną gwiazdę filmową; Jej męża uznano winnym i skazano na śmierć - wyjaśnił. - Nikt nie widział,

jak to się stało. Podobno mąż nie popełnił tej zbrodni. Niektórzy mówią, że to właśnie duch tej pięknej młodej kobiety nawiedza Bachelor Arms.

- Boże, ja naprawdę zobaczyłam ducha?

- Nie wiem - odparł szczerze.

- Niemożliwe, nie wierzę w duchy. - Faith stanowczo pokręciła głową, ale jeszcze raz zerknęła w lustro.

- Ale ja tam naprawdę coś widziałam.

- Może to jednak hologram. - Jack bardzo chciałby przekonać samego siebie. - Albo inny rodzaj optycznego triku. W swoim czasie zamieszkiwało tu wielu ludzi z Hollywoodu. Może był wśród nich magik od efektów specjalnych i dla zabawy majstrował coś, co sprawia, że kiedy stoisz w odpowiednim miejscu, patrzysz pod odpowiednim kątem, a w dodatku jest drugi wtorek miesiąca, południe i słońce świeci przez okna, to zobaczysz ducha - zachichotał. - A swoją drogą, muszę pogadać o tym z Ambersonem. Może będzie wiedział, czy ktoś kiedyś majstrował przy lustrze.

Zaraz, przypomniał sobie nagle, przecież to Ken Amberson pierwszy powiedział mu o legendzie, dwadzieścia parę lat temu. A kiedy po raz drugi wprowadzał się do IG, Ken ostrzegał go, żeby lepiej tego nie robił. Brzmiało to dziwnie i tajemniczo, ale zbagatelizował przestrogę. Jack zastanowił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że Amberson nawet nie dopuści do siebie myśli, że zwierciadło mogłoby być spreparowane. Będzie wolał raczej pozostać strażnikiem legendy.

- Jack, teraz już naprawdę pójdę. - Głos Faith wyrwał go z zamyślenia.

- W porządku, ja też powinienem wrócić do swojej roboty. W takim razie, do jutra, o pierwszej.

- O pierwszej - odpowiedziała jak echo, idąc do drzwi.

Kiedy tylko wyszła, wrócił przed lustro i zaczął uważnie oglądać ramę. Wodził palcami po rzeźbionych kwiatowych ornamentach, na próżno usiłując znaleźć ślad jakichś przewodów, dźwigni czy... sam właściwie nie wiedział czego. W tamtych czasach nie było przecież elektroniki. Nie znalazł nic. Chciał zdjąć zwierciadło ze ściany, żeby obejrzeć jego odwrotną stronę, ale na próżno się natęzał. Nawet nie drgnęło. Przyklejone, czy co? - zdziwił się, gdyż nie widział żadnych haków, śrub ani niczego podobnego. Wreszcie zrezygnował. Jedno było pewne - to nie mógł być hologram; wymagałby całkiem sporej aparatury. Nie mógł to też być duch, bo duchów po prostu nie ma. Być może Faith słyszała już opowieści o zjawie, choć się do tego nie przyznaje, a mając bujną wyobraźnię, wmówiła sobie, że ją widziała.

A jeśli naprawdę nie wiedziała o legendzie? O legendzie, która mówi, że temu, kto zobaczy kobietę w lustrze, ziszczą się najskrytsze marzenia lub spełnią najbardziej złowieszcze przeczucia...

Rozdział

3

Dasz sobie radę, przecież robiłaś to całe życie, dodawała sobie otuchy Faith, stając pod drzwiami Jacka Shannona ze składanym wózekiem - swoim nowym sprzętem - pełnym środków czyszczących. Przecież nie mogło być gorzej niż w 2C. Tak, ale w apartamencie 2C nikt jej nie przeszkadzał, a tu zastanie tego mężczyznę, w którego obecności czuła się jednocześnie zaniepokojona i w pewien sposób podekscytowana.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczała.

No, niezupełnie, poprawiła się w myśli, zawsze uczciwa, nawet wobec samej siebie. Tak, dawno temu miała podobne odczucia, przynajmniej na początku - to samo podniecające, pełne napięcia oczekiwanie. A potem zaczęło być okropnie, aż wreszcie stało się coś, co zohydziło wszystko i odarło z resztek romantycznej otoczki.

Ale teraz jest i będzie inaczej. Od tamtej pory minęły lata, cała sytuacja rysuje się odmiennie, Jack Shannon jest inny, a przede wszystkim ona sama jest inna.

Faith wzięła głęboki oddech, wyprostowała się, przecesała dłonią świeżo umyte włosy i zdecydowanie zapukała do drzwi mieszkania 1G.

- Nic z tego nie będzie - mruzczał do siebie Jack Shannon, sceptycznie przyglądając się, jak Faith pracowicie czyści zapuszczony blat w kuchni. - Nie wiem, po co się na to zgodziłem.

Na czas sprzątania sypialni i łazienki stracił ją z oczu. Mógł się spokojnie wziąć do swoich zajęć, gdy zeszła do pralni w podziemiach, żeby zająć się jego brudnymi rzeczami. Zaczął się niecierpliwić, kiedy po powrocie krzątała się w salonie, tuż za jego plecami, hałasując odkurzaczem i porządkując sterty książek i papierzyšek. Zupełnie odeszła go ochota do pracy, gdy Faith wkroczyła do kuchni, ponieważ ze swojego miejsca przy biurku miał widok na dziewczynę pucującą stół różową gąbką.

Ukradkiem, obsesyjnie, śledził każdy jej gest, każdy szczegół wyglądu. Od razu zauważył, że zrobiła coś z włosami. Chyba specjalnie podcięła i ułożyła je tak, by wydawało się, że oczy jarzące się złotymi iskierkami są jeszcze większe. I ubrała się też inaczej - już nie w szkolną białą bluzkę, tylko w cienką bawełnianą żółtą koszulkę i obcisłe, sprane dżinsy - chyba pożyczone, bo podwinęła w nich nogawki. Teraz mógł bez przeszkód podziwiać delikatny zarys piersi i smukłe uda.

Kiedy pochylała się, żeby włożyć nową torbę do kubła na śmieci, zachwyciła go jej zgrabna pupa i wąska talia. Gdy z kolei zamaszystymi ruchami tarła proszkiem zapuszczony zlew, nie mógł oderwać wzroku od jędr-

nych piersi, podskakujących pod cienką koszulką i kwiecistym fartuchem. Urzekł go rozkoszny, dziewczęcy sposób, w jaki zdmuchiwała niesforną grzywkę z czoła. Ruchy miała pewne, zręczne i szybkie. Od czasu do czasu przerywała robotę i przechyliwszy na bok głowę, przygryzając wargę, ze zmarszczonymi brwiami, oceniała krytycznie, czy trzeba coś jeszcze poprawić. Fascynowały go nawet drobne dłonie, pracowicie i energicznie wyciskające różową gąbkę.

A przecież Faith McCray kompletnie nie była w jego typie! Jill Foyle spod 2B to zupełnie co innego. Zawsze lubił takie seksowne, inteligentne i pewne siebie dziewczyny, które wiedziały, czego chcą. Żadnych sentymentalnych mrzonek, ani śladu przewrażliwionej niewinności, która załamuje się w zetknięciu z pierwszym życiowym-niepowodzeniem. Od kiedy zamieszkał w Bachelor Arms, spotkał się kilka razy z Jill, ale ich znajomość nie stała się bliższa - pozostali zaprzyjaźnionymi sąsiadami.

Biedna, niewinna Faith! Uciekłaby z krzykiem z tego mieszkania, gdyby miała choć blade pojęcie o tym, co się z nim działo i co sobie roił na jej temat. Nie poznał dotąd dwudziestoczteroletniej kobiety, która byłaby tak naiwna, ufna i otwarta. Taka dziewczyna nie uchowa się długo w Los Angeles, gdzie wprost roiło się od playboyów. Nie, nie można tak zostawić Faith McCray, postanowił nagle. Ktoś musi ostrzec tę dziewczynę przed pułapkami wielkiego miasta, udzielić jej paru lekcji ze szkoły przeżycia. A kto najlepiej by się do tego nadawał?

- O, nie, tylko nie ty, Jack! - wyrwało mu się razem

z przekleństwem tak głośno, że Faith odwróciła się ze zmywakiem w ręku.

- Przepraszam, czy mówiłeś coś do mnie? - zagadnęła z nadzieją.

Jack nie odpowiedział od razu. Potarł czoło dłonią, zastanawiając się, co się z nim właściwie dzieje. Nigdy przedtem nie pociągała go niewinność, nawet w tak atrakcyjnym opakowaniu.

- Nie, nic, tylko myślę głośno - burknął, licząc, że utnie rozmowę w zarodku.-Lepiej, żeby skończyła to sprzątanie i szybko stąd zniknęła.

Faith westchnęła. Przez cały czas, kiedy sprzątała, nie odezwał się, jeśli nie liczyć paru wskazówek, jakich jej udzielił. A przecież czuła, że wodzi za nią wzrokiem i pragnie bliższego kontaktu. Niestety, Bobbie-Sue nauczyła ją, jak odstręczać mężczyzn, a nie -jak ich zachęcać. Przecież narodziła się nowa Faith - upomniała skwapliwie samą siebie - która zamknęła przeszłość i rozpoczęła nowe życie. Nie może pozwolić, żeby stare lęki i dawne zahamowania zmarnowały jej wysiłki. Jack Shannon zawrócił jej w głowie i nie ma zamiaru udawać, że jest inaczej.

Bobbie-Sue określiła go celnie - przystojny zawadziaka. Faith raczej wyczuła, niż dostrzegła, że jednak pod tą maską kryje się zmęczony, a może nawet udręczony człowiek. Od czasu do czasu, wtedy gdy Jackowi zdawało się, że nie zwraca na niego uwagi, w jego oczach pojawiał się bezbrzeżny smutek. I właśnie ów skrywany smutek, tak dobrze Faith znany, sprawił, że odkryła w Jacku, a przynajmniej tak jej się wydało, pokrewną

duszę. Gdyby tylko Jack Shannon był choć odrobinę mniej przystojny, nie miałyby wątpliwości...

Niestety, był wysoki, smukły i silny. Pod miękkim materiałem bawełnianej koszulki i spranymi, obcisłymi dżinsami przeżyły się mięśnie, mocne i giętkie jak u drapieżnego kota. Twarz miał szczupłą i wyrazistą, z siatką cienkich zmarszczek w kącikach oczu i głębokimi bruzdami w policzkach. Zarys szczęki był mocny i męski, a brwi proste, gęste, rysujące się zdecydowaną kreską nad oczami. Włosy, ciemne jak kawa, której pijał zbyt dużo, zawijały się łagodnie na karku. Obrazu dopełniały wyraziste, zmysłowe usta, w których zaskakiwał ukryty młodzieńczy zarys. Równie ładne były dłonie - silne, ale smukłe, o długich palcach pianisty. Jak mógł nie zafascynować jej taki mężczyzna?

- Nie idzie ci pisanie artykułu? - zagadnęła.

Jack, zaskoczony, uniósł głowę.

- Dlaczego uważasz, że piszę artykuł?

- Bobbie-Sue mówiła, że jesteś dziennikarzem - wyjaśniła, zadowolona z nawiązania rozmowy. - Dlatego chyba słusznie domyśliłam się, że to artykuł?

Jack skrzywił się, zezując na niemal pusty arkusz papieru wkręcony w maszynę.

- Nie, to nie artykuł - stwierdził krótko.

- W takim razie, przepraszam. - Spojrzenie Faith zgasło i uciekło w bok. Znów zaczęła szorować blat. - Nie powinnam ci przeszkadzać.

- Wcale mi nie przeszkadzasz. Przeszkadzałybyś mi, gdybym rzeczywiście coś pisał, ale na razie nic mi nie wychodzi. - Z wysiłkiem potarł dłonią kark, próbując wy-

myślić coś, co znów przywróciłoby na twarz dziewczyny ten uroczy, nieśmiały uśmiech. - Chyba po prostu potrzebuję przerwy. Tak! - Odepchnął krzesło do tyłu i prawie wyskoczył zza biurka. - Co byś powiedziała na lunch? •

Faith ośmieliła się rzucić mu krótkie spojrzenie.

- Lunch? Przecież już prawie czwarta. Kto je lunch o tej porze?

- fen, kto jadł śniadanie w południe - uśmiechnął się, rozbawiony jej poważną miną. - Wiem, że gnuśność należy do śmiertelnych grzechów, ale... może wybrałaś się na lunch ze mną? A może już jadłaś? - zmarkotniał, widząc, że się waha.

- Nie, nie jadłam nawet śniadania - przyznała szczerze. To, że zdenerwowanie odebrało jej apetyt, zachowała dla siebie.

- Wobec tego przyjmiesz zaproszenie?

Odłożyła zmywak i zaczęła ściągać gumowe rękawice. Jeśli on jest głodny, przyrządzi coś naprędce. Sprzątanie może poczekać.

- Nie wiem, co masz w szafkach i w lodówce, ale myślę, że coś się da upichcić - powiedziała pogodnie.

- Zaraz, zaczekaj. - Powstrzymał szybkim ruchem jej rękę, sięgającą do klamki lodówki. Znów zafascynowały ją smukłe palce o kształtnych paznokciach, ciemne na tle jej jasnej dłoni. - Nie chodzi o to, żebyś mi coś ugotowała. Chcę, żebyśmy wyszli gdzieś na lunch. No, po prostu do lokalu - sprecyzował, widząc jej zaskoczone spojrzenie.

- Och. - Zamilkła, gorączkowo rozważając tę propozycję, Nigdy przedtem mężczyzna nie zapraszał jej do

lokalu. I w ogóle nigdy nie była na randce. No nie, przesada, przecież to nie j est randka! Ale...

- Nie jestem ubrana do wyjścia - wybąkała, pokazując na sprane dżinsy i prostą koszulkę.

- Aniołku, jesteście w Los Angeles - roześmiał się, wodząc śmiałym spojrzeniem po jej ciele. - Jesteś zupełnie odpowiednio ubrana. Zdejmij tylko fartuch i chodź. Umieram z głodu!

Po krótkiej chwili wahania posłuchała i zrobiła, co kazał.

Wyszli na zalaną słońcem ulicę. Jak zwykle o tej porze w Kalifornii niebo było bezchmurne. Upał łagodziły podmuchy wilgotnej bryzy znad oceanu. Idealny dzień dla zakochanych, by spacerować po bulwarach, trzymając się za ręce. Kiedy przekroczyli kutą ozdobną bramę Bachelor Arms, Jack gwałtownym ruchem wcisnął rękę do kieszeni, by nieposłuszne palce nie zabłądziły ku dłoni Faith. Dziewczyna, zafascynowana kolorowym tłumem na chodnikach, zupełnie tego nie zauważyła. W jej rodzinnych stronach nawet w weekend nikt nie czuł się tak swobodnie, tak radośnie.

- Jakiej kuchni chciałabyś dzisiaj spróbować? - zagadnął Jack, z aprobatą zerkając na jej po dziecięcemu zachwyconą minę. — Włoskiej, chińskiej, tajskiej, wietnamskiej, a może arabskiej, meksykańskiej czy indiańskiej? - wyrecytował i wyczekująco uniósł brew. — Nie krępuj się, wybieraj.

- Sama nie wiem, co mam wybrać.

- A co lubisz? Co jadłaś u siebie?

- Bo ja wiem? W naszym mieście były tylko trzy

pizzerie. I jedna restauracja meksykańska. Lubiłam do nich chodzić, ale poza tym nie znam takiego jedzenia, o jakim mówisz. Dlatego wolałabym, żebyś to ty wybrał. W każdym wypadku będę zadowolona.

Jack uznał, że należy zmienić podejście.

- Może zacznijmy od drugiego końca: czy jest coś, czego nie lubisz? Jakies jedzenie, którego za żadne skarby byś nie tknęła?

- Za mało się na tym znam, żeby czegoś -nie lubić - zaśmiała się.

- W takim razie - zawyrokował z umyślnie poważną miną - zjemy sobie *dim sum*.

- Ładnie brzmi - przyznała. - A co to jest?

- Rodzaj chińskiego szwedzkiego stołu. No, chyba wiesz, co to jest szwedzki stół? - zakpił wesoło.

Faith zrobiła minę jak dwunastolatka wywołana do tablicy. Tym razem bezbłędnie odczytała wezwanie do wesołego flirtu. Bobbie-Sue byłaby z niej dumna.

- Podadzą nam różne smakołyki - frytki z krewetek, pierożki, świderki, małe klopsiki z różnego mięsa i kluseczki, a wszystko to w słodko-kwaśnym, gęstym sosie. Czasami dodają filiżankę zupy. Wiesz, zależy, jakie kucharz ma w danym dniu natchnienie - wyjaśniał, idąc coraz szybciej, uskrzydłony myślą o przysmakach.

- Aha, zapomniałem powiedzieć, że kelnerzy przywożą wszystko na wózkach, a podają ci to, co wskażesz, na małych talerzykach. Kiedy się najesz, liczą po prostu talerzyki na stole i wystawiają rachunek.

- Ojejku, przestań, bo mi ślinka cieknie - zachichotała Faith, podekscytowana jak mała dziewczynka.

Kiedy jakiś zblazowany hollywoodzki typek w kolorowej koszuli, włosami związanymi w kucyk i telefonem komórkowym przy uchu otaksował Faith niedwuznacznym spojrzeniem, Jack ośmielił się sięgnąć po jej rękę.

- Tędy - powiedział, splatając jej palce ze swoimi i poprowadził ją w dół ulicy, ku małej knajpce, którą specjalnie wybrał na tę okazję.

Faith była w siódmym niebie.

To ja, powtarzała, nie wierząc samej sobie. To ja, Faith McCray, szara myszka z Pine Hollow w Georgii. Idę sobie tak po prostu Westwood Boulevard w Los Angeles, w samym środku zwyczajnego dnia, za rękę z zabójczo przystojnym facetem. I nikt nawet na nas nie spojrzy! Nikt nie pomyśli, że tak nie wypada albo. że to zdrożne. Mało tego, gdy wrócę wieczorem do mieszkania zajmowanego wspólnie z Bobbie-Sue, nikt mi nie nagada, że zachowałam się jak ta biblijna ladacznica!

Faith postanowiła w duchu, że tym razem niczego nie będzie miała sobie za złe. Niczego!

Rozdział

4

Kiedy już zajęli miejsca przy stoliku i wybrali potrawy, Jack zdecydował, że delikatnie, acz stanowczo musi dać Faith do zrozumienia, iż jakakolwiek bliższa znajomość nie wchodzi w rachubę. Po lunchu po prostu powie jej, że jest naprawdę miłą i ładną dziewczyną, ale on ani myśli wiązać się z kimkolwiek, ponieważ nie chce się angażować.

Taki właśnie miał zamiar. Szybko o nim zapomniał, gdy tylko Faith spojrzała na niego z zachwytem i wdzięcznością znad półmiska pełnego chińskich przysmaków. Dziecięca radość lśniła złotymi iskierkami w jej oczach.

- Spróbuj tych perłowych kulek mięsnych - zachęcał, pokazując na malutkie, oblepione ryżem kuleczki.
- Najlepiej smakują z sosem *hoi sin*. Jeśli chcesz, możesz poprosić o widelec - dodał z uśmiechem, obserwując, jak gimnastykuje się z pałeczkami.

- Czekaj, już prawie mi się udało. - Zjadła ściąga kulki po całym talerzu. - O, mam! - wykrzyknęła triumfalnie, unosząc pałeczkę, na którą przypadkiem nabi-

ła się jedna z kulek. Natychmiast łakomie podniosła ją do ust.

Jack poczuł gwałtowny przypływ opiekuńczych uczuć. Był oczarowany i wzruszony. Siedząca naprzeciw niego dziewczyna była otwarta, szczerą, świeżą i spontaniczną, wręcz niezdolną do jakiegokolwiek fałszu czy udawania. Słowem niedzisiejsza.

- Skąd biorą się takie dziewczyny jak ty? - zagadnął żartobliwym tonem.

- Z Pine Hollow w Georgii - odpowiedziała Faith, która oczywiście potraktowała pytanie poważnie.

.- Naprawdę, Faith, trudno mi uwierzyć, że można w dzisiejszych czasach być tak cudownie, dziecięco niewinna, mając dwadzieścia cztery lata.

- Niewinna? - Wcale nie była taka niewinna, jak myślał. Zadziornie uniosła podbródek i posłała mu jedno z tych wyrachowanych spojrzeń spod zmrużonych powiek z arsenału Bobbie-Sue.

- Masz mnie za naiwną prowincjuszkę, co? - najeżyła się.

- Ależ skąd!

- Nie musisz zaprzeczać, masz rację. Jestem naiwną, prowincjonalną gąską. Trudno być inną, gdy wychowało się w takiej dziurze jak Pine Hollow. Nie zamierzam jednak zakopać się tam na resztę życia - oznajmiła buntowniczo.

- Nie? - Jack był zafascynowany grą uczuć na jej twarzy. Ta dziewczyna nie była w stanie niczego ukrywać.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Jak tylko uda mi się dostać porządną, stałą pracę i odłożyć trochę pieni-

dzy - prawdę mówiąc, mam już pięć tysięcy dolarów na koncie w banku w Los Angeles, dodała w duchu - zamierzam iść na studia. Nawet się już zapisałam na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles, na semestr jesien-ny. Urzędniczka w dziekanacie powiedziała, że prawdopodobnie przyznają mi stypendium, a może nawet jakiś grant, kto wie? Złożyłam już wszystkie papiery.

- Na kierunek aktorski? - zapytał, choć zupełnie mu to do niej nie pasowało.

- Chyba żartujesz! - roześmiała się, jiaprawdę tym ubawiona. - Nie dość, że brakuje mi urody, to jeszcze nie mam za grosz talentu. Bobbie-Sue to co innego, ona się świetnie nadaje. - ^ W jej głosie zabrzmiała szczerza duma z utalentowanej przyjaciółki. - Któregoś dnia zostanie słynną reżyserką, zobaczysz.

- Nie aktorką?

- Skądże! - Faith przełknęła kolejny kęs chińskich przysmaków, które coraz sprawniej chwyciła końcami pałeczek. - Aktorstwo jest dla Bobbie-Sue tylko etapem kariery.

- Nie tylko pracujecie razem w barze „U Flynna”, ale i dzielicie pokój, prawda?

- Chwilowo. Myślałam, że pomieszkam u niej przez kilka dni, najwyżej tydzień, dopóki nie znajdę czegoś dla siebie!, ale Brenda Muir, jej współlokatorka, dostała jakąś rolę w filmie i wyjechała na zdjęcia na sześć tygodni. Zostanę u Bobbie-Sue, dopóki Brenda nie wróci.

- Masz jakiś pomysł, co potem? - zagadnął z pozoru niedbale.

- Poszukam czegoś w pobliżu kampusu, bo nie mam

samochodu i na razie nie zamierzam kupować. Utrzymanie wozu to jednak spory wydatek. Ale* kiedyś, później,¹ na pewno coś kupię. Bobbie-Sue mówi, że samochód jest...!'-.

- Krewetka obtoczona w mące zawisła w powietrzu w pół drogi do jej ust. - Musisz być bardzo dobrym dziennikarzem - powiedziała, patrząc z podziwem na Jacka.

Jack uniósł brwi i czekał na wyjaśnienie.

- Plotę o sobie, jakbyśmy znali się od lat. Zwykle się tak nie zachowuję.

- A jak się zachowujesz?

- Przede wszystkim nie jestem tak gadatliwa, zwłaszcza w obecności kogoś, kogo dobrze nie znam, a szczególnie mężczyzny. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem, ponieważ udało się jej wyłowić następny specjał. - Ale przy tobie czuję się... - Zawahała się, bo trudno jej było określić rozkoszny i pełen podniecenia stan, w jaki popadła. - Czuję się bezpiecznie. Czy to nie dziwne?

Jack skrzywił się zgoła nieuprzejmie. Ona się czuje bezpiecznie! Gdyby wiedziała, że właśnie teraz wyobraża sobie ze wszystkimi szczegółami, jak jedzą *dim sum* w jego mieszkaniu, w łóżku, nadzy. Miał też wiele pomysłów na inne zastosowanie sosu *hoi sin*, niż tylko prozaiczne maczanie w nim mięsnych kulek.

- Naprawdę byłeś korespondentem wojennym? - Głos Faith przywołał go do porządku. Jack otrząsnął się i postanowił wziąć się w garść.

- Można to i tak nazwać - przyznał niechętnie. Mentalnie zatęsknił za papierosem. Niestety, dzienny limit został wyczerpany. — Przede wszystkim jestem reporterem. Wojny obsługuję wyjątkowo.

- A co jeszcze... - Faith zająknęła się. Bobbie-Sue wyraziła się, że „czasem robił coś dla prasy”. Jack tymczasem mówił o swoim zajęciu w czasie terażniejszym.

- O czym więc głównie piszesz? - poprawiła się.

- O śmierci, destrukcji, korupcji, politycznych aferach i ogólnym upadku. - Wzruszył ramionami i sięgnął po herbatę w maleńkiej, kruchej filiżance, która prawie zniknęła w jego silnej dłoni. - Słowem o wszystkim, co każdego dnia jest pożywką dla wiadomości. Teraz chwilowo jestem na urlopie.

- Więc to, nad czym pracujesz, to nie jest materiał dla twojej gazety? - zdziwiła się, pamiętając, jak jeszcze godzinę temu garbił się nad maszyną do pisania.

- Nie - odparł krótko, wyraźnie zamykając dyskusję na ten temat. Zadzźwięczała gwałtownie odstawiona filiżanka.

Faith zacięcie polowała na kolejny kasek. Nie powinna być taka dociekliwa. Ale bardzo chciała poznać rozmaite szczegóły z jego życia. Zwłaszcza chciałyby wiedzieć, nad czym teraz pracuje. Prawdę powiedziawszy, chciała o nim wiedzieć wszystko.

- Wiesz, że czytałam to, co dotychczas napisałeś? - pochwaliła się. - To znaczy to, co robiłeś dla swojej gazety.

- Tam, w Pine Hollow? - Był tym wyznaniem wyraźnie zaintrygowany.

- Wyobraź sobie, że tam też dochodzi prasa - odparła lekko urażona. - Nawet kilku mieszkańców, którzy uważają się za intelektualistów, prenumeruje prasę z Atlanty. A w bibliotece są egzemplarze „New York Timesa”

i „Washington Post”. Czytałam wszystko o wojnie w Zatoce Perskiej, o Somalii, o Bośni, o Haiti. - Spoważniała, przypomniawszy sobie treść artykułów. - O Rwandzie też.

- Nie powinnaś czytać takich okropności, jesteś zbyt wrażliwa - powiedział poważnie.

- Nikt nie musiałby o tym czytać, gdyby się to nie zdarzało. - Popatrzyła na bruzdy wokół jego ust. - I nikt nie musiałby o tym pisać - dodała miękko. Miała wielką ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić go. - Byłeś wszędzie tam, gdzie jest gorąco? - zapytała, posługując się zwrotem, który często powtarzano w odniesieniu do Jacka Shannona.

Skinął głową i znów sięgnął po filiżankę.

- Tak, poczynając od Wietnamu.
- Wietnam? Przecież to było wiele lat temu!
- Miałem wtedy osiemnaście lat - stwierdził sucho.
- Wystarczyło.

Darowała sobie konwencjonalną uwagę na temat jego młodego wyglądu.

- To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie.

Uniósł ramiona i opuścił je, jakby chciał strząsnąć jakiś ciężar.

- Nie tak ciężkie, jak dla większości chłopców, którzy tam walczyli. - W zamyśleniu obracał kruchą filiżankę w długich palcach. - Kiedy zaczęła «ię wojna, zaczęłam się w „Stars and Stripes”, w wydaniu dla żołnierzy.

- Reporterzy również ginęli i dostawali się do niewoli, przecież czytałam.

Zbył ją machnięciem ręki.

- To były odosobnione przypadki. Wliczone w normalne ryzyko zawodowe. Kiedy przygotowujesz reportaży, w ogóle o tym nie myślisz. Liczy się tylko zdobycie materiału.

- Który jest aż tak ważny, by ryzykować dla niego życie?

- Czasami tak. Przeważnie. — Przynajmniej sam tak uważał. - Zrozum, tak naprawdę nigdy nie wiesz, co będzie tym twoim bombowym tematem na pierwszą stronę, więc gonisz za wszystkim, myśląc, że to będzie właśnie to. A jak już to zdobędziesz, gonisz za następnym. I tylko ta pogoń się liczy. Taki zawód. - Kolejny raz wzruszył ramionami.

Faith w zdumieniu pokręciła głową, usiłując ustosunkować się do tego, co usłyszała.

- Zawsze chciałeś być reporterem?

- Po prostu zawsze to robiłem. - Tym razem nie miał ochoty się rozwodzić. Wreszcie odstawił pustą filiżankę i sięgnął po pałeczki.

- A ty? - Tym pytaniem znowu postawił ją w blasku świateł na środku sceny.

- Ja?

- Kim chcesz być, jak dorośniesz? - Uśmiechnął się wyrozumiale. - Pewnie skrycie marzysz jednak o karierze aktorskiej.

Przez chwilę podejrzliwie mierzyła go wzrokiem, zastanawiając się, czy pyta ze szczerym zainteresowaniem i czy warto mu odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

- O medycynie - powiedziała w końcu. - Ze specjalizacją w położnictwie.

- O tym właśnie marzysz? - upewnił się, powoli obracając przed oczami orzech, trzymany w pałeczkach.

- Tak, już jako dziewczynka chciałam zostać pielęgniarką. - Nie dodała, że ten zawód wydawał się jej wtedy jedynym rodzajem kariery zawodowej dostępnym dla kobiety. Zwłaszcza że jej ojciec nie widział sensu w kształceniu dziewcząt. Dlatego też, choć była bardzo zdolna, nie zgodził się, aby została o rok wcześniej przyjęta do szkoły i nigdy jej nie chwalił za osiągnięcia w nauce, przeciwnie, ciągle powtarzał, że uczenie dziewczyn to strata pieniędzy podatników.

- Gdyby nie Bobbie-Sue, nie pomyślałabym nawet o zdobyciu dyplomu lekarza. Ona potrafiła wzbudzić we mnie ambicję... - Tę uwagę wypowiedziała już na głos, choć przez moment była gdzieś daleko, pogrążona we wspomnieniach. Uważnie obserwujący ją Jack, zauważył cień smutku, który znowu pojawił się w jej oczach.

- Jesteście dobrymi przyjaciółkami, prawda? - zapytał, chcąc skierować myśli Faith na inne tory.

- Bobbie-Sue jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Też pochodzi z Pine Hollow? - Pamiętał lekki, południowy akcent tamtej kelnerki.

- Uhm... - Przez chwilę Faith zajęta była chwytaniem pałeczkami kolejnego przysmaku. — Razem chodziliśmy do szkoły. No, może nie zawsze razem, tylko na niektóre zajęcia, ponieważ obie uczyliśmy się według programów dla zdolnych uczniów. - Uśmiechnęła się do siebie. - Do dziś się dziwię, że udało się zachować naszą przyjaźń. Bobbie-Sue jest piękna, zdolna i pełna radości życia, a więc według mojego ojca ma wszelkie dane, by

stać się narzędziem szatana i przywodzić mężczyzn do zguby.

- Czyżby w Pine Hollow katolicy mieli coś przeciwko pięknu i radości życia?

Faith zastanawiała się przez chwilę.

- Na ogół nie, ale w mojej rodzinie było inaczej - przyznała. - Ojciec zawsze powtarzał, że wszystkie kobiety są córkami Ewy i muszą z całych sił zwalczać w sobie to dziedzictwo.

- Miał surowe zasady - zauważył ostrożnie Jack. Z tego, co mówiła, wyłaniał się nieciekawy portret ojca. - Dlatego właśnie uciekałeś z domu? - zaryzykował.

Faith zaczerwieniła się gwałtownie i odłożyła krewetkę, którą właśnie niosła do ust.

- Wolałabym tak tego nie określać - powiedziała wreszcie. - Może i jestem naiwna, ale nie jestem dzieckiem. Tylko dzieci uciekają z domu. Ja po prostu spakowałam swoje rzeczy i wyprowadziłam się.

Jack nie do końca wierzył w te dumne zapewnienia. Sam jako dziecko uciekł z domu i, prawdę mówiąc, dopiero niedawno przestał uciekać. Teraz wcale nie był pewien, czy mu to wyjdzie na dobre. Wiele zależało od scenariusza, nad którym się trudził.

- W porządku, powiedzmy, że się wyprowadziłaś - poprawił się. - Ale dlaczego dopiero teraz, a nie wcześniej?

Faith z zakłopotaniem przygryzła wargę.

- Z wielu powodów.

Poczucie winy i poczucie obowiązku. Wstyd. Lęk...

- Chyba dlatego, że ten jedyny powód, dla którego

mogłabym zostać, zniknąć. Zeszłej zimy umarła moja mama.

- Och, tak mi przykro - wymamrotał Jack, z trudem opanowując odruch pochwycenia jej w ramiona i objęcia pocieszającym uściskiem. - Nie powinienem w ogóle pytać.

- Nie, wszystko w porządku. Ta śmierć nie była zaskoczeniem. Mama chyba nawet na nią czekała. Chorowała od bardzo dawna. - Powinnam powiedzieć, że była chora na życie, pomyślała ze smutkiem Faith. - Mama była zawsze wrażliwa, delikatna i... nieszczęśliwa - ciągnęła. - A śmierć miała bardzo lekką, łagodną. Kiedy odeszła, nic już mnie nie trzymało w tym domu.

Obraz ojca Faith w umyśle Jacka był już zdecydowanie negatywny.

- Ojciec cię bił? - zapytał gwałtownie, zaciskając pięści na myśl, że ktoś mógłby podnieść ręce na tak słodkie stworzenie.

- Nie, skądże - zaprzeczyła szybko. O wiele za szybko, jak na jego wyczucie. - Mój ojciec był człowiekiem surowych zasad i trzymał nas bardzo krótko, ale nigdy nas nie bił. Przynajmniej nie w taki sposób, jak myślisz.

- Ale uderzył cię, tak? - nalegał Jack.

- No, tak, ale... - urwała, przyciskając dłonie do piersi. Ojciec był o tysiące mil stąd, a jednak ciągle na samą myśl o nim przebiegał ją dreszcz. - Boże, dlaczego rozmawiamy na taki temat? - westchnęła nerwowo, wytrącona z równowagi badawczym spojrzeniem Jacka. - To naprawdę nie jest interesujące.

- Wszystko, co dotyczy ciebie, Jest interesujące - stwierdził ze szczerością, która zdumiała jego samego.

- Nie, uwierz mi, naprawdę nie jest. I nie mam ochoty więcej o tym mówić. Proszę. - Spojrzała na niego błagalnie, kuląc odruchowo ramiona.

- W porządku - uśmiechnął się, starając się przybrać lekki ton. Wpatrzył się w półmisek i oblizał łąkonomie. - Słuchaj... - zaczął nieśmiało - czy będziesz jadła te mięsne knedelki?

- Nie, już dosłownie pękam w szwach - roześmiała się i podsunęła mu talerz. - Jedz na zdrowie, to wszystko twoje.

Natychmiast zręcznie ujął kasek w pałeczki, a kiedy wkładał go do ust, napotkał rozbawione, czułe i bardzo kobiece spojrzenie Faith.

- Co takiego? - zainteresował się natychmiast, gdyż patrzyła na niego, jakby był księciem z bajki.

- Jesteś niesamowicie miłym facetem, Jacku Shannone - powiedziała serdecznie i szczerze. - Pewnie wcale nie chcesz, żeby cię za takiego uważano, ale nim jesteś.

Kasek na moment utknął mu w gardle.

- Nie, kochana - zaprzeczył, patrząc jej w oczy: - Wcale nie jestem miłym misiem, za jakiego mnie naiwnie uważasz.

Zamrugwała niepewnie, ale nie odwróciła wzroku.

- Gdybym był miłym misiem, nie siedziałbym tu teraz z tobą, ponieważ ty jesteś niewinna jak dziecko, a ja jestem tak stary, że mógłbym być twoim ojcem.

- O, nie, ja...

- Miesiąc temu skończyłem czterdzieści trzy lata,

Faith. A ty masz dwadzieścia cztery. Wiem to od Eddiego. Zapytałem go, dlaczego zatrudnia licealistki, więc musiał się bronić. Słowem, między nami jest prawie dwadzieścia lat różnicy.

- Dziewiętnaście - uściśliła z powagą. - A we wrześniu będę miała dwadzieścia pięć, co zmniejsza tę różnicę do osiemnastu lat. Kiedy się urodziłam, mój ojciec był o prawie dziesięć lat starszy od ciebie, więc i tak mu nie dorównasz - stwierdziła ze skrywanym triumfem.

- Dziecinko, weź pod uwagę, że dorastałem w latach sześćdziesiątych - mitygował ją. - Jeśli wiesz coś o nich, to pamiętasz - wolna miłość i zasada, że nikt nikomu nie będzie niczego narzucał. Byłem już wtedy nad wiek rozwinięty i nieźle znałem życie. Z powodzeniem mógłbym zostać tatusiem.

Faith głęboko zaczerpnęła powietrza i spojrzała mu prosto w oczy.

- W takim razie, panie Shannon, mamy z sobą więcej wspólnego, niż przypuszczałam - powiedziała lekkim tonem, próbując obrócić w żart to, o czym nadal nie mogła myśleć bez bólu. - Bo ja byłam w dzieciństwie taka sama.

Rozdział

5

W Bachelor Arms bawiono się wesoło. Na dziedzińcu, na szklanych stołach stały miski z chrupkami i czipsami. Menu uzupełniały smakowitości z pobliskiej meksykańskiej restauracji, wyłożone na dużych aluminiowych tacach - nadziewane krokieciki *empanadas*, naleśniki *burritos* oraz pieczone, ostro przyprawione skrzydełka kurczaków. Do tego jeszcze pieczone z grilla i tartinki serowe oraz jedyne ustępstwo na rzecz zdrowej żywności - miska sałatki warzywnej, której zresztą nikt nie tknął.

Na trzecim ze stołów zaimprovizowano barek, kuszący czterema kartonami taniego wina i wypełnioną lodem wanienką pełną puszek piwa. Dla abstynentów przewidziano napoje w wielkich butlach i wodę sodową. Wszędzie stały kubeczki, szklanki i kieliszki, wszystkich kształtów i rodzajów, przynieszone na imprezę z różnych mieszkań.

Z jednego z nich spuszczone na dół długi pomarańczowy kabel, do którego podłączono wielopłytyowy odtworznik kompaktowy, nastawiony na pełny regulator.

Jack ze wzruszeniem rozpoznał jeden z hitów swojej młodości.

Przez moment wydało mu się, że wysiadł z wehikułu czasu. Muzyka była ta sama, ten sam śmiech, tacy sami piękni młodzi ludzie* z których tak wielu marzyło o kontraktach w Hollywoodzie, a tymczasem bawiło się i flirtowało, tańcząc w cieniu balkonów i kwitnących roślin patia.

Niezniszczalna madame Kuryan była tam również, powiewając, jak dwadzieścia lat temu, swoimi cygańskimi spódnicami. Gęste siwe włosy upięła w wysoki kok. Była zatopiona w rozmowie z młodym człowiekiem w kolczugowatej koszulce i kolczykiem w pępku. Wszystko, tak jak zawsze, śledził okiem gospodarza Ken Amberson, administrator Bachelor Arms.

Jack odruchowo spojrział w górę, jakby spodziewał się, że na balkonie zobaczy swojego brata i jego dwóch współłókatników - Zeke'a i Ethana. Wtedy wszyscy trzej, zarykując się co chwila śmiechem, ciskali w dół frytki albo głośno komentowali zalety dziewczyn. Ale dziś balkon był pusty i cichy.

Zeke Blackstone, słynny reżyser, zdążył się dwa razy rozwieść i obecnie mieszkał na południu Francji ze swoją aktualną kochanką. Ethan Roberts, słynny aktor, miał piękną żonę, która była ozdobą wydawanych przez niego przyjęć, dwójkę dobrze zapowiadających się dzieci i ambicje polityczne. A Eryk nie żył.

Umarł w czasie takiego właśnie przyjęcia.

Przez chwilę Jack myślał, że tego nie zniesie, że ucieknie stąd jak szalony, tak jak wtedy, kiedy policjant

oznajmił mu, że brat popełnił samobójstwo. W tym momencie Faith lekko dotknęła jego ramienia. Zły czar prysnął, rozwiały się koszmarnie wspomnienia.

- Popatrz, urządzili przyjęcie. - W jej głosie brzmiał rozczulający zapał prowińcuszki, którą zachwyca wielkie miasto.

- Tylko nie mów mi, że jeszcze nie byłeś na party - zastrzegł, ale już domyślał się odpowiedzi.

- Tylko na zabawach w parafii. Raz na urodzinach kuzynki. I na paru chrzcinach - wyliczała z roztargnieniem, dosłownie chłonąc wzrokiem wszystko, co działo się na patiu i poza nim. - Jak oni się świetnie bawią, prawda, Jack?

Nie chciał jej sprawić przykrości, więc zmusił się do uśmiechu.

- Dlaczego w takim razie nie przyłączysz się do tej zabawy?

- Nie byłam zaproszona.

- To nie jest czyjeś prywatne przyjęcie, aniołku. To już tradycja tego domu. Jeśli mieszkasz tu, choćby chwilowo, masz prawo się przyłączyć.

Przynajmniej kiedyś tak było, pomyślał, śledząc spod oka całą scenę. Jak dawniej drzwi do mieszkań były gościnnie otwarte. Kiedyś co chwila znikały w nich parki, teraz nie widział tam nikogo. Jak na standardy lat siedemdziesiątych, to było bardzo cnotliwe przyjęcie.

Owszem, śmiano się, flirtowano i tańczono do upadłego, ale nikt nie ciskał z góry balonów z wodą, nie mówiąc już o krzesłach. Nikt nie klęczał przy donicach z kwiatami, trzymając się za brzuch i jęcząc. Nikt nie

ćwiczył publicznie pozycji z Kamasutry. Żadne dymy ani dymki nie snuły się w powietrzu, nie brzęczały bransolety i naszyjniki, nie kłuły w oczy psychodeliczne kolory i światła. I nikt, jak ocenił okiem fachowca Jack, nie zamierzał odlatywać. Zresztą, co można zdziałać, kiedy ma się pod ręką tylko lekkie piwo i aperitify? A przecież czasy wcale nie są cnotliwe, przeciwnie. Jack uznał, że widocznie narkotyki i seks można znaleźć tylko na zamkniętych imprezach. Epoka wolnej miłości i wolnego dostępu do narkotyków najwyraźniej odeszła już do historii. Przynajmniej w Bachelor Arms.

- Witajcie w grzecznych latach pięćdziesiątych - mruknął do siebie z przekąsem. Nostalgiczne wspomnienie szaleństw młodości to podobno pierwszy objaw starzenia się, pomyślał. A lubieżne spoglądanie na Faith McCray to drugi, dodał jeszcze bardziej zgryźliwie.

- O, hej, Faith! - Rozradowana Bobbie-Sue przedarła się ku nim przez tłum. Miała na sobie krótką, falbaniastą spódniczkę, odsłaniającą długie nogi, i jedwabną bluzkę na wąskich ramiączkach. - Gdzie się, do licha, podziewałaś przez cały dzień? Już się zaczęłam denerwować. - Ucałowała przyjaciółkę i zerknęła na nią z ciekawością. Po chwili spojrzała na Jacka i zmierzyła go spojrzeniem, którego nie powstydziliby się wiktoriańska przyzwoitka. - Chyba nie sprzątałaś przez cały dzień?

- Jasne, że nie. - Faith była wzruszona iście matczyną troską przyjaciółki. - Poszłam z Jackiem na lunch.

Bobbie-Sue nie uszedł uwagi cielęcy zachwyt, z jakim Faith popatrzyła na Shannona. Jack musiał znieść jej kolejne spojrzenie spod zmrużonych powiek.

- Lunch? - powtórzyła zdumiona. - Przecież jest prawie siódma.

- Chyba straciliśmy poczucie czasu - wyznała Faith bez żadnej kokieterii. Nie spuszczała z Jacka zachwyconego spojrzenia, jakby był samym Melem Gibsonem.

- Zaczynam w to wierzyć. - Bobbie-Sue pokiwała głową.

- Przykro mi, że tak się o mnie martwiłaś, ale naprawdę wszystko w porządku - zapewniła Faith.

- Tak, zwłaszcza u kogoś, w kogo przed chwilą strzelił grom z jasnego nieba - mruknęła Bobbie-Sue.

- Co powiedziałaś?

- Nic takiego, dziecinko. Chyba zaczynam mówić do siebie. Chodź - wsunęła rękę pod ramię Faith - pobawimy się. Brian Fossey z 3E podpisał angaż do dwuodcinkowego filmu telewizyjnego i razem z nami świętuje swój sukces.

- Jack, a ty? - Faith opierała się ciągnącej ją przyjaciółce.

- Idź i baw się dobrze. - Poklepał ją po ramieniu. - Ja pójdę do siebie i spróbuję trochę popracować. Dostę się w życiu nabawiłem. - Popchnął ją lekko, odwrócił się i odszedł.

Biedna Faith ciągle trwała w rozterce. Bobbie-Sue miała coraz bardziej niezadowoloną minę.

- Powiedz, co się dzisiaj między wami wydarzyło? - zapytała ostro. - Jeśli ten drań cię wykorzystał, to przysięgam, że...

- Powiedział, że jest dla mnie za stary.

- ...własnoręcznie odetnę mu... Co takiego?

- Powiedział, że jest dla mnie za stary - powtórzyła powoli Faith. - Mówi, że jestem naiwna jak dziecko, a on mógłby być moim ojcem. Próbowałam mu wytłumaczyć, że to nieprawda, ale...

- Powiedział to po tym, jak cię uwiódł, czy przed? Faith wreszcie się ocknęła.

- Wcale mnie nie uwiódł. Nie mógłby. Jest na to za uczciwy.

- Powiedzmy raczej, że mu się jeszcze nie udało. Ale mam na to cholerną ochotę.

- Och! - Twarz Faith rozjaśniła iskierka nadziei. - Naprawdę tak myślisz?

To już do reszty dobiło Bobbie-Sue.

- Dziewczyno, czy ty nie masz za grosz instynktu samozachowawczego? W tym jednym facet ma rację - jest dla ciebie za stary. I to nawet nie chodzi o wiek, tylko o doświadczenie. Jesteś niewinna i ufna jak jagniątko.

- Boże, dlaczego, odkąd tylko przyjechałam do Los Angeles, wszyscy do znudzenia powtarzają mi, jaka jestem niewinna? - zirytowała się Faith. - Nie jestem ani niewinna, ani naiwna. Jestem normalną, dorosłą kobietą!

- Może i dorosłą, ale niedoświadczoną. Nie, nie masz co zaprzeczać, i nie masz się też czego wstydzić. Wszystkie na początku byłyśmy niewinne, to normalne. Chodzi mi tylko o to, że mogłabyś się wprawiać na jakimś porządnym, miłym facecie, a nie na zblazowanym przystojniaku w typie Jacka Shannona. Lepiej zostaw go innym, które będą umiały sobie z nim poradzić - pouczała Bobbie-Sue z mądrą miną.

- Takim jak Jill Foyle? - rzuciła Faith. Patrzyła na Jacka, który jeszcze nie dotarł do swojego mieszkania, gdyż zagadał się z efektowną blondynką z 2B.

- Na przykład - potaknęła Bobbie-Sue, która również dostrzegła tę parę. - No chodź, zabawimy się, chłopaki czekają. - Pociągnęła przyjaciółkę ku stolikom.

- Nie jestem ubrana - protestowała Faith.

- Daj spokój, jesteś lepiej ubrana niż większość ludzi tutaj. I bardzo dobrze ci w moich dżinsach. Lepiej niż mnie. Idziemy! Dennis Kincaid z 3B już parę razy podpytywał mnie o ciebie, wiesz? - Bobbie-Sue zabawnie puściła oko.

- Go jest z tymi dziećmi, czy one w ogóle nie mają własnej muzyki? - powiedział Jack do stojącej obok niego blond piękności.

Jill Foyle uśmiechnęła się wyrozumiale, gdy rozległy się słodkie akordy kolejnego hitu z końca lat sześćdziesiątych.

- Powinieneś się cieszyć, staruszkule, i wspominać młodość - stwierdziła, patrząc na niego z rozbawieniem.

- Wolałbyś jakiś heavy-metalowy łomot?

- Boże broń!

- No właśnie. - Pogładziła smukłymi palcami plastikowy kubek. - Nie widuję cię ostatnio. Masz dużo roboty?

- Jak cholera. - Jack pociągnął łyk piwa.

- Aż tak dużo, że nie masz czasu zajrzeć do mnie choć na chwilę?

- Widzisz, Jill... - zaczął z wahaniem. Dopadła go zupełnie nie w porę! - Już o tym rozmawialiśmy. Nie ma

sensu pakować się w ograne schematy, które oboje znamy do znudzenia. Przyznałaś mi wtedy rację, pamiętasz?

- Dobrze, nieważne - ucięła, machnąwszy ręką. - To tylko chwilowa słabość. Wiesz, człowiek czasami czuje się tak...

- Samotny - poddał domyślnie.

- Tak, samotny - westchnęła. - Kiedy przyjechałam tu z Bostonu, wyobrażałam sobie, że rozpocznę nowe życie, ale teraz widzę, że wprowadzenie się do Bachelor Arms nie było dobrym posunięciem. - Popatrzyła wokół na roześmiane twarze. - Większość z nich jest taka młoda. Zwłaszcza dzisiaj czuję się przy nich jak antyk.

- Mnie to mówisz - sarknął Jack, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Popatrz, a Natasza świetnie się dogaduje z tymi dziećmi *- zauważyła Jill, ale natychmiast spostrzegła, że Jack już jej nie słucha. Zerknęła badawczo najpierw na niego, a potem na tłumek na dziedzińcu. Coś - albo raczej ktoś - przyciągnął jego uwagę. Gotowa była się założyć, że chodzi o kobietę. Tylko o którą?

Dwie młode, ładne dziewczyny stały w pobliżu w asyście trzech przystojnych chłopców. Uwagę przyciągała atrakcyjna, żywa jak srebro Bobbie-Sue, ale Jill nie dała się zwieść. To musiała być ta druga, wielkooka dziewczyna o nieśmiałym uśmiechu. To na nią Jack Shannon patrzył tak tęsknie.

- Nie pomyślałabym, że ona jest w twoim typie - zauważyła Jill, starając się nie okazać zazdrości.

- Kto? - Szybko odwrócił się do niej. - Natasza?

- Przyjaciółeczka Bobbie-Sue. Ma chyba na imię

Faith. Nie uważasz, że jest trochę za młoda dla ciebie?

- Nie mogła sobie odmówić tej drobnej złośliwości.

- O wiele za młoda - odparł smutno. - I zupełnie nie w moim typie - dodał bez przekonania. Ale jego spojrzenie znów podążyło ku smukłej postaci. Nawet nie zauważył, kiedy Jill Foyle odeszła.

Faith powinna się świetnie bawić, a tymczasem cierpiała, bo jedyny naprawdę przystojny i interesujący mężczyzna w tym towarzystwie wolał rozmawiać z inną kobietą. Z kobietą piękną, mającą swój własny styl i doświadczenie.

- Czego się napijesz, Faith? - Niewesołe rozmyślenia przerwał głos jednego z młodych ludzi. - Winka?

Zawahała się na moment. Kiedyś już próbowała wina - na kościelnej fecie, kiedy jej kuzyn Martin przemycił butelkę i dał jej spróbować. Okropnie jej nie smakowało, a poza tym drżała ze strachu, że ojciec może coś wyczuć. Ale teraz ojciec był daleko. A Jill Foyle, tak swobodnie konwersująca z Jackiem, co chwila podnosiła do ust plastikowy kubek. Zapewne nie była to woda mineralna.

Dlatego Faith łaskawie uśmiechnęła się do młodego człowieka, naśladowując jedną z zalotnych min Bobbie-Sue.

- Chętnie, Dennis.

Ze swej ukrytej pozycji w cieniu balkonu Jack widział, jak Faith przyjmuje szklanekę wina od młodego przystojniaka, który wypinał pierś napakowaną mięśniami w pocie czoła wypracowanymi na siłowni. Obserwo-

wał, jak ostrożnie pociąga łyk i uśmiechnął się, widząc, że krzywi się dyskretnie. Można się zniechęcić do tego szlachetnego trunku, pijąc tanie wino z kartonu, pomyślał. Ale Faith z zadowoloną miną powiedziała coś do mięśniaka, najwidoczniej dziękując mu, i odważniej pociągnęła drugi łyk. Tamten obrzucił ją zachwyconym spojrzeniem, najwyraźniej ujęty jej słodką niewinnością.

Pierwsze akordy „Satisfaction” Rolling Stonesów poruszyły w duszy Jacka czułą strunę. Przez moment w jego pamięci odżyła niepowtarzalna atmosfera dawnych szaleństw, ale zaraz, jak ohydny zgrzyt, -zgasiło ją przypomnienie śmierci Eryka.

Daj spokój, stary durniu, skarcił się w myśli. Przecież nie będziesz tu stał, rozklejał się i pilnował jak pies tej dziewczyny. Nie nadajesz się na jej chłopaka, już prędeż na ojca. No, ojczulku, pozwól córeczce pobawić się trochę, szydził z samego siebie. Już miał odejść, kiedy zaśpiewali The Drifters. Sentymentalna, prosta melodia, podkreślona rytmem calypso była wprost wymarzona do tańca z ukochaną. Nowy adorator musiał dojść do podobnego wniosku, gdyż nachylił się nad uchem Faith i czule coś szepnął. Drgnęła, zdumiona i zrobiła przeczący ruch głową.

Przystojniaka to nie zniechęciło. Znów szepnął coś - coś, co wywołało rumieniec na twarzy Faith, i czubkami palców przesunął po jej ramieniu.

Napięty mięsień zadrgał w szczęce Jacka. Zostaw ją, da sobie radę, upomniał się i pozostał na miejscu. Po tylu latach życia pod kloszem dziewczyna ma prawo się cieszyć, kiedy ktoś ją adoruje.

Jednak z niemałą ulgą zobaczył, że podbródek Faith unosi się hardo do góry w automatycznej odmownej odpowiedzi na zaloty. Niestety, wszystko popsuła ta wstręt-na stręczycielka, Bobbie-Sue, która natychmiast pojawiła się koło nich, tłumacząc coś przyjaciółce. Faith zawałała się, a, potem wzięła głęboki oddech i zanim podała swoje wino Bobbie-Sue, pociągnęła głęboki łyk. Szczęśliwy zdobywca błyskawicznie zaholował ją na środek patia i skwapliwie wziął w ramiona.

Jack zacisnął pięści. Najchętniej podskoczyłby do tego młodzika i porządnie dał mu w szczękę. Jak śmiał położyć na niej łapy!

- Jasny gwint, przecież to ja powinienem uczyć ją tańca!-warknął.

Pierwszy prawdziwy taniec... dlaczego jednak nie z Jackiem, z żalem pomyślała Faith, z roztargnieniem uśmiechając się do rozanielonego Dennisa. Im mocniej ją tulił, tym bardziej sztywniała, jednocześnie marząc o innych ramionach.

- Hej, Faith, co ci jest? Trochę luzu - upomniał ją partner.

Próbowała przynajmniej udawać, że czuje się swobodnie, ale ścisnął ją tak, że brakowało jej tchu.

- Trzymasz mnie tak mocno, że nie mogę oddychać.

- To normalne, kiedy grają powolny kawałek - roześmiał się i przycisnął ją jeszcze bardziej.

Co gorsza, jego ręka zbłądziła niżej, przyciskając jej biodra do jego bioder. Faith zeszywniała w instynktowym oporze, ale nawet tego nie zauważył. I tak już pra-

wie, nie poruszali nogami. Na próżno, zapierając się dłońmi o jego pierś, usiłowała go odepchnąć.

- Och, jaka jesteś słodka - wydyszał namiętnie w jej ucho.

O Boże, przecież wsadza mi do ucha język! - pomyślała z przerażeniem, gorączkowo zastanawiając się, co robić. Nagle jej dręczyciel uniósł głowę i nieco rozluźnił uścisk. Natychmiast skorzystała ze sposobności, żeby zwiększyć dystans między nimi. Teraz może jakoś dotrwa do końca piosenki.

Nagle odetchnęła pełną piersią. Była wolna! A przed nią stał Jack.

- Może jednak zatańczysz ze mną? - powiedział, otwierając ramiona.

Faith bez słowa pozwoliła mu się objąć, jak gdyby robiła to już wiele razy. Jack ujął ją jedną ręką w tali, drugą chwycił jej dłoń i poprowadził, tuląc do siebie ciasno, ale tak, by mogli patrzeć sobie w oczy.

Zaczęli kołysać się w tańcu, unoszeni zmysłowym rytmem muzyki. Faith nie była już sztywna; bez oporów pozwalała się prowadzić doświadczonemu partnerowi. Kiedy się zgrali, Jack przyciągnął ją mocniej do siebie, aż jej sutki oparły się o twardą męską pierś. Ich ciała dzieliła tylko cieniutka tkanina bawełnianych koszulek. Faith z wrażenia straciła oddech, a Jack zmylił krok. Zamarli pośrodku parkietu w uścisku, patrząc sobie w oczy, obojętni na muzykę, na gwar i śmiechy innych, na zapachy jedzenia i słodką woń kwiatów..Istnieli tylko dla siebie, czuli tylko siebie. Atmosfera wokół nich stała się aż gęsta od nie wypowiedzianych słów, nie

spełnionych pragnień i palących tęsknot. Jeszcze przed chwilą nie zdawali sobie sprawy z ilości i natężenia tych emocji.

- Jack - szepnęła miękko Faith. Kryło się w tym pytaniu i zaproszenie zarazem.

Jack wydał z siebie gwałtowny, zduszony dźwięk, coś pośredniego pomiędzy pomrukiem a zmysłowym śmiechem.

- Nie powinnaś nigdy patrzeć na mnie w ten sposób, aniołku.

- W jaki sposób?

- Po prostu zamknij oczy, dobrze? Proszę... - Inaczej zwariuję, dodał w myśli.

Faith westchnęła, lecz posłusznie zrobiła, o co, prosił. Za to przyłgnęła do niego mocniej. Czułym gestem objął jej głowę i przycisnął do swego ramienia.

Nie ufaj mi, uważaj, chciał jej powiedzieć, ale zamiast tego wtulił policzek w pachnące włosy. Nowa, tęskna i piękna piosenka poprowadziła ich swoją melodią. Kołysali się lekko w miejscu, nie zważając na tempo, zamknięci jak w czarodziejskiej kuli w swoim wspólnym, cudownym świecie.

Faith napawała się wielkim, cichym szczęściem. Czuła się doceniana, podziwiana, chroniona i bezpieczną. Tak nieprawdopodobnie bezpieczna, tu, w mocnym kręgu tych ramion. A kiedy usta mężczyzny musnęły jej czoło, zapragnęła czegoś więcej niż tylko łagodności i spokoju. Gorący dotyk warg i wilgotnego języka wyrwał z jej piersi jęk. Odchyliła głowę do tyłu w geście oddania.

Jack prawie już nie panował nad sobą. Ujął dłońmi głowę Faith i podtrzymując ją, muskał ustami gładki łuk delikatnej szyi.

- Jack... - wykrztusiła z drżeniem. - Och, Jack!

- Cholerny świat, Faith, nie nadaję się dla ciebie - powiedział, ale ton tych szorstkich słów sprawił, że zabrzmiały jak pieśzcota. - Nawet nie byłabyś sobie w stanie wyobrazić, co w życiu robiłem i widziałem. Poza tym jestem dla ciebie za stary. Faith, otwórz oczy i spójrz na mnie!

Rozmyślnie powoli uniosła powieki, nie kryjąc czającego się za nimi zachwytu i pożądania.

- Jack...

Trwał bez ruchu, rozdarty między gorącym pragnieniem a poczuciem winy.

Faith rozchyliła usta i leciutko, łakomie oblizwała je językiem.

Tego już było za wiele. Jack wydał z siebie niski, głuchy dźwięk.

- Trafię za to do piekła, ale niech tam - wydyszał z wargami na jej wargach. - Nie mogę już wytrzymać. A ty, aniołku, ty też nie możesz. Widzę to! Czuję!

Już się nie wahał. Chciwie, bezceremonialnie zawładnął ustami Faith.

Rozdział

6

Nie sposób od niej uciec, myślał z udręką Jack, krążąc niespokojnie po pokoju, gnany nie spełnioną namiętnością. Faith była obecna w każdym kącie wysprzątanego do połysku mieszkania. Szyby, lustro i parkiet lśniły. Meble pachniały mleczkiem Pronto. Wyprana pościel i ręczniki wydzielały lekki kwiatowy aromat płynu zmiękczającego. Zdążyła nawet zrobić porządek na jego półkach. Książki były wreszcie odkurzone, kasety wideo i płyty kompaktowe stały w rzędzie. Aż przystanął z wrażenia, zobaczywszy kolorowe pisma ułożone w równiutkich stosach, dla których nagle znalazło się miejsce na półkach. Mało tego, zostały nawet ułożone według dat wydania!

Nagle naszła go absurdalna ochota, by zrzucić to wszystko na podłogę, zamienić ten cudowny porządek w bałagan podobny do zamętu, w jakim znalazło się jego męskie ego. Z trudem się opanował i wielkimi krokami ruszył do kuchni. Tam wyładował się na wózek, w którym Faith trzymała środki do sprzątania, kopiać go

gwałtownie, aż rozsypały się szczotki i butelki. Klnąc, zapalił górne światło, tylko po to, by zobaczyć jej żółte gumowe rękawice wiszące na suszarce i kwiecisty fartuszek, który tak rozkosznie opinał jej biodra, zrzucony na podłogę. Podniósł go i w nagłym odruchu przytknął do twarzy, z lubością wciągając w nozdrza lekki, cytrynowy zapach.

Zapach delikatny jak jej niewinność...

- Weź się w garść, Shannon! - warknął, wściekły na siebie nie na żarty.

Miała absolutną rację, kiedy tam, w patiu, kazała mu przestać. I tak już zaszedł za daleko. Co prawda, safna^r mu to ułatwiała, nawet nie skrywając pragnienia - ale tylko do czasu. Potem, w jednej chwili, stała się chłodna i niechętna/Widocznie opamiętała się wcześniej niż on.

Szkoda! Jeszcze nie zdążył dobrze posmakować jej warg, a już zacisnęła usta i wparła się rękami w jego pierś, z całych sił odpychając go od siebie/Zaskoczony, nie tylko nie puścił jej, ale odruchowo wzmocnił uścisk. Nagle, przestała walczyć i trwała w jego objęciach napięta jak wystraszone dziecko. Co dziwniejsze, w jej oczach dostrzegł nie tylko lęk, ale i gniew podszyty niechęcią i poczuciem winy. Poczucie winy mógł jeszcze zrozumieć, wiedząc, jak została wychowana. Ale gniew? Znów potraktowała go niesprawiedliwie, tak samo jak wtedy, gdy uwolnił ją z łap Theodore'a Smitha.

Z początku chciał coś powiedzieć, zażądać wyjaśnień, ale w końcu bez słowa uwolnił ją ze swoich objęć. Odbiegła w pośpiechu, nie oglądając się za siebie. Tylko Bobbie-Sue rzuciła mu czujne, ostrzegawcze spojrzenie

i objawszy przyjaciółkę opiekuńczym gestem, odprowadziła ją do pokoju.

Jack zorientował się, że mnie fartuch w zaciśniętej pięści, i to go otrzeźwiło. Powoli rozprostował materiał i przewiesił fartuch przez krawędź wózka, dokładając do niego rękawice. "Lepiej, że tak właśnie się stało, przekonywał sam siebie. Teraz zrobi sobie mocnej kawy i wreszcie zabierze się do pracy. Praca zawsze pozwalała mu zapomnieć o problemach. Popatrzył na stół w jadalni, gdzie wśród papierzysk i niedopałków królowała jego stara, poczciwa maszyna do pisania. Tam nie zdążyła wkroczyć Faith. I bardzo dobrze.

- Nie chcę się wtrącać, ale czy jesteś pewna, że dobrze robisz? - zapytała z troską Bobbie-Sue. - Jack Shannon nie jest typem faceta, z którym powinno się prowadzić gierki. A przynajmniej nie takie. Igrasz z ogniem, złotko.

- Nie prowadziłam z nim żadnych gierek!

- Mogłabyś mi w takim razie wyjaśnić, co właściwie robiłaś?

- Ja... - Faith poprawiła się na kanapie i nerwowo splotła ręce na kolanach. - Och, Bobbie-Sue, ja sama nie wiem, co zrobiłam - powiedziała płaczkliwie. - Myślałam, że panuję nad tym, ale wiem tylko, że pragnęłam znaleźć się w jego ramionach, a on patrzył na mnie tak... tak słodko, jak gdyby naprawdę mu na mnie zależało i jak gdyby rozumiał wszystko, co czułam. I chciałam go pocałować, bo tak pięknie pachniał i tak mi się podobał. Ale wtedy powiedział... - urwała, robiąc smutną minę.

- No, co powiedział? - naciskała Bobbie-Sue.
- Że jest dla mnie za stary. I że robił jakieś straszne rzeczy, których sobie nawet nie wyobrażam. Nie dbam o to, choć może powinnam. I jeszcze powiedział, że pewnie trafi do piekła za to, że nie może mi się oprzeć.
- I co dalej?
- Dalej zaczął mnie całować, a ja... ja go odepchnęłam. Bobbie-Sue przez moment mierzyła Faith wzrokiem^ nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim sądzić.
- ' Czegoś tu nie rozumiem...
- Jack powiedział, że przestaje już nad sobąpanować i nie jest w stanie mi się oprzeć.
- Dziewczyno, gdyby Jack Shannon powiedział mi coś takiego, rozpląnęłabym się jak masło na grzance. Ty chyba naprawdę nie wiesz, czego chcesz,
- On też tak uważa - przyznała Faith. - Zupełnie jak gdyby to była moja wina.
- Teraz już naprawdę nic nie rozumiem. - Bobbie-Sue pokręciła głową. - A czyja, jak nie twoja?
- Jak to? - wykrzyknęła Faith, zaciskając pięści. - Przecież nie tylko on był wystawiony na pokusę. Ja też! Ale nie winiłam go za to, więc dlaczego miał pretensję do mnie?
- Wcale nie odniosłam wrażenia, że miał do ciebie pretensję, tylko tak z tobą flirtował.
- Faith pokręciła głową.
- Myślałam, że tu, w Kalifornii, wszystko wygląda inaczej.
- Co ma wyglądać inaczej?
- Pamiętasz naszą Amy Clarke?

- Jasne, że pamiętam. Ale nie...

- Pamiętasz, co się z nią stało?

- Zrezygnowała z nauki w maturalnej klasie. Oficjalnie mówiono, że zapadła na mononukleozę i musi pozostać w domu, ale wszyscy wiedzieli, że była w ciąży. Podobno ojcem był Lyle Fisher.

- Właśnie. Potem Amy wylądowała w domu dla samotnych matek, a Lyle dostał stypendium naukowe i poszedł na politechnikę.

- To smutna historia i szkoda mi Amy, ale nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszym Panem Ciemnym, Wysokim i Niebezpiecznym? - dziwiła się Bobbie-Sue.

- Obie rodziny należały do naszej parafii i kiedy cała sprawa się rozniosła, ksiądz wygłosił kazanie o współżyciu seksualnym bez sakramentu. Ale oczywiście każdy rozumiał, że chodzi o Amy. W ten sposób została napiętnowana. - Samo wspomnienie tamtych wydarzeń sprawiło, że Faith zacisnęła dłonie w poczuciu gniewu i upokorzenia. - Cieszyłam się, że trafiła do tego domu i ma tam dobrą opiekę. Wcale nie miałam ochoty słuchać, jak ksiądz nazywał ją córką Ewy i ładacznicą. Z tego drania Lyle'a zrobił biednego, niedoświadczonego chłopaczka, który dał się złapać w jej sidła. Nikt nie bronił Amy, nawet jej matka, wyobrażasz to sobie?! Na koniec ksiądz zapytał Lyle'a, czy odczuwa skruchę. I ten tchórz oświadczył, że na przyszłość będzie się opierał pokusom ze strony słabych, rozwiązłych kobiet. A najgorsze było to, że przy wyjściu z kościoła mój ojciec podszedł do niego i pogratulował mu szczęśliwego wyrwania się

z życia w grzechu i upadku, jakie niechybnie czekałoby go, gdyby ożenił się z taką ladacznicą jak Amy - wyrzuciła siebie Faith niemal jednym tchem.

Bobbie-Sue usiadła przy niej na kanapie i ujęła jej dłoń w swoje.

- Nie chcę się wypowiadać na temat twojego ojca i jego zasad - powiedziała łagodnie - ale Pismo Święte można interpretować na różne sposoby. I nie wszystkie interpretacje są aż tak bezwzględne dla nas, słabych **kobiet.**

- Wiem, Bobbie-Sue. Wiem to, ale uczucia kazały mi reagować inaczej. Zrozum, dosłownie dostaję szału, kiedy o tym wszystkim myślę.

A ta złość mi pomaga, uświadomiła sobie nagle. Pomaga wypalić w sobie poczucie winy.

- Z jednej strony wmawia się nam, że jesteśmy słabą płcią, którą mężczyzna ma chronić - ciągnęła z pasją Faith. - Tylko po to, żeby za chwilę obarczać nas winą za całe zło i oskarżać, że mamy jakąś tajemniczą, zgubną władzę nad mężczyznami. A na dodatek oczekuje się od nas, że będziemy się kajać za to, co zrobili oni! - zakończyła z oburzeniem, porażona jawną niesprawiedliwością tego stanu rzeczy.

- Niepotrzebnie się aż tak przejmujesz! - Bobbie-Sue pocieszająco poklepała ją po ramieniu. - Nie myślę, by Jack winił cię za cokolwiek. Z tego, co usłyszałam, sądę raczej, że sam czuje się nie w porządku. Potrzebuje jakiegoś... - zrobiła cyniczną minę - no, powiedzmy, wzniesłego pretekstu, żeby jednak zyskać to, czego pragnie. Nie różni się w tym od innych facetów, wierz mi.

- T o nie jest fair.

- Zupełnie się z tobą zgadzam, to jest nie fair. Mądra kobieta wie, jak sobie radzić.

- W takim razie pora na dalsze lekcje. Co jeszcze powinna wiedzieć mądra kobieta? - Faith niby żartowała, ale naprawdę czuła się nieco zagubiona.

- Po pierwsze, mądra kobieta musi wiedzieć, czego chce - stwierdziła autorytatywnie Bobbie-Sue - i konsekwentnie to realizować. A poza tym mieć w nosie wszystko, co mogą sobie o tym pomyśleć inni.

Mądra kobieta wie, czego chce i konsekwentnie, do tego dąży. Ba, ale czego ona naprawdę chce? - zastanawiała się Faith. Odpowiedź na to pytanie była jej po części znana. I dzięki temu zrealizowała część planów.

Pierwszym krokiem był wyjazd z Pine Hollow. Drugim - zdobycie pracy, czyli środków utrzymania. Właściwie miała dwie posady, jeśli liczyć sprzątanie. Poza tym w banku leżała całkiem ładna sumka, na którą złożyły się pieniądze zarobione za opiekowanie się dziećmi, a także zaoszczędzone z kieszonkowego, które dostawała co tydzień od matki. Marząc o ucieczce, ciułała cent po cencie, dolar po dolarze, i nie zdradzała nikomu swojej tajemnicy - aż wreszcie uznała, że nadeszła pora.

Nie wymknęła się z Pine Hollow potajemnie, jak złodziej, tylko wyraźnie powiedziała ojcu, co zamierza zrobić. Tak jak się spodziewała, urządził straszną awanturę, wyzywając ją od wyrodných dzieci i wróżąc, że skończy w ryszotku. Przysiągł, że jeśli tylko da krok za drzwiami, wyrzeknie się jej. Ale nie mógł jej powstrzymać.

Była dorosła i miała prawo decydować o swoim losie, dążyć do wolności i szczęścia.

Wielu ludziom wystarczyłoby w zupełności to, co do tej pory osiągnęła Faith, ale nie jej. Miała swoje własne porachunki z losem. Postanowiła udowodnić sobie, że potrafi na zawsze wypędzić ze swojego życia dawne lęki. Dlatego teraz zdecydowanie zapukała do drzwi Jacka Shannona.

Kiedy Jack usłyszał stukanie, uniósł głowę znad maszyny do pisania. Jego spojrzenie powędrowało mimowolnie ku roboczemu wózekkowi Faith, a potem ku zegarowi na ścianie. Była dokładnie pierwsza.

Pukanie rozległo się jeszcze raz, głośniejsze. Jack zgasił papierosa, choć był wypalony tylko do połowy, i wstał. Nawet dobrze się składa, wreszcie będzie mógł zakończyć tę sprawę. Skreślił do kuchni, chwycił wózek za rączkę i pociągnął za sobą do holu. Załatwi to szybko i uprzemie - odda wózek, zapłaci za robotę i się pożegna. Tak będzie lepiej dla nich obojga. Z rozmachem otworzył drzwi. Faith zamarła z ręką uniesioną, by zapukać po raz trzeci.

- Czy nikt ci nigdy nie mówił, że cierpliwość jest **cnotą**?

Zaczerwieniła się, słysząc lekką naganę, ale trzymała fason.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłam, ale jest już pierwsza.

- Nie obudziłaś mnie. - Niewiele spał, pracował długo w nocy. Albo raczej usiłował pracować i nie myśleć

o niej. W rezultacie ani jedno, ani drugie mu się nie udało. - Ile ci jestem winien? - zapytał, sięgając do tylnej kieszeni po portfel.

- Na razie nic. Jeszcze nie skończyłam.

Na ten argument był przygotowany.

- Uznajmy, że już wystarczy - stwierdził. Otworzył portfel. -Więc ile?

- Nie biorę zapłaty za pracę, której nie dokończyłam - powiedziała stanowczo.

- Zapłacę ci za to, co już zrobiłaś, a nie za to, czego jeszcze nie zrobiłaś. Po raz ostatni pytam: ile?

- Ustaliliśmy na początku, że nie będziesz mi musiał płacić, jeśli będziesz niezadowolony z mojej pracy. - Wyciągnęła rękę i chwyciła wózek. - Widzę, że nie jesteś zadowolony, więc jesteśmy kwita.

Jack natychmiast złapał wózek z drugiej strony, nie pozwalając, by przeciągnęła go przez próg.

- Cholera jasna, przecież nic takiego nie powiedziałem! Na dowód mogę ci nawet napisać najbardziej pochwalne referencje.

- Jadłam lunch na twój koszt. Nie jesteś mi już nic winien., - Zirytowana, usiłowała pociągnąć wózek do siebie.

- Nie bądź idiotką. - Szarpnął i odepchnął wózek poza zasięg jej rąk. - Wczoraj solidnie się napracowałaś przynajmniej przez cztery godziny i należy ci się zapłata. Weź. - Usiłował wcisnąć jej zwitek banknotów.

Odpowiedzią było znane mu już, uparte zadarcie podbródka.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała uprzejmie, lecz stanowczo.

- Faith, radzę ci, nie utrudniaj!

- Czy mogę prosić o zwrot mojego wózka?

Jack zaklął paskudnie.

Stała tu przed nim, patrząc mu prosto w oczy. Na jej twarzy malowała się duma.

- Wózek! - nakazała władczo.

- Dobra, niech ci będzie - uległ z westchnieniem, wciskając z powrotem portfel do kieszeni. - Wejź i skończ sprzątanie. Ale ostrzegam cię, aniołku, nie odpowiadam za to, co się może stać.

Gniew błysnął w jej oczach.

- W takim razie ja mam odpowiadać?

Teraz i jego zaczął ogarniać gniew, na pozór bez powodu.

- Tak jest, koteczku - wycodził. - Wchodzisz tu na własną odpowiedzialność, pamiętaj.

Faith poczuła nagłą suchość w ustach, ale postanowiła nie dać mu satysfakcji. Od tej pory nie pozwoli, by jakkolwiek mężczyzna ją upokorzył.

- A co takiego się stanie, jak wejdem? - zapytała prowokacyjnie.

Ze zduszonym okrzykiem mężczyzna doskoczył do niej, ogarnął ją ramieniem i wciągnął do środka przez próg.

- To! - wychrypiał, przyciągając ją do piersi, z ustami na jej wargach.

W pierwszym odruchu chciał ją oszołomić, przestraszyć demonstracją pasji i siły, ale kiedy tylko dotknął

miękkich warg, natychmiast stracił na to ochotę. Zostało tylko pragnienie i nagła potrzeba spełnienia. Przecież dawał jej szansę wycofania się, ale z niej nie skorzystała. Teraz była w jego mocy. Otoczył Faith drugim ramieniem i odchylił jej głowę do tyłu, by pogłębić pocałunek.

Wargi miała słodkie i cudownie miękkie. Zaprzagnął ich jeszcze bardziej, zaprzagnął wszystkiego, co była w stanie mu dać. Na moment odchylił głowę.

- Otwórz usta, aniołku - poprosił namiętnym szeptem. - Wpuść mnie.

- Jack, proszę....

Nie dokończyła. Zdusił jej słowa w zarodku. Opierała się jeszcze chwilę, ale coraz słabiej. Była uwięziona w pułapce ramion i twardej piersi. Te usta na jej wargach były zbyt gorące, zbyt pożądliwe, zbyt... tak, zbyt kuszące. Nie mogła i nie chciała już walczyć. Drżąc, poddała się z cichym westchnieniem.

Ten łagodny dźwięk otrzeźwił Jacka. Dłoń, wczepiona we włosy z tyłu głowy Faith, rozluźniła chwyt. Ramiona stały się opiekuńcze. Przerwał pocałunek, by spojrzeć jej w twarz.

Oczy miała przymknięte, a policzki blade. Patrząc w milczeniu, jak po jej policzku spływa łza.

Jack poczuł się jak dzika bestia, jak najgorszy drań, jak kolekcjoner dziewczyc.

- Aniołku, nie płacz. Nie chciałem, zrozumi, bardzo cię przepraszam - szeptał rozpaczliwie, tuląc jej twarz w dłoniach i kciukiem ścierając łzę. - Wszystko w porządku? Boli cię coś? Zrobiłem ci krzywdę?

- Nie. - Nadal nie otwierała oczu. - Nie zrobiłeś mi krzywdy.

- Daj spokój, powinno się mnie zastrzelić jak wściekłego psa! - Puścił ją i chciał odstąpić krok do tyłu, ale Faith wczepiła mu palce w koszulę.

- Nie, Jack. - Teraz otworzyła oczy. - To moja wina. Przecież ostrzegłeś mnie lojalnie, co się może stać, a ja cię sprowokowałam. - Głęboko wciągnęła powietrze. - Mam, na co zasłużyłam.

- Nawet nie próbuj tak myśleć. - Chwycił ją za ramiona. - Nie możesz odpowiadać za to, że nie panują nad sobą.

- Ale sam powiedziałaś że...

- Wiem, co mówiłem. To było głupie, okrutne i...

- ...i prawdziwe - dokończyła szeptem. Poczucie winy, z którym tak walczyła, znów powróciło. Zdaje się, że jednak ojciec miał rację, oceniając jej charakter.

- Faith, nie. - Jack znów ujął jej twarz w dłonie. - Nie pozwolę, żebyś się obwinięła. Dla mnie tamte słowa były tylko wybiegiem, pretekstem, żeby usprawiedliwić to, co zamierzałem zrobić. A chciałem to zrobić od pierwszego momentu, kiedy cię zobaczyłem. I wierz mi, gdybyś jednak wzięła pieniądze i poszła sobie, szukałbym jakiegoś innego sposobu, żeby dopiąć swego.

Właśnie znowu go szukasz, draniu, uświadomił sobie.

Ujął jej dłonie, nadal kurczowo wczepione w jego koszulę.

- Lepiej już idź, aniołku. - powiedział, usiłując delikatnie oderwać ręce Faith. - Idź, zanim wymyślę nowy pretekst, żeby cię wykorzystać.

- Nie mów tak, Jack. - Jeszcze mocniej zacisnęła palce. - Nie wykorzystasteś mnie. Tylko pocałowałeś.

- Owszem, pocałowałem cię. A jeśli teraz nie wyjdiesz, to możesz być pewną, że za chwilę wylądujesz w moim łóżku - powiedział rozmyślnie okrutnym, pożądlivym tonem samca, by ostatecznie zniechęcić ją do siebie, - Nie wydaje mi się, kotku, żebyś była gotowa na coś takiego.

Faith bez drgnienia powiek wpatrywała się w jego twarz, by odkryć, co chowa się za fasadą tej wulgarności.

- A gdybym powiedziała, że jestem gotowa? - wykrztusiła z drzeniem.

Jack patrzył na nią długo, w napięciu. Kusił ją. Jak kusił! Ale nawet taki wyrachowany drań jak on ma swoje zasady.

- Odpowiedziałbym, że nie zdajesz sobie sprawy, czym jest to, czego chcesz - stwierdził sucho.

- Wiem, czego chcę.

- Nie. - Siłą oderwał ręce Faith i odsunął ją od siebie łagodnie, lecz stanowczo. - Kończ swoją robotę - polecił zimnym, obcym tonem. - Nie będę ci przeszkadzał. Wychodzę.

Faith stała w progu, niezdolna uczynić żadnego ruchu i patrzyła, jak Jack znika w głębi korytarza.

I co teraz? - zastanawiała się gorączkowo. O Boże, co mam teraz robić? Pobiec za nim i przeproszać, że postawiła go w tak kłopotliwej sytuacji? Albo dręczyć się wstydem i nigdy już go nie zobaczyć? Stała jeszcze długo, nie będąc w stanie podjąć decyzji, zagubiona, nie-

szczęśliwa i pełna poczucia winy - tak jak tamtego strasznego popołudnia, dziesięć lat temu.

A tak się łudziła, że uporządkowała sobie wszystko, zanim jeszcze wyjechała z rodzinnych stron. Że przemyślała i zamknęła sprawy związane z kwestią dobra i zła. Że uwolniła się od poczucia winy. Tymczasem wystarczyła chwila, by wszystko wróciło. Sądziła, że tym razem dokonała właściwego wyboru. Pomyliła się. Znowu się pomyliła.

Zmęczonym gestem zamknęła drzwi i poszła do kuchni, ciągnąc za sobą wózek. Zostało jej sporo pracy. Całe szczęście, cokolwiek by się działo, zawsze jest coś do zrobienia.

Pół godziny później, kiedy kończyła polerowanie kranu w kuchni, usłyszała szcęk zamka w drzwiach wejściowych. Zamarła w pół ruchu, jak sarna na leśnej drodze w świetle reflektorów. Szybko wrócił. Za szybko. Jeszcze godzina, a byłaby skończyła i poszła sobie na zawsze z jego domu i życia.

- Przepraszam, Jack - powiedziała głośno, nerwowym ruchem ściągając odporne gumowe rękawice. - Chciałam skończyć przed twoim przyjściem, ale zjawiłeś się wcześniej, więc.. Och, pan Amberson... - wyjąkała zaskoczona na widok wchodzącego do kuchni administratora.

Ken Amberson był niskim, chudym mężczyzną o raczej niemiłej powierzchowności, którą podkreślały blade, nieokreślonego koloru oczy, o wścibskim, myszującym spojrzeniu. W tym momencie patrzyły szczególnie

badawczo i miały dziwny wyraz. Administrator miał męczący zwyczaj pojawiania się tam, gdzie się go najmniej spodziewano i w dodatku w najgorszym momencie. Takim właśnie, jak ten.

- Jack wyszedł - poinformowała.
- Wiem, spotkałem go kilka minut temu przy bramie.
- Ja też już miałam wychodzić, bo właśnie kończyłam sprzątanie - usprawiedliwiała się, czując się coraz bardziej nieswojo, bo zmierzał prosto ku niej. Zdążyła pomyśleć, że gdyby się chciał do niej dobierać, pstryknie mu w oczy sprayem do mycia okien. Tylko taką broń miała pod ręką.

- Nie przeszkadzaj sobie, ja tylko na chwilę - powiedział, wymijając ją.

Faith odwróciła się za nim, dyskretnie trzymając palec na spuście spryskiwacza.

- Co pan robi?
- Chcę sprawdzić lustro. Shannon mówił mi kilka dni temu, że ktoś widział w nim białą damę. Podobno ty.

Faith przytaknęła niechętnie.

- Jack powiedział, że to prawdopodobnie jakiś rodzaj hologramu. Dlatego chce pan sprawdzić, czy nie ma przewodów albo czegoś w tym rodzaju, tak?

Ken Anderson wzruszył ramionami.

- Ona nie jest żadnym hologramem. To duch.
- Duchy nie istnieją - stwierdziła Faith z niezachwianą pewnością, ale administrator nawet na nią nie spojrział.

- Niektórzy powiadają, że to duch kobiety, która tu kiedyś mieszkała i umarła w tajemniczy sposób. Czy ta

zjawia miała długą białą suknię? Uśmiechała się do ciebie? - wypytywał, jakby doskonale wiedział, o co chodzi.

- Wszystko się zgadza - przytaknęła Faith. - Pan też ją widział?

- Nie - odparł tonem, który uznała za wybitnie niechętny. - Widzą ją tylko ci, których życie ma się zmienić.

- Zmienić? — Faith, zaintrygowana, dała krok w stronę lustra. O tej części legendy Jack jej nie mówił. - Jak się ma zmienić?

- Jeśli zobaczysz ducha, to znaczy, że albo spełni się twoje najskrytsze życzenie, albo stanie się¹ coś, czego się najbardziej obawiasz. Nie wiem, ile razy już słyszałem różne opowieści - i sam w ciągu tych lat, kiedy tu pracuję, widziałem niejedno. Załamywały się świetne kariery, rozsypywały się małżeństwa, plajtowały wspaniałe firmy, a czasem nawet ludzie umierali. Niektórzy uważają, że pierwszą ofiarą była Jeannie Masters. Umarła w czasie szampańskiego przyjęcia w tym apartamencie. Znalaziono ją utopioną w basenie, który znajdował się tam gdzie dzisiejsze patio. Policja nie mogła się zdecydować, czy wpadła tam przypadkiem, czy została wepchnięta i przytrzymana pod wodą. - Jego spojrzenie spotkało się w lustrze ze wzrokiem Faith. - Podobnie jak z bratem Shannona.

- Chyba nie było wątpliwości, że brat Jacka popełnił samobójstwo? - powiedziała szybko.

- Byli tacy, którym nie wydawało się to tak oczywiste. - Amberson wzruszył ramionami, nie wyjaśniając, kogo właściwie miał na myśli.

- Ale mówił pan, że zdarzały się również zmiany na lepsze. Że komuś może się ziścić największe marzenie.

Odwrócił się ku niej. Blade, szare oczy były dziwnie wyprane z jakiegokolwiek wyrazu czy uczuć.

- Zresztą, nie mam się co martwić, skoro, jak mówiłam; nie wierzę w duchy.

Amberson znów wzruszył ramionami. Wyraźnie lubił ten gest.

- Teraz już nieważne, czy wierzysz, czy nie. Widziałas ją i sprawa ruszyła. Będzie rozwijać się aż do wyznaczonego końca, obojętnie, co na to powiesz. Twoje życie niedługo się zmieni, na dobre albo na złe. I nic, absolutnie nic nie możesz na to poradzić - zakończył. Głos miał równie obojętny i pozbawiony choć cienia emocji jak oczy.

Rozdział

7

- Piwo! - zażądał Jack, sadowiąc się na stołku w barze „U Flynnna”. Miał zamiar się upić, żeby zapomnieć o smaku ust Faith i o wyrazie jej oczu, gdy zostawił ją na progu własnego mieszkania. Tak upić, żeby nie mógł trafić do domu; tak upić, żeby mu było wszystko jedno, czy zastanie ją, czy nie, gdy wreszcie wróci.

Problem w tym, że nawet najmocniejsze piwa świata nie ogłupią go na tyle, by zapomnieć.

Cholera, a może by coś mocniejszego?

Bez sensu. To już też przerabiał, lata temu, w Wietnamie. Mocna ryżowa wódka wzmagała tylko świadomość, że koszmary wojny dopadną go ze zdwojoną siłą, kiedy tylko wytrzeźwieje. Od tej pory pozostał przy piwie.

- Co, nie smakuje ci? - zapytał barman, pokazując gestem szklanekę, w której opadła już piana.

- Co? - Jack drgnął wyrwany z zamyślenia. Eddie potrafił wczuć się w nastrój klienta, ale dziś uwijał się za barem jakiś nowy.

- W porządku. - Upił łyk, tylko po to, żeby facet się odczepił. Teraz już nikt mu nie przeszkadzał. Zapalił papierosa, ale nawet ten mu nie smakował. W dodatku jeden z gości uruchomił szafę grającą i oczywiście wybrał słodki przebój z lat sześćdziesiątych.

Jack zsunął się ze stołka, wyciągnął z kieszeni drobne i rzucił je na blat obok nie dopitego piwa. Odwrócił się, zostawiając ledwie napoczętą paczkę papierosów i wymaszerował z baru, żegnany lirycznymi tonami „Ziemskiego anioła”, torturującymi mu uszy.

Gna jeszcze tam jest, pomyślał z drzeniem, otwierając drzwi. Wózeczek stał w przedpokoju. Zawahał się, nie wiedząc, czy ma iść dalej, czy się wycofać. Może nie dosłyszała...

- Jack, to ty? - Południowy akcent brzmiał wyraźniej w jej głosie, kiedy była zdenerwowana.

Czekał, aż Faith pokaże się w końcu korytarza.

- Powinnaś już dawno wyjść - powiedział obojętnym tonem, choć za plecami kurczowo ścisnął gałkę drzwi. Musiała tu długo czekać.

Mądra kobieta wie, czego chce i dopnie swego...

Wiedziała, czego chce, choć mało brakowało, by dała się przekonać, że wcale tego nie pragnie. Zresztą, jak wynikało z tego, co powiedział Ken Amberson, nie miała wielkiego wyboru - sprawy przybrały taki a nie inny obrót. Nie wiadomo tylko, czy ziści się jej największe marzenie, czy spełni najgorsze przeczucie. Co właściwie widziała w lustrze? Już nie miała ochoty dociekać. Uwierzyła w opowieść Kena Ambersona.

Jej największym marzeniem było zdobyć miłość mężczyzny, który właśnie stanął w drzwiach, patrząc na nią, jakby to ona była duchem. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby nie spróbowała walczyć o jego uczucie.

- Wiem, powinno mnie już tu nie być - usprawiedliwiła się. - Zaraz pójdę, jeśli zechcesz. Tylko najpierw muszę ci coś powiedzieć.

Jack skinął głową i w paru krokach stanął przed nią.

- Dobrze, mów, słucham.

Faith szybko wzięła głęboki oddech.

- Przez całe życie, inni podejmowali za mnie decyzje - zaczęła, patrząc mu prosto w oczy. - Wmawiano mi, że ponieważ urodziłam się kobietą, jestem słaba, bezradna i bezwolna. Dlatego trzeba mną kierować, bo sama nie będę wiedziała, co jest dla mnie dobre i jak mam postępować. Ale ja nie jestem ani słabą, ani bezradna, ani bezwolna. Już nie. Sama podejmuję decyzje, a jeśli są złe, to ja ponoszę konsekwencje. Nie pozwolę, by ktoś dyktował mi, co i jak mam robić - wyrzuciła z siebie gniewnie. - Jeżeli nie masz ochoty się ze mną kochać, bo uważasz, że nic dobrego z tego nie wyniknie, to jest twój wybór i masz do niego prawo. Ale jeśli postanowiłeś tak tylko z obawy o mnie, to dokonujesz wyboru za mnie, a na to się absolutnie nie zgadzam. Słyszysz? Nie zgadzam się!

- Słyszę. Dostatecznie wyraźnie.

- W takim razie podejmij decyzję, Jack - poprosiła. W jej wzroku zobaczył oczekiwanie i żarliwość. - Boja już swoją podjęłam.

Przez nieskończenie długą chwilę patrzył jej w oczy,

wahając się między pragnieniem a tym, co uważał za zdroworozsądkową ocenę sytuacji. Faith czekała w milczeniu, nie próbując niczym wpływać na jego decyzję.

A jednak... ciepło, które z niej emanowało, obiecywało spełnienie jego fantazji, dawało przedsmak rozkoszy, która mogłaby stać się ich udziałem. Żałował, że nie jest starsza i bardziej doświadczona, bardziej uodporniona na ciężkie próby, jakie niosło życie. Mógłby wziąć, co mu ofiarowała, zaraz, z czystym sumieniem. Ale Faith była niewinna, wszystko jedno, do diabła, co na ten temat mówiła! A on dawno temu stracił złudzenia, tu, w tym mieszkaniu. Późniejsze przeżycia, których nie szczędził mu los, wszystko, co widział i czego doświadczył, dodało czarnych barw jego duszy.

Kobieta taka jak Faith powinna mieć kogoś, kto wniósłby w jej życie spokój i słodycz, a także pasję i miłość. Kogoś, kto kochałby się z nią mając serce i duszę czyste jak jej własne. Nie potrzebowała starego, wypalonego wewnątrz cynika, takiego jak on.

Tak, ale Faith go pragnęła. Złote iskiereki w orzechowych oczach mówiły mu to tak wyraźnie, jakby przemawiała do niego słowami. Chciała właśnie jego. Taka była jej decyzja. Odpowiadała za nią. Była przecież dorosła.

I znów - kiedy mógł z czystym sumieniem wziąć, nie śmiał tego zrobić.

- Przepraszam cię, Jack - powiedziała cicho, sądząc, że w jego oczach odczytała odpowiedź. Spuściła wzrok. — Już nie będę cię nachodzić - dodała i ruszyła ku drzwiom.

Wiedział, że powinien pozwolić jej odejść i zniknąć

na zawsze z jej życia. Tak byłoby lepiej dla obojga. Ale nie mógł się na to zdobyć..

- Faith - wyciągnął rękę, gdy mijała go w przejściu - poczekaj.

Przystanęła, zerkając na jego wyciągniętą w powietrzu dłoń. Pytająco popatrzyła mu w oczy.

Jack szybko wepchnął rękę do kieszeni.

- Wiesz, jestem raczej trudnym facetem - powiedział mrukiwym tonem, jakby wyduszał z siebie słowa.

- Wiem.

- Jako kochanek też nie bywam słodki.

- Wiem. Wcale nie musisz.

Myliła się. Ta dziewczyna naprawdę nie wiedziała, co dla niej dobre, a co nie.

- Pewnie zranię cię na dziesięć różnych sposobów. Nie chcę tego, ale jak znam siebie, pewnie tak się stanie.

Uśmiechnęła się miękko, łagodnie, ze świeżo zdobytą kobiecą mądrością.

- Ja też mogę cię zranić.

Taka myśl nie przyszła mu do głowy, ale od razu uwierzył, że istotnie może tak się stać. Ona również mogła złamać to, co jeszcze zostało z jego serca, miała nad nim taką władzę.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz, aniołku? - zapytał niskim, drżącym z emocji głosem, dając jej ostatnią szansę ucieczki. - Jesteś pewna?

Faith ujęła jego rękę.

- Nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna.

Jack poczuł, jak opuszcza go napięcie.

- W takim razie chodź. - Otworzył ramiona, a gdy

wstąpiła w ich krąg, zamknął je, przyciskając swą zdobycz do piersi jak rozbitek rzucone mu koło ratunkowe.

- Będę się starał, Faith - wyszeptał, wtulając usta w jej włosy. - Będę subtelny i łagodny.

- Wiem. - Oczy jej błyszczały, kiedy uniosła głowę i popatrzyła na niego. Objęła go mocno.

- Pocałuj mnie teraz.

Jack spazmatycznie westchnął i pochyliwszy głowę, zawładnął jej ustami, nie zapominając, że ma być czuły i delikatny.

Niepotrzebnie. Faith wspięła się na palce, by lepiej go smakować i gestem prosiła o coś więcej. Wówczas ujął jej głowę w dłonie, odchylił do tyłu i włożył w pocałunek całą namiętność, jaką obudziła w nim ta skromna dziewczyna. Kiedy wygięła się do tyłu z cichym jękiem, wiedział, że jest gotowa. W miejsce delikatnego smakowania nagle wdarła się żądza. Pocałunek stał się zabory czy, długi i gwałtowny. Jack przyparł Faith do ściany, mocno, by wiedziała, co ją czeka. Jego dłonie, jak tropiące psy spuszczone z łańcucha, niestrudzenie krążyły po jej ciele, poznając jego kształty. Wargami, zębami, językiem kąsał, ssał, drażnił, krążył i wypełniał, aż pojętna uczennica zaczęła mu odpowiadać tym samym. Wszystko, czego się nauczyła, natychmiast ćwiczyła na nim, podsycając płomień, który ogarniał ich z coraz większą siłą.

Wreszcie Jack oderwał się od ust Faith. Zaborczym ruchem przyciągnął jej biodra do swoich i szepnął:

- Chcę cię...

- Tak.

- Tu, teraz, zaraz!

W odpowiedzi wygięła się, napierając na niego pierściami i brzuchem. Nie trzeba było lepszej zachęty.

- O, tak... - To był gardłowy jęk rozkoszy.

Jeśli ktokolwiek potrzebował czułości i zasługiwał na czułość, to właśnie Faith. Delikatna, ufna istota, która go wybrała. Wyplątał palce z jej włosów, by leciutko, samymi opuszkami pogłodzić gorącą, gładką skórę policzków. Wargi miała czerwone i rozkosznie nabrzmiące od jego pocałunków. Jack pochylił głowę w pokornym geście przeprosin i delikatnie musnął je wargami. Faith zdrząła, kiedy przymknął jej powieki pocałunkami, a wtedy znów przeszło go poczucie Winy. Najpierw powinien wywołać u niej westchnienie zachwytu, a potem dopiero jęk rozkoszy.

Pochylił się i ująwszy ją pod kolana, uniósł do góry. Uciszył łagodnym pocałunkiem, gdy zaprotestowała, więc wtuliła mu twarz w szyję i pozwoliła się nieść do sypialni.

Sypialnia tonęła w półmroku, poszatkowanym jasnymi pasmami blasku przesączającego się przez żaluzje. Łóżko pokrywała czarna narzuta. Na umeblowanie składała się szafka nocna z lampką, ozdobna komoda i podobiany wojskowy kufer w nogach łóżka. Podłogi, podobnie jak w pozostałych pokojach, nie przykrywał dywan. I tu także nie było żadnych zdjęć, pamiątek, bibelotów czy kwiatków, które nadawałyby wnętrzu osobisty charakter.

Jack ostrożnie złożył swój ciężar na łóżku. Przykleknął obok Faith, zaczął ją rozbierać. Próbowała

wstać, żeby zrobić to sama, ale ją powstrzymał. Kiedy ściągnął jej koszulkę, a potem zsunął dzinsy, poczuła niepokój. Jeszcze żaden mężczyzna nie widział jej nagiej. Jack jednak nie rozbierał jej dalej, tylko ułożył się przy niej.

Faith odwróciła się ku niemu i wyciągnęła ramiona, pragnąc przyciągnąć go do siebie, ale delikatnie, acz stanowczo ją odsunął. Poddała się jego rękom, z lekkim drżeniem oczekując, co będzie dalej.

Zaczął ją całować, miękko, łagodnie. Pocałunki o lekkości motyla, czułe jakie, którymi matka obdarza dziecko, muskały czoło, powieki i policzki Faith, opadając niżej, w zagłębienie szyi i na ramiona o gładkiej, wrażliwej skórze. Znów próbowała objąć Jacka, ale po raz kolejny jej to uniemożliwił.

- Teraz jestem dla ciebie - powiedział, powtarzając wszystko od nowa. - Po prostu zamknij oczy, aniołku, i niech ci będzie dobrze.

Faith westchnęła rozkosznie i posłusznie przymknęła powieki odprężając się całkowicie i nastawiając jedynie na wchłanianie wrażeń. Czuła, że unoszą ją ciepłe, cudowne fale oceanu błogości. Powieki stały się ciężkie, podobnie jak całe jej ciało, które zdawało się opadać bez końca w rozkoszną głębię. Już nie miałyby siły otworzyć oczu. Kiedy wargi mężczyzny delikatnie pieściły jej twarz i szyję, czuła się jak rzadki, egzotyczny skarb, jak przysmak, który smakuje znawca, jak kobieta, stworzona, by ją kochać i adorować.

Było zupełnie inaczej, niż się spodziewała - bez tego namiętnego, zdyszanego pośpiechu, by jak najszybciej

dojść do celu. Nic było żadnego poczucia winy, żadnego wstydu, żadnego lęku.

A potem jego usta zsunęły się niżej, pieszcząc okrągłość piersi. Faith Ocknęła się z błógiego otępienia i zaczęła niecierpliwie pożądać czegoś więcej. Już nie leżała bez ruchu, lecz wyginała się i wiła na łóżku, instynktownie wystawiając czułe miejsca na pieścizoty. Nagle zdała sobie sprawę, że zachowuje się zbyt zmysłowo i oczekiwała nagany. Nic takiego nie nastąpiło, przeciwnie, Jack wydał z siebie pomruk aprobaty, a jego ręka śmiało wsunęła się pod jej plecy. Palce przez chwilę błędziły przy zapięciu stanika. Faith znieruchomiła. Zaczęło się. Zamknęła oczy, czując, jak Jack powoli zsuwa jej ramiączka, a potem zdejmuje stanik i odrzuca go na bok. Przez długą chwilę panowała cisza, nie zmącona żadnym słowem ani ruchem. Czy podobało mu się to, co zobaczył? Rozczarowało go? Zachwyciło? Rozśmieszyło?

Nie wytrzymała. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Jack Shannon wpatruje się w nią, jak gdyby była pierwszą kobietą, jaką widział w życiu.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział niskim głosem. Powoli, z namaszczeniem, pochylił głowę i ucałował drobne, sterczące sutki.

Falę pożądania, która zawładnęła Faith, poprzedziło wzruszenie. Sięgnęła, by pogłodzić go czule, ale Jack pokręcił głową. Posłusznie opuściła rękę. Wtedy zaczął całować jej piersi, ramiona, dłonie i czubki palców, delikatne żebra, gładki brzuch. W ślad za ustami poszły ręce, darząc ją równie ulotną i delikatną pieścizotą, która

opływała jej ciało jak woda, rozpalała, nie przynosząc spełnienia.

Faith znów wyciągnęła ku niemu ręce, czując, że teraz już nie da się powstrzymać i łapczywie zanurzyła palce w zwichrzonej ciemnej czuprynie. Jack spojrzał na nią z dołu, cały czas całując jej brzuch.

- Co?-szepnął.

Szkoda było słów. Podniecona, pociągnęła go ku sobie za włosy, nagłac, by okrył ją sobą. Sterczące koniuszki piersi domagały się jego warg.

Jack z denerwującą powolnością zaczął przesuwac się do góry. Czują, jak zbliża się gorący oddech.

- Tutaj? - szepnął niskim, nabrzmiałym głosem, zawisając ustami nad pępkiem.

Faith fuknęła niecierpliwie i jeszcze mocniej szarpnęła go za czuprynę. Nie przejął się tym zbyt. Nie.

- Tutaj? - zapytał, sunąc wargami po łuku żeber. - A może tutaj? - dotarł językiem do okrągłości piersi. - Czy raczej tutaj? - upewnił się, nie dotykając jeszcze koniuszka jej piersi.

Faith dyszała ciężko, prężąc się pod nim w męce. Sutki paliły ogniem, którego nie mogło ugasić pierwsze dotknięcie wilgotnych ust. Jack oparł się na łokciach i zaczął masować je wprawnymi ruchami palców. Faith wygięła się, podtykając pierś ku ustom Jacka: Posłusznie chwyciły sutek. Ból pożądania stał się jeszcze bardziej nieznośny. Faith targnęła włosami Jacka, dając mu znak, że już, dłużej nie wytrzyma. Kiedy nie reagował, ze zduszonym okrzykiem podciągnęła kolana, wparła pięty w łóżko i zaatakowała biodrami biodra Jacka. Ruch był

tak gwałtowny i instynktowny, że dopiero po chwili spostrzegła, co zrobiła. Powinna być potwornie zawstydzona, ale nie była. Po raz pierwszy w życiu nie zastanawiała się, co należy robić, a czego nie.

- Jack... - szepnęła prosząco.

Jack leżał bez ruchu, wtuliwszy twarz w jej piersi, lecz w jego ciele walczyły sprzeczne namiętności i emocje. Pragnął łagodnie doprowadzić ją do olśniewającego spełnienia i zarazem w szalonym pędzie porwać ją w miłosny wir. Chciał iść długą drogą ku rozkoszy i jednocześnie gnać na złamanie karku.

- Jack, proszę... - błagała, nie bardzo nawet wiedząc, o co prosi. Czuła tylko, że jeśli tego nie dostanie; umrze.

- Dobrze, aniołku, ale nie mogę już dalej być łagodny. Podniósł głowę znad jej piersi. - A na pewno nie wtedy, kiedy tak na mnie patrzysz. Cholernie tego chcę, ale nie mogę.

W innym czasie, z innym mężczyzną, Faith mogłaby uznać te słowa za aluzję do jej rozwiązłości. Ale kiedy spojrzała w oczy ciemne od pożądania, kurczowo zaciśnięte usta, świadczące o ogromnym wysiłku woli, wiedziała, że nie chodzi o krytykę ani o obyczajową cenzurę. Wyplątała palce z ciemnej, zmierzwionej czupryny i tak jak on kiedyś, ujęła jego twarz w dłoń.

- Wykazałeś więcej ciepła i czułości wobec mnie niż ktokolwiek w moim życiu, poza mamą - powiedziała miękko. - Nawet nie przypuszczałam, że coś takiego może istnieć pomiędzy mężczyzną a kobietą. A teraz chcę, żebyś pokazał mi, co ma być dalej, do same-

go końca - zakończyła ze słodkim, uwodzicielskim uśmiechem.

- Faith ja...

- Jestem pusta, Jack. I boli mnie, wszędzie.

Nie namiętne ruchy jej ciała, lecz te kilka wypowiedzianych cicho słów sprawiły, że runęły ostatnie bariery. Jack opadł całym ciężarem na Faith, zagarniając jej usta głodnym, gwałtownym pocałunkiem. Odpowiedziała mu z równą pasją. Dopiero kiedy oplotła go nogami, uświadomiła sobie, że ciągle jest całkowicie ubrany. Natychmiast drżącą ręką zaczęła rozpinąć mu guziki, niemal je odrywając. Potem już dosłownie zdarła mu koszulę z ramion i cisnęła obok łóżka. Niecierpliwie wsunęła rękę pomiędzy ich ciała i zaczęła mocować się z zapięciem ciasnych dżinsów. Jack chciał jej pomóc, ale jego ręka zbłądziła po drodze pod wąski pasek majteczek.

Faith drgnęła, jakby przeszył ją prąd, a jej oddech gwałtownie przyspieszył.

— Ciągle jestem pusta, Jack - wyjąkała z ustami przy jego piersi. - I tak boli...

Słowa znów podziały. Jack sam ściągnął dżinsy razem ze slipkami. Faith leżała na plecach* naga, gotowa. Jeszcze przez moment sycił się tym widokiem.

- Będę to robił powoli - obiecał. - Nie bój się.

- Nie jestem dziewicą, Jack.

Był tak zaskoczony, że aż się cofnął.

- Przykro mi, ale nie - powiedziała, czując, jak zapętała się w niej dobrze znane poczucie winy. - Był... ktoś przedtem. On... - nie dokończyła. Pocałunek zamknął jej usta.

- Nie przejmuj się, aniołku. Ja przecież też nie jestem dziewczyną.

Twardy węzeł natychmiast zniknął, a wstyd zastąpił żal, że nie mogła ofiarować mu i tego daru. Objęła rękami jego biodra i przyciągnęła je do swoich.

- Wejź, wypełnij mnie - poprosiła.

Wszedł w nią gładko, jak gdyby kochali się od lat. Potem znieruchomiał i tak trwali przez chwilę, spleceni, patrząc sobie w oczy, ciesząc się niecierpliwą, wspólną gotowością do fizycznego połączenia.

Jack uśmiechnął się. Faith też.

Wtedy podsunął pod nią ręce i opadł niżej, a Faith objęła go ramionami za szyję. Rozpoczęli wspinaczkę na szczyt rozkoszy - z początku powoli, delektując się cudownym połączeniem ciał, które zdawały się dla siebie stworzone. A potem- szybciej, ponaglani przez żądzę, która brała ich w posiadanie, coraz szybciej, nieprzytomnie, gorączkowo, aż znaleźli się wysoko, na samym szczycie.

- W szkole każdą wolną chwilę spędzałam w bibliotece - opowiadała Faith, moszcząc wygodnie głowę w zgięciu ramienia Jacka. - Ojciec uważał, że prawie wszystko poza Biblią i „Reader's Digest” jest niemoralne, a zwłaszcza powieści, dlatego nie pozwalano mi chodzić do publicznej biblioteki. Jednak przeczytałam prawie wszystkie książki, jakie były w liceum w Pine Hollow. Zawsze myślałam, że autorzy nie mogli tego wszystkiego tak po prostu zmyślić. Teraz wiem, że miałam rację - w życiu może być tak jak w najpiękniejszych książkach.

Jack poprawił sobie poduszki pod głową.

- To znaczy jak?

- Teraz wiem, że można się tak cudownie kochać. Czułam, że to może być cudowne i wreszcie sama się przekonałam.

Jack pogładził Faith, zastanawiając się, czy sam to przeczuwał. Z pewnością nie. Owszem, seks bywał ekscytujący, czasami nawet szalony - ale nie przypuszczał, że może być piękny. Aż do dzisiaj. Zaniepokoiły go te rozmyślenia.

- Wiesz, nie zawsze tak jest - powiedział ostrożnie, bojąc się, by nie popadła w zbyt wielką euforię. A może to siebie ostrzegął? Nie pamiętał, kiedy ostatnio przeżywał takie uniesienie. Lata temu, dziesiątki lat, nigdy? - Innym razem może być zupełnie... - przez chwilę szukał właściwego słowa i nagle gwałtownie zachciało mu się papierosa - ... zupełnie inaczej - dokończył wreszcie bezradnie.

- Och, wiem.

Zastanawiał się, czy naprawdę wie, jak to czasem bywa. Fakt, nie była już dziewczicą, ale wcale nie stała się przez to mniej naiwna ani bardziej doświadczona. Czy miała naprawdę pojęcie o seksie? Czy zdawała sobie sprawę, że może być zarówno cudowny, jak i wypalający? Może wzbogacać albo uzależniać jak narkotyk. Miał wielką ochotę wypytać ją o jej doświadczenia, ale nie śmiał. W końcu każdy ma prawo do prywatności. Nie powinien się wtrącać.

Faith odwróciła się i oparła na łokciu, by popatrzeć na niego.

- Wierz mi, naprawdę wiem, jak może być - powiedziała poważnie, domyślając się jego wątpliwości. - I chcę, żebyś wiedział, że ja... - zamilkła i wpatrzyła się w tatuaż na jego bicepsie. Dotknęła palcem orła z rozpostartymi skrzydłami. - Skąd to masz?

- Z Sajgonu. - Wolał nie dodawać, że buda, gdzie robiono tatuaże, była o krok od burdelu, w którym regularnie bywał z kumplami.

- Bolało?

- Nie wiem. Byłem za bardzo pijany, żeby coś czuć. - Podparł palcem jej podbródek. - Chciałaś mi coś powiedzieć, aniołku. Mówiłaś, że mam coś wiedzieć...

- Rozumiem, skąd się wzięło... - popatrzyła na niego spod długich rzęs - ... to wszystko.

- To znaczy co?

- Było pięknie, ale nie musi być tak dalej. Wcale się nie łądzą.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Rozumiem, że nawet najwspanialszy seks nie oznacza, że pomiędzy dwojgiem ludzi jest coś jeszcze, coś poważnego. Wiem, nadal myślisz, że jestem dla ciebie za młoda. - Zbyt naiwna, zbyt niedoświadczona, dodała w myśli. - I pewnie masz rację - ciągnęła. - Ale przede wszystkim...

Słuchał jej bardzo uważnie. Dotychczas nie przywiązywał aż takiej wagi do rozmówek w łóżku.

- Przede wszystkim chcę powiedzieć, że jestem ci wdzięczna. - Mówiła to, patrząc mu prosto w oczy. - Wdzięczna za to, że byłeś dla mnie cierpliwy, łagodny...

Nie musiałeś się tak poświęcać.. W każdym razie chcę, abyś wiedział, że to doceniam.

Ciekawe, co by powiedziała, gdyby uświadomił jej, że nie miał żadnego wyboru? Że po prostu nie mógłby inaczej jej traktować?

- A jak bardzo jesteś mi wdzięczna, aniołku? - uśmiechnął się, w ostatniej chwili uciekając w żart.

- Bardzo, bardzo wdzięczna - szepnęła ulegle, podejmując grę i czekając z drżeniem, kiedy zażąda od niej dowodu wdzięczności.

Jack otoczył jej szyję ramieniem.

- Mamy jeszcze trochę czasu, zanim będziesz musiała wstać do pracy - powiedział, kiedy przyciągała go do siebie, - Więc chyba okażesz mi swoją wdzięczność, aniołku?

Rozdział

8

- Spóźniłaś się - zauważył z przekąsem szef kuchni, kiedy Faith zdyszana wpadła przez tylne drzwi.

- Wiem, wiem, przepraszam bardzo - wymamrotała niewyraźnie, odwracając się, by ukryć rumieniec.

Załomotały, pchnięte energicznie, wahadłowe drzwi do sali.

- Dwa razy frytki, podwójne *nachos*, ekstra ostre skrzydełka i kwiat cebulowy - wyrecytowała Bobbie-Sue, zerkając do swojego bloczka. Sprawnie ustawiła na tacach gotowe dania z podgrzewarki i wreszcie zauważyła Faith.

- Spóźniłaś się, kochana. Akurat dzisiaj mamy młyn. Byłoby nieźle, gdybym miała kilkanaście rąk jak jakaś indyjska bogini - rzuciła.

- Naprawdę przepraszam.

- Za karę opowiesz mi później dokładnie, co takiego cię zatrzymało. - Bobbie-Sue już zmierzała do drzwi, zręcznie balansując tacą. - Popraw strój, zanim wyjdiesz na salę - rzuciła scenicznym szeptem, mijając Faith. - Masz krzywo zapiętą bluzkę.

. Faith z przerażeniem spojrzała po sobie. Wybiegła od Jacka w pośpiechu i ledwo zdążyła wpaść do siebie, w szalonym tempie wziąć prysznic i przebrać się. Dobrze, że nie włożyła bluzki na lewą stronę. Wychodząc na salę, zerknęła w Lustro, Wszystko już było w porządku. No, może poza niezwykłym dla niej rumieńcem i nieco mniej starannie ułożoną fryzurą.

W barze było rzeczywiście wyjątkowo dużo gości jak na środek tygodnia. Biznesmeni w nienaganych garniturach, urzędnicy, turyści, modnie ubrane sprzedawczynie z butików - cały ten tłum obsiadł stoliki i kłębił się przy barze. Faith wzięła głęboki oddech i odważnie ruszyła na salę.

- Dobry wieczór, panie Smith. - Przywołała na twarz zawodowy uśmiech podchodząc do jednego z boksów.
- Na co ma pan dziś ochotę?

- Jak zwykle, chardonnay, koteczku.

- Jedno? - Spojrzała na jego towarzysza. - A dla pana?

- Whisky z wodą.

- Whisky z wodą - powtórzyła. - Czy panowie, pijąc drinki, nie będą mieli ochoty czegoś przekąsić?

- Miałbym ochotę na twoją apetyczną szyjkę - powiedział z lubieżnym uśmiechem Theodore Smith, robiąc gest, jakby chciał ją przyciągnąć ku sobie.

Faith z niezmaconym spokojem odstąpiła krok do tyłu, dla pewności odgradzając się od niego tacą.

- Przykro mi, ale mojej szyjki nie ma w menu-poinformowała. - Za to mogę panu polecić skrzydełka. Nie moje - kurze. Są równie smakowite.

Theodore Smith zaśmiał się, doceniając jej ripostę.

- Jeśli tak je polecasz, to weźmiemy dwie porcje. Nadal mam jednak nadzieję na korzystne zmiany w menu. - Puścił do niej oko.

Faith była zdumiona i zadowolona, że tak łatwo jej poszło. Nikt, łącznie z nią samą, nie poczuł się obrażony, wszystko udało się obrócić w żart. Zyskała radosne poczucie swobody i zaufanie do własnych możliwości. To było właśnie to! Radość życia i luz, z którego słynęli kalifornijczycy.

- Dobra robota - pogratulowała jej Bobbie-Sue, gdy obie jednocześnie podeszły do lady koktajlowej przy barze.

- Dwa Kamienie Młyńskie, dwie mrożone Margarity, klubowa i Tequila Sunrise - wyrecytowała w stronę Eddiego, pokazując zarazem przyjaciółce uniesiony w górę kciuk.

- Poradziłaś sobie znakomicie, i to bez piorunowania gościa wzrokiem w stylu naszej panny Griffen. Tak trzymać!

- Dzięki. - Faith uśmiechnęła się skromnie. - Chyba już chwytam, o co w tym wszystkim chodzi. - Podała swoje zamówienie Eddiemu. -I miałaś rację, Theodore Smith jest zupełnie nieszkodliwy.

- Naprawdę? - Bobbie-Sue uniosła brwi. Wprawnie dodawała do drinków plastikowe słomki i plastry cytryny. - Zastanawiam się, kim go porównujesz.

- Mówi się „do kogo” albo „z kim” - poprawił ją Eddie.

Bobbie-Sue zrobiła zbolałą minę i chwyciła tacę.

- Ach, ci pisarze, zawsze się do człowieka przyczepią. Nie wystarcza ci już poprawianie własnego scenariusza? - sarknęła i zniknęła w tłumie.

Eddie skupił uwagę na drugiej ze swoich kelnerek.

- Spóźniłaś się - zauważył, mieszając zamówione przez nią drinki. - Dotychczas byłaś punktualna. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Nie, wszystko w porządku - uspokoiła go, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego czuje się tak, jakby kłamała.

Dwie i pół godziny później tłumek gości zaczął rzednąć. Zostało tylko paru stałych bywalców, kręcących się przy barze i kilka zakochanych par, tulących się w bokсах. Obsługa mogła wreszcie złapać oddech.

- Zrobiłbyś mi kawę, Eddie - poprosiła Bobbie-Sue, z westchnieniem sadowiac się na stołku. — Mocną, taką, żeby postawiła mnie na nogi.

- Już się parzy! Dla ciebie też, Faith?

- Tak, proszę. I dużo mleka.

No, teraz mów - nakazała Bobbie-Sue, kiedy stanęły przed nimi parujące filiżanki.

Faith zerknęła na Eddiego, a potem na swoją towarzyszkę.

- Słucham? - zapytała z udawanym roztargnieniem, przybierając ten sam ton, jakim zbywała zbyt namolnych klientów.

Jej najlepsza przyjaciółka wcale nie była zdziwiona. Nie pytając, wzięła filiżanki i zsunęła się ze stołka.

. - Wynosimy się do kącika - wyjaśniła, porozumiewawczo puszczając oko do barmana. - Wiesz, babskie ploty.

Faith nie pozostało więc nic innego, jak posłusznie iść za nią.

- No, teraz mamy spokój - stwierdziła Bobbie-Sue.
- Mogę wreszcie dowiedzieć się, gdzie byłaś przez całe popołudnie? A może jestem niedyskretna?

Faith miała ochotę ponownie jakoś wyłgać się od odpowiedzi, ale surowe spojrzenie przyjaciółki powstrzymało ją. Szczodrze sypnęła sobie dwie łyżeczki cukru do filiżanki i długo mieszała kawę.

- Byłam z Jackiem - powiedziała w końcu, mając nikłą nadzieję, że to wystarczy Bobbie-Sue jako wytłumaczenie.

- I?

- I... wiesz. - Faith spuściła oczy, a potem uniosła wzrok z mocnym postanowieniem, że Bobbie-Sue nie znajdzie w jej twarzy nawet śladu poczucia winy. Przeżyła coś wspaniałego, wyjątkowego i nie miała powodu się tego wstydzić. Niejedna kobieta by jej pozazdrościła, była tego pewna. - Poszliśmy do łóżka - powiedziała po prostu.

- A niech to! - W okrzyku Bobbie-Sue zabrzmiała nuta zaskoczenia i podziwu.

- No, nie spaliśmy..., - Faith próbowała zażartować, zaskoczona własną bezpośredniością.

- Dobra, oszczędź sobie dowcipów. Przecież kojarzę, o co chodzi. I co, wszystko w porządku? Nie potraktował cię zbyt brutalnie? - pytanie było obcesowe, ale w głosie przyjaciółki brzmiała szczerza troska.

- Oczywiście, że nie - oznajmiła Faith, prostując się z godnością. - Jack nie jest zwierzęciem, wierz mi. - Nie rozumiała, dlaczego wszyscy, nie wyłączając jego samego, uważają, że jest jakimś delikatnym kwiatuszkiem,

mimoza, którą należy traktować jak najdelikatniej. - On był bardzo;... - przymknęła oczy, z drzeniem wspominając tamte chwile - bardzo subtelny.

- Och, jestem pewna, że był wspaniały i masz za sobą niezapomniane przeżycia. Gdybyś to nie była ty, pewnie zzieleniałabym z zazdrości. Ale nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, jak się naprawdę czujesz? Czy wszystko w porządku?

Faith odpowiedziała przyjaciółce długim spojrzeniem, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Wszystko w porządku, naprawdę.

Bobbie-Sue uniosła filiżankę do ust i pociągnęła długi łyk, najwyraźniej dając sobie czas, by zebrać myśli. Wreszcie z westchnieniem odstawiła naczynie.

- Czy mogę ci dać dobrą radę? .

- A mogłabyś nie dać? - uśmiechnęła się Faith.

- Nie mogłabym - stwierdziła z rozbrajającą szczerością Bobbie-Sue.

- Okay - powiedziała z rezygnacją Faith. - Słucham.

- Po pierwsze: czy założył prezerwatywę? - padło obcesowe pytanie.

- Bobbie-Sue! —Faith zrobiła się czerwona. - Nie myślałam, że interesują cię takie szczegóły.

- Tylko ten jeden szczegół, kochana. A więc: tak czy nie? - W jej głosie brzmiała powaga.

- Dobrze, założył. Teraz zadowolona?

- I zakładał za każdym razem?

- Wykończysz mnie! Ale powiem ci. Za każdym razem. Może chciałabyś jeszcze wiedzieć, ile razy?

Bobbie-Sue zignorowała ten sarkastyczny ton.

- W porządku, w takim razie nie muszę się martwić o twoje ciało - powiedziała z ulgą. - Pozostała jeszcze dusza. Zrozum, Faith - sięgnęła przez stół, by serdecznym gestem dotknąć dłoni przyjaciółki - mężczyźni tacy jak Jack Shannon zostali stworzeni po to, by łamać kobiece serca. Przeważnie same jesteśmy sobie winne - przyznała samokrytycznie. - Pociągają nas takie typy spod ciemnej gwiazdy, zwłaszcza jeśli są przystojni jak Jack. Gdybyś mnie wcześniej zapytała, poradziłabym ci, żebyś trzymała się jak najdalej od niego, ale widzę, że już jest za późno. Wpadłaś, kochana, nie ma dwóch zdań. Teraz nie pozostaje ci nic innego, jak trzymać dystans i nie dać mu omotać się do reszty.

- Za późno, Bobbie-Sue - westchnęła Faith. - Chyba już się w nim zakochałam.

- O, cholera! - Bobbie-Sue cmoknęła z naganą i bębniła palcami po stole. - Nie chcę się wymądrzać jak stara ciotka, ale cóż... jesteś klasycznym przypadkiem seksualnego zauroczenia, jakiego doznaje niedoświadczona, naiwna istota, która nagle znajdzie się w łóżku z seksownym, przystojnym jak diabli facetem, który wie wszystko o kobietach i potrafi grać na ich ciele jak wirtuoz, aż wydaje im się, że zabiera je do nieba. Co nie znaczy, że cię nie rozumiem. - W jej oczach pojawił się w końcu błysk zazdrości. - Każda baba by rozumiała. W końcu przynajmniej raz w życiu należy nam się szczęśliwa chwila. Tylko że seks, nawet najwspanialszy, nie zastąpi miłości.

- Chyba nie myślisz, że nie potrafię dostrzec różnicy? - obruszyła się Faith.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała szczerze przyjaciółka. - Przecież widzę, że dosłownie rozkwitłaś. A swoją drogą, nie ma się co dziwić, biorąc pod uwagę wychowanie, jakie ci zafundował ojciec, i senna prowincję, na której spędziłaś prawie całe swoje życie. To się musiało tak skończyć. Dlatego uważam, że powinnaś się teraz na chwilę wycofać, żeby ochłonać. Musisz dać sobie czas, by jeszcze raz wszystko przemyśleć. A przede wszystkim, żeby dokładnie uświadomić sobie swoje uczucia, zanim zaczniesz o nich mówić głośno.

Znów pogłaskała dłoń Faith.

- Powinnaś brać pod uwagę znany fakt, że większość mężczyzn starannie oddziela seks od miłości. Są tacy, którzy potrafią sprawić, że kobieta czuje się jak ta jedyna, najcudowniejsza i najbardziej upragniona na świecie. Niektórzy nawet w danej chwili w to wierzą. Ale już następnego dnia rano albo za tydzień, albo za miesiąc są w stanie powtórzyć to samo innej kobiecie.

- Uważasz, że Jack jest właśnie takim mężczyzną?

- Kotku, oczywiście, że nie jestem tego pewna, ale wiele znaków na niebie i ziemi wskazuje, że tak właśnie jest. Mam trochę doświadczenia, uwierz mi. Dlatego bardzo cię proszę, miej się na baczności, dobrze?

- Cholera, chyba się w niej zakochałem!

Jack Shannon kopnięciem rozrzucił kule papieru, które znów zaściełały podłogę pokoju. Absolutnie nie życzył sobie w swoim życiu czegoś takiego jak miłość. Z miłością łączyły się kłopoty, rozpacz i ból. Wszyscy, których kiedyś kochał, umarli.

Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy on miał sześć, a Eryk - trzynaście lat. Przerażeni chłopcy, trzymający się kurczowo razem, zostali wzięci na wychowanie przez wujka Micka. Wujek nałogowo zaglądał do kieliszka, a kiedy był, jak to eufemistycznie określała ciotka Barbara, „nieswój”, nie żałował siostrzeńcom pasa.

To Eryk wymyślił kryjówkę w piwnicy, w której szukali schronienia, gdy wuj Mick wpadał w pijacki ciąg; To Eryk próbował osłaniać sobą młodszego brata, kiedy nie zdążyli w porę zejść wujowi z oczu. To Eryk, kiedy tylko zaczął pracować, wyciągnął czternastoletniego Jacka z tego piekła, biorąc go do pierwszego wynajętego przez siebie mieszkania.

A potem Eryk też zginął.

Wtedy Jack pojechał do Wietnamu, jakby tylko po to, żeby patrzeć bezsilnie, jak na jednej z ulic Sajgonu ginie od snajperskiej kuli jego najlepszy przyjaciel. Od tej pory nie miał już ani najlepszych przyjaciół, ani przyjaciół w ogóle - bo tak było łatwiej, zwłaszcza w tym wojennym piekle, gdzie wokół niego bez przerwy umierali ludzie. Tak się pograżył w tej samotności i zobojętnieniu, zbudował taki mur, że wkrótce miał wokół siebie tylko przypadkowo spotkanych ludzi albo rywalizujących z nim kolegów po fachu. Przekonywał sam siebie, że tak jest lepiej - i dla niego, i dla innych.

Taka postawa ułatwiła mu zdobycie pozycji w zawodzie. Zawsze mógł skupić się na temacie reportażu, niczym nie krępowany ani przez nikogo nie ograniczany. Mógł nie przebierać w środkach, nie musiał dokonywać

bolesnych ani dramatycznych wyborów, by dopiąć celu. Kiedy tylko skończyła się jego służba, wrócił do Wietnamu jako dziennikarz cywilny. Siedział w południowo-wschodniej Azji aż do końca, do momentu wycofania amerykańskich wojsk.

Potem odwiedził prawie wszystkie miejsca na kuli ziemskiej, gdzie toczyły się wojny. Był świadkiem wielu okropności i wszystkie je opisywał z dziennikarskim zacięciem - Nikaraguę, Bliski Wschód, Iran, Afrykę Południową, Somalię, wojnę w Zatoce Perskiej, Bośnię i Rwandę. Śmierć i zniszczenie stały się jego chlebem powszednim. Był dobry, ponieważ pozostawał chłodnym obserwatorem. Nie pozwolił, żeby cały ten koszmar przeniknął do jego psychiki, bo wykończyło to już wielu ludzi w tym zawodzie. Liczyły się jedynie fakty. Zbierał informacje, zapisywał, wysyłał reportaże do redakcji i mógł już zachłannie rzucić się na następny temat.

I nagle pewnego dnia, na Haiti, gdy przygotowywał materiał do jakiegoś banalnego reportażu o tym, jak amerykańskie embargo wpływa na zastraszoną i wygłodzoną ludność wyspy, poczuł, że ma absolutnie dosyć. Dostyć bólu, cierpienia, śmierci i zniszczeń, dosyć potwornej moralnej pustki. Poraziło go to jak wybuch pocisku. Potem pamiętał dopiero moment przebudzenia w szpitalu w Miami. Lekarze wyjaśniali mu uczenie, że przeszedł załamanie nerwowe i przez jakiś czas szpikowali go środkami antydepresyjnymi. W końcu wrócił do Los Angeles, do domu, gdzie zginął jego brat, z mocnym postanowieniem, że musi się poskładać na nowo, życiowo i psychicznie.

A teraz niespodziewanie w jego życie wkroczyła Faith McCray z tą swoją niewinną słodką łagodnością, z naiwną naturą, ze szczerym, otwartym sercem - i przywróciła mu utraconą zdolność odczuwania nadziei, miłości i tęsknoty do drugiego człowieka. Te uczucia raniły jak diabli. Paliły mu duszę, wzbudzając pragnienie tego, czego nie mógł mieć - normalnego życia, rodziny, żony. A przede wszystkim pragnął jej - Faith McCray.

Ale w świecie kobiet takich jak Faith nie ma miejsca na mężczyzn takich jak Jack Shannon. Czuł się wypalony wewnątrz, zgorzkniały i stary - był przecież prawie dwadzieścia lat starszy od niej! Podtusiały podrywacz, żerujący na naiwności tej dziewczyny, cynicznie wykorzystujący jej szczerą, całkowitą ofiarowanie całej siebie. Miała przed sobą całe życie, marzenia i plany. On czuł się tak, jakby przeżył już wszystko i skupiał się jedynie na doraźnej strategii jak najwygodniejszego przetrwania każdego kolejnego dnia. Ona potrafiła zerwać ze swoją przeszłością, on pozwolił, by przeszłość wciągała go jak bagno.

A jednak, mimo tych ogromnych różnic, sama myśl o tej dziewczynie sprawiała, że czuł się prawie szczęśliwy. Co gorsza, przy niej poczuł, że ma prawo do tego rodzaju szczęścia, choć wiedział, że jest mu zabronione. Musi zrobić z tym porządek, i to szybko, zanim będzie za późno, zanim unicestwi wszystko oślepiający blask eksplozji.

Faith zapukała do jego drzwi o późnej porze, po pracy. W rękach niosła tacę okrytą folią.

- Liczyłam, że nie jadłeś jeszcze kolacji - oznajmiła

z uśmiechem, jak zwykle trochę nieśmiałym, a jednocześnie pełnym nadziei. - Mam tu ziemniaki, skrzydełka i *nachos*. A w torbie dwie puszki twojej ukochanej Corony - dodała z dumą, klepiąc dłonią dużą torbę z płótna zwisającą jej z ramienia. - Sama też jeszcze nie zjadłam zjeść, więc pomyślałam, że możemy zrobić sobie kolację i... - urwała, gdyż czuła się coraz bardziej niepewnie.

Jack stał, wpatrując się w nią w milczeniu, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Ale chyba już jadłeś, więc nie będę ci przeszkadzać. - Musiała coś powiedzieć, żeby przerwać tę denerwującą ciszę. Czuła się bardzo głupio. - Najwyżej włożysz to do lodówki i będziesz miał na jutro - próbowała ratować sytuację. - Wpadłabym potem na chwilę, żeby zabrać tacę, albo nawet nie, przecież mógłbyś podrzucić ją przy okazji do Flynna.

Boże, po co ja tyle gadam? - skarciła się w duchu. W ogóle nie powinnam tu przychodzić. Wcale o to nie prosił. Nie wspomniał choć słowem, że chciałby się z nią jeszcze widywać, myślała gorączkowo. Och, Bobbie-Sue jak zwykle miała rację! To był dla niego tylko seks, rozrywka na jedną noc.

- Przepraszam, już sobie idę - wybąkała, wycofując się. - Już późno, pewnie kładłeś się spać. - Miał na sobie tylko parę spranych dżinsów. - Nie powinnam ci przeszkadzać.

Jack powoli pokręcił głową, jakby budził się z transu.

- Nie, skąd, wcale mi nie przeszkadzasz - powiedział cicho. - Po prostu pracowałem. - Przeciagnał dłonią po

i tak już niesfornej fryzurze. - Albo raczej próbowałem pracować.

Jeśli chciałby być szczery, musiałby jej wyznać, że od dawna nie sklecił sensownego zdania.

- Och, tym bardziej mi przykro! Gdybym wiedziała, że piszesz, w ogóle bym się tu nie pojawiła. Idę.

- Zostań. - Zatrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Wcale mi nie przeszkadzasz, aniołku. Właśnie zgłodziłem i miałem zamiar podgrzać sobie jakąś zupkę. A twoje specjały są na pewno o niebo lepsze.

- Może włożę ci to tylko do mikrofalówki i pójde - opierała się Faith bez zbytniego przekonania. - Naprawdę tak będzie lepiej.

- Będzie, lepiej, jeśli zostaniesz - uciał, zamykając drzwi i pociągając ją w głąb korytarza.

Oto najlepszy dowód, że jest dupkiem, który nie ma za grosz siły woli, pomyślał z obrzydzeniem. Zmarnował wspaniałą okazję, by pozbyć się jej i zerwać w porę ten niebezpiecznie rozwijający się związek, który w ogóle nie powinien zaistnieć. Wystarczyłoby kilka bezlitosnych słów, a uciekłaby od niego jak od egoistycznego, bezdusznego potwora. Z czasem jakoś by to przeboleła i na pewno sensownie ułożyłaby sobie życie z kimś innym, z kimś uczciwym, dobrym, kto umiałby ją kochać. A on zyskałby święty spokój.

Jednak nie zrobił tego. Nie był w stanie. Wystarczyło jedno spojrzenie tego uśmiechniętego aniołka, którego chyba rzeczywiście same niebiosy zesłały w jego proggi, by zapomniał o wszystkich okrutnych lekcjach, jakich udzielił mii los. O wszystkich doświadczeniach, które

doprowadziły go do tego, że chciał zaszyć się w czterech ścianach jak w norze. Teraz mógł myśleć już tylko o zerwaniu z niej tej zgrabniutkiej sukienki i kochaniu się jeszcze raz, jeszcze wiele, wiele razy...

- Jesteś beznadziejnym przypadkiem degenerata, Shannon - mruknął do siebie z najwyższym niesmakiem.

- Słucham?

- Jestem głodny jak wilk. - Jack szybko pociągnął Faith do kuchni.

- Za minutę będzie gotowe. - Zakrzętnęła się wokół kuchenki mikrofalowej. Odpakowując folię, drżała ze szczęścia, bowiem choć przez chwilę miała możliwość zaopiekowania się nim jak kobieta swoim mężczyzną. Choćby nawet ten mężczyzna nie był jej. A może jeszcze nie był jej. Cóż, zawsze można pomarzyć...

- Ostrzegam, te skrzydełka są bardzo ostre - powiedziała, czując, że Jack staje za nią. Szybkim ruchem uruchomiła grzanie. - Ostatnio zauważyłam, że lubię pikantne potrawy.

Jack, patrząc na nią, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Potrafiła się tak cudownie cieszyć drobnymi szczegółami rzeczywistości, nowymi doświadczeniami, przyjmowała wszystko jak dar od życia.

- Czy tylko to zauważyłaś ostatnio? - zapytał, znacząco unosząc brwi.

Faith poczuła znane już jej uczucie wewnętrznego topnienia, wywołanego nagłą falą gorąca.

- Zauważyłam, że również polubiłam kawę - odpowiedziała z wesołym błyskiem w oku. - Oczywiście tyl-

ko wtedy, gdy jest w niej dużo mleka i cukier. Polubiłam też *dim sum*, i taniec, i...

- I? - podchwycił natychmiast.

Jednak Faith nie była aż tak odważna.

- Przyniosłam dwie puszkę Corony - przypomniała, sięgając do torby leżącej na blacie. - Pamiętam, że taką markę zamawiałeś „U Flynna”, więc pomyślałam, że się ucieszysz. Kto wie, może nawet polubię piwo - uśmiechnęła się szelmowsko.

- Może - przytaknął, sięgając po puszkę i otwierając ją. Pociągnął łąpczywie długi łyk. Potem zaborczym gestem przygarnął do siebie Faith.

- Przekonamy się, jak to jest z tym piwem - powiedział i zaczął ją całować.

Z początku nawet nie drgnęła. Po chwili rozchyliła usta tak, jak ją nauczył i odwzajemniła pocałunek. Najpierw poczuła smak piwa - ostry, wyrazisty i całkiem przyjemny, a potem coraz bardziej przebijający spod niego smak mężczyzny, tego mężczyzny. Usta Jacka były gorące, pożądliwe i spragnione.

Faith otoczyła ramionami jego kark, przylegając do Jacka w geście całkowitego oddania całym swym smukłym ciałem. Oddania bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych warunków.

W jednej chwili poczuł się jak gracz, który bierze wszystko. Przygarnął Faith, obejmując ją mocnym uściskiem, jakby się bał, że nagle zdematerializuje się niczym zjawa. Wygłodzony, chciwie kąsał i ssał chętne usta. Faith wspięła się na palce, aż nabrzmiałe pod cienką sukienką piersi wparły się w nagi tors mężczyzny.

Jestem tutaj, jestem tutaj! - krzyczała do niego w myśli, ze wszystkich sił, ciałem i duszą wołając, by brał natychmiast wszystko, czego tylko pragnie.

W tym momencie rozległ się sygnał kuchenki mikrofalowej. Trzy krótkie, przenikliwe piknięcia, które jak salwa odbiły się echem od ścian kuchni. Jack puścił Faith i odstaąpił do tyłu.

- No, i co myślisz o piwku? - zapytał i jak gdyby nic nie zaszło, nie czekając na odpowiedź, jednym haustem opróżnił puszkę do dna.

Faith stała oszołomiona, na próżno usiłując zrozumieć, dlaczego została tak potraktowana. Dopiero po chwili zauważyła, że ręka trzymająca puszkę wcale nie ma pewnego chwytu, oddech wydobywający się z szerokiej piersi jest mocno przyspieszony, a serce tętni pod napiętą skórą. Kiedy zaś opuściła wzrok niżej, zobaczyła, że jeszcze chwila, a suwak džinsów rozsunie się sam.

Więc nie był wcale tak opanowany i obojętny, na jakiego chciałby wyglądać. Świadomość tego tak ją ośmieliła, że postanowiła dociec, czemu Jack usiłuje udawać, iż jest niezłomny jak skała.

- Wspaniale, kolacja już gotowa - oznajmiła radośnie. - Wyjmiesz talerze? Ja zajmę się resztą.

- Sztućce są w szufladzie koło zlewu - poinformował burkliwie. Był zły na siebie, że tak dał się podejść. Zachował się jak licealista z kompleksami, a nie jak stary wyjadacz, który powinien wiedzieć wszystko o kobietach. - Te papierowe ręczniki będą musiały udawać serwetki - dodał, wskazując rolę na ścianie.

Faith skinęła głową, biorąc od niego talerze. Były

tanie, plastikowe, praktyczne - takie, jakie kupują ludzie pomieszkujący to tu, to tam, bez własnego domu. Zrobiło się jej bardzo smutno.

- Zjemy tu, czy mam uprzątnąć stół w jadalni? - zapytała tonem usługowej gospodyni.

- Tu jest dobrze.

Zwykle jadał w kuchni, chyba że było coś ciekawego w telewizji.

Faith postawiła przed nim gigantyczną porcję, większą tego, co przyniosła.

- Odchudzasz się? - Zerknął na dwa skrzydełka i pieczony kartofel na jej talerzu.

Nie odpowiedziała.

Nie miał ochoty na jedzenie, przynajmniej nie w tej chwili. Dziabnął widelcem w kartofel i ugryzł kawałek. Smakowało jak trociny. Faith powoli żuła swoje skrzydełko. Wargi miała podniecająco czerwone od jego pocałunku, Na moment mignął różowy koniuszek języka, kiedy oblizywała z nich przyprawę. To już było ponad jego siły.

Z trzaskiem odłożył widelec, aż Faith podskoczyła.

- Do diabła z tym! - ryknął, podrywając się gwałtownie i dosłownie wyszarpując ją z za stołu.

Skrzydełko, które trzymała, upadło na podłogę, ale nie przejęła się takim drobiazgiem. Jack znów ją całował, trzymając w kurczowym uścisku. Objęła go ramionami równie mocno i desperacko.

- Chcę ciebie - wykrztusił głosem zdławionym przez pożądanie. - Chcę być w tobie - szepnął. - Potrzebuję tego, nie mogę czekać - przeproszał, ujmując jej biodra w dłonie. - Ani sekundy!

Ogarnęła ich miłosa gorączka. W najśmielszych marzeniach Faith nie wyobrażała sobie, że można się tak kochać - cudownie i zarazem pierwotnie. Miłosne odgłosy, wydawane przez Faith stały się głośniejsze i częstsze, aż wreszcie dyszała już tylko chrapliwie, błagając mężczyznę o wyzwolenie.

- Och, Jack, proszę, już nie mogę, Jack, ja chcę, ja...

- Czego chcesz? - zapytał, przyglądając się jej ciężkim spojrzeniem spod przymrużonych powiek. - No, mów, aniołku.

- Chcę... och, Jack...

- Powiedz to!

- Proszę... muszę... już!

Jack wydał chrapliwy okrzyk i teraz naprawdę dawał jej to, czego tak pragnęła. To, czego sam tak bardzo pożałował. Ich usta szukały się żarliwie, a gdy się odnalazły, języki rozpoczęły zawrotny taniec, który trwał, aż oboje razem osiągnęli szczyt. Przez tę nieprawdopodobną chwilę trwali w kurczowym uścisku, jakby tylko siebie mieli na świecie i bali się rozdzielić i zagubić.

Rozdział

9

- Faith? - Jack ocknął się i nie otwierając oczu, leniwym ruchem wyciągnął rękę, by dotknąć ciepłego, miękkiego ciała, które spodziewał się znaleźć obok siebie. Jednak palce na próżno przesuwaly się po śliskim prześcieradle. Natychmiast otworzył oczy.

Pokój tonął w półmroku, rozjaśniony jedynie smugą światła sączącego się ze szpary nie domkniętych drzwi łazienki. Faith siedziała na krawędzi łóżka. Po chwili pochyliła się, jakby szukała czegoś na podłodze.

- Co robisz?

- Szukam sukienki. O, jest. - Wstała i zaczęła przykładać ubranie do siebie, usiłując w półmroku odgadnąć, gdzie jest przód, a gdzie tył. Błysnęła biała pierś, potem ramię, aż wreszcie sukienka opadła na biodra, zakrywając nagość.

Wówczas Jacka ogarnął lęk.

- Odchodzisz?

- Tylko do kuchni - zaśmiała się cicho, pochyliła ku

niemu i pieszczotliwie dotknęła dłonią jego włosów. -
Umieram z głodu.

Przysiagłby, że w jej głosie zabrzmiała życzliwa kpi-
na. Panika ustąpiła momentalnie.

- Myślisz, że ryzykuję otrucie, jeśli jeszcze raz od-
grzeję te skrzydełka?

- Najwyżej niestrawność.

- Przynieść ci parę? -zawołała już z kuchni.

- Nie, wstanę. - Ziewnął, przeciągnął się i poczo-
chrał palcami włosy na piersi. Klasyczny zadowolony
samiec, pomyślał z rozbawieniem.

- Dobrze. Zobaczą, co masz w lodówce. Może, jeśli
starczy jajek, zrobię jeszcze jajecznicę. Masz ochotę?

- Jasne!

Faith zaśmiała się z satysfakcją.

- Tylko się pośpiesz, bo nic nie zostanie!

Jack leżał jeszcze przez dłuższą chwilę, wsłuchując
się w niecodzienne i jednocześnie miłe odgłosy kobiecej
krzątanimy dochodzące z jego kuchni. Syknęły otwiera-
ne drzwi lodówki, zadźwięczały szklanki, zadudniła wo-
da, uderzając o dno stalowego zlewu.

- Jeśli masz ochotę na kawę, będziesz musiał sam ją
zaparzyć - dobiegł go głos Faith. - Ja się nie znam na
przyrządzaniu tego specjału.

Jack uśmiechnął się i jednym skokiem zerwał się
z łóżka, chwytając po drodze dzinsy leżące na podłodze.

Faith stała przy kuchennym blacie, odwrócona do
niego tyłem, deliberując nad oklapłymi meksykańskimi
plackami i przypieczonymi skrzydełkami.

- W tej postaci to jest niejadalne - stwierdziła. -

W lodówce są tylko trzy jajka i słoik salsy. Będę musiała improwizować.

Jack podszedł i zajrzał jej przez ramię. Palcami odrywała lepsze kawałki mięsa ze skrzydełek.

- Co będziesz improwizować?

- Meksykańskie omlety - poinformowała z roztargnieniem, zajęta swoim nowym zadaniem. - Zmieszam kawałki mięsa z fasolą i stopionym serem z *nachos* i to będzie wypełniacz. Potem poleje się to sosem - i, *voila*, mamy meksykańskie omlety.

- *Ole!*

- Co takiego?

- „*Ole*” to po hiszpańsku tyle, co „*voila*”.

- Wiesz co, zamiast tego skróconego kursu językowego zrób lepiej kawę - zaproponowała, wymownie wznosząc oczy do góry.

Przez kilka chwil pracowali, milcząc, w zachwycającym porozumieniu, cudownie odprężeni i radośni. Jack przygotował kawę i zalał ją wodą, a potem oparł się o blat i czekał, aż zacznie wrzeć. Patrzył, jak Faith sprawnie obiera skrzydełka, zostawiając stos kostek, a potem starannie wyciera dłonie w papierowy ręcznik. Nawet w jaskrawym świetle kuchennych jarzeniówek wyglądała uroczo. Wyciągnął rękę i ująwszy ją pod brodę, zbliżył jej twarz ku sobie. Ocieniała ją burza starganych loków. Wargi Faith były czerwone i opuchnięte, a oczy błyszczące po miłosnej nocy. Dziewczyna wyglądała intrygująco i ponętnie.

Jack poczuł się jednocześnie jak ostatni podlec i jak najszcześniejszy człowiek świata.

- Co się stało? - zapytała, odwzajemniając jego spojrzenie. Poczowała się nieswojo, widząc jego minę. - Jack, o co chodzi?

- Byłem zbyt brutalny - powiedział cicho, delikatnie dotykając palcem śladu na jej szyi.

- Chyba żartujesz. - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Twój podbródek wygląda tak, jakby ktoś pocierał go papierem ściernym, a tu masz czerwony ślad, wielki jak ćwierćdolarówka. - Wskazał na ciemniejący siniak.

Faith zmarszczyła brwi, a potem zaśmiała się cicho.

- Hej, czyżbyś mi zrobił malinkę?

- Ugryzłem cię - sprostował, wyraźnie zły na siebie.

- W takim razie jesteśmy kwita - oświadczyła z satysfakcją. - Ja cię też ugryzłam.

- Ile jeszcze masz przeze mnie siniaków? - zapytał, sięgając do zapięcia jej sukienki. Zupełnie nie zwrócił uwagi na jej żartobliwie zalotny ton.

Faith chwyciła jego rękę, chcąc go powstrzymać.

- Jack, na Boga, przecież to nieważne! A przynajmniej ja się tym nie przejmuję.

On jednak się przejmował. Po raz pierwszy w życiu stracił nad sobą kontrolę i pozwoliłaby zawładnąć nim namiętności. W gruncie rzeczy, nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie ich okiełznać. Wtedy gdy Faith tak cudownie szczerze, spontanicznie i bez żadnych zahamowań oddała mu się, wyzwoliła w nim od dawna tłumione i spychane na samo dno duszy emocje. Przypływ dawno zapomnianych odczuć, jakich doświadczył w jej ramionach, poruszył go do głębi. Był zachwycony,

pełen uniesienia i zarazem przestraszony intensywnością przeżyć.

Faith patrzyła na niego w jasnym świetle kuchennych lamp z uczuciem w oczach. Może nawet sama nie zdawała sobie sprawy z tego, że to miłość. Jack nie potrzebował świadectwa słów. Wiedział, że prędzej czy później zostaną wypowiedziane. A kiedy Faith nazwie głośno swoje uczucia, będzie oczekiwała takiej samej deklaracji od niego. Ze zgrozą pomyślał, że nie potrafi jej złożyć. Nie chciał się zakochać. W ogóle nie pragnął miłości.

Nawet gdyby Faith, niepomną na nic, robiła, czego od niej zażąda, on, do diabła, musi postawić jasno sprawę, otworzyć jej oczy! Faith McCray musi zrozumieć, że związała się z niewłaściwym facetem. I nawet nie chodziło tu o różnicę wieku, choć już samo to powinno obudzić jej czujność. Przecież wiedziała już, co przeżył i co robił w ciągu tylu lat, jakie spędzili osobno. Lat pustki, bólu i prozy życia, które stały się tworzywem jego reportaży. Należało sprawić, żeby zaczęła o tym myśleć. Jego powinnością było ostrzec ją, zanim będzie za późno. Musiał zniechęcić ją do siebie tak, żeby sama go rzuciła, gdyż on nie miał dość siły, by oprzeć się jej, gdyby zechciała z nim zostać.

- Jack? - zagadnęła z wahaniem, spłoszona wyrazem jego oczu.

- Jeszcze ci nie pokazałem, nad czym pracuję, prawda? - Zrobił wymowny gest w stronę jadalni i stolika z maszyną do pisania.

- Nie. - Faith powoli pokręciła głową. Nie była pewna, czy chciałyby to wiedzieć. Właściwie wołałyby nie

wiedzieć, jeśli było w tym coś, co sprawiało, że był tak smutny, niepewny i... przerażony.

Palce Jacka zacisnęły się na jej ramieniu.

- W takim razie, chodź, muszę ci to pokazać - rzucił.

- Zaraz, a omlet? A kawa może... - Szukała jakiegoś pretekstu, żeby odwieść go od tego, co zamierzał.

- Spokojnie, kawa nie wykipi. - Szybkim ruchem zakręcił kurek gazu, po czym niecierpliwie, szorstko wypchnął Faith z kuchni. Kiedy zapalił światło w jadalni, zaśmiecony papierami stół ukazał się w całej okazałości. Jack gwałtownym gestem odsunął krzesło i zmusił Faith, by usiadła przed maszyną.

- Słuchaj, czegoś tu nie rozumiem - powiedziała zdziwiona, zobaczywszy, że wałek maszyny jest pusty. Również zaścielające podłogę zmięte kartki były, o ile mogła zauważyć, czyste. - Przecież tu nic nie ma.

- Zgadza się - potwierdził. Sięgnął do kasetki stojącej obok maszyny, wyciągnął stamtąd plik kartek i wcisnął jej do rąk.

Była to zszywka około stu stron. Pożółkły, pognieciony papier musiał być stary. Faith trzymała kartki ostrożnie, jakby miała w ręku bombę gotową w każdej sekundzie wybuchnąć.

- No, czytaj! - ponaglił Jack. - Chociaż pierwszą stronę.

- „Kochankowie i nieznajomi”. Eryk i Jack Shannon. Wersja ostateczna, maj 1970 - odczytała na głos. W rogu widniał adres Bachelor Arms i numer telefonu.

- A więc napisałeś Coś wspólnie z bratem... - Spojrzała na niego poważnie, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Widzę, że plotkarska sieć funkcjonuje w Bachelor Arms tak samo sprawnie jak dawniej - skomentował cierpko Jack. - Ktoś już zdążył ci opowiedzieć tę żalną historię.

- Wiem tylko, że twój brat umarł.

- Nie, nie umarł tak po prostu. - Jack przez moment jakby się zawahał. - To ja go zabiłem.

- Nie wierzę! To bzdura! - krzyknęła impuśywnie.

- Nie jest ważne, aniołku, w co wierzysz czy nie wierzysz. Taka jest prawda.

- Nie, Jack. - Z powagą pokręciła głową. - Nie wierzę i nie uwierzę nigdy. - Podniosła się z krzesła i stanęła naprzeciw niego wyprostowana, zaciskając dłonie na maszynopisie. - Nie jesteś zdolny do zamordowania kogokolwiek, a zwłaszcza własnego brata - powiedziała powoli, jakby składając oświadczenie przed niewidzialnym trybunałem.

- Och, naiwna dziewczynko, nawet nie możesz sobie wyobrazić, do czego jestem zdolny. Chociaż, nie twierdziłem, że go zamordowałem. Powiedziałem, że go zabiłem. Dla niego, oczywiście, to żadna różnica. Martwych już takie subtelności nie obchodzą - dodał z goryczą.

- Ale obchodzą żywych! - zaprotestowała. - To było samobójstwo albo nieszczęśliwy wypadek, prawda? - Pamiętała, co na ten temat mówiła Bobbie-Sue. - Twój brat wypadł z balkonu. Dlaczego czujesz się odpowiedzialny za jego śmierć?

- Jestem odpowiedzialny - podkreślił ponuro.

- Nie - powiedziała z mocą, kładąc mli rękę na ramieniu, jakby chciała go wesprzeć w jego cierpieniu.

Napięte do ostateczności mięśnie zadrgały pod czułym dotknięciem. - Nieszczęśliwe zbiegi okoliczności nie są przez nikogo zawinione. One się po prostu zdarzają. Musimy się nauczyć, jak sobie w życiu radzić z ich konsekwencjami. Nie ma innego wyjścia.

- Jasny gwint, Faith, może byś wreszcie zaczęła słu-
chać, co do ciebie mówię! - wybuchnął. - To nie był żaden wypadek, a Eryk nie wypadł tak po prostu z balkonu. On skoczył, rozumiesz?! Stał na barierce i skoczył w dół! Popełnił samobójstwo! A zrobił to, bo - gwałtownym szarpnięciem wyrwał jej z rąk pożątkę kartki i z trzaskiem rąbnął nimi o biurko - bo pokłóciliśmy się o to! Właśnie o ten cholerny scenariusz! - Z wściekłością i obrzydzeniem cisnął plik kartek w kąt pokoju.

W ciszy, która zapadła, patrzyli sobie w oczy, stojąc bez ruchu naprzeciw siebie. Faith ogarnęła Jacka wzrokiem pełnym grozy i współczucia zarazem. Pragnęła tak po kobiecemu, niemal po matczynemu przytulić i pocieszyć tego udręczonego i zagubionego mężczyznę. Ale powstrzymywało ją spojrzenie Jacka, pełne lęku i jawnej pogardy dla samego siebie.

Powinna się teraz odwrócić od niego i odejść. Tego oczekiwał, do tego dążył, choć nie był pewien, czy zdoła to znieść. Zaciśnął szczęki i zebrał się w sobie, jakby w oczekiwaniu na cios. Albo na czułe dotknięcie. Zarówno jedno, jak i drugie mogło go unicestwić.

- Có się naprawdę stało? - zapytała łagodnym tonem, jednocześnie nerwowo zaciskając dłonie. Wiedziała bowiem, że Jack jej powie i obawiała się tego, co usłyszy.

- Klóciliśmy się przez całe tamto lato. Wystarczył

byłe pretekst. Erykowi nie podobał się mój styl życia. Ja nie cierpiałem towarzystwa, jakim się otaczał. Idiotyzmy - machnął ręką z pogardliwym lekceważeniem. - Pracowałem jako technik w studiu, ale tak naprawdę marzyłem o pisaniu scenariuszy. Miałem nawet kilka dla telewizji na swoim koncie, ale nikt ich nie zrealizował.

- A ty? Co robiłeś tamtego lata?

- Wiesz, miałem osiemnaście lat i lewackie zapędy. Pisałem dla gazetek, opluwających jadem wszystkich, którzy doszli do jakichś pieniędzy. Krążyło wtedy mnóstwo tego typu prasy. Moją specjalnością stały się napaśtliwe felietony, w których mieszałem z błotem ten skorpumpowany i niemoralny system.

- Jednym słowem, obydwaj paraliście się piórem.

- Tak, byliśmy niemal pisarzami. - Parsknął krótkim śmiechem i nerwowo przeciągnął ręką po włosach. - Eryk namówił mnie, żebyśmy wspólnie napisali scenariusz. Przekonywał, że jeśli uda nam się go sprzedać i zrealizować, trafię ze swoimi ideami do milionów ludzi, a nie tylko do grupki zapaleńców czytających mój szmatławiec. Moim zadaniem miało być naszkicowanie całej akcji, pomysł fabuły, a jego - napisanie dialogów. I udało się. Eryk zrobił z mojego szkicu rzecz na tyle komercyjną, że wreszcie ktoś chciał to od nas kupić i zrealizować.

- I co? - Zaciekawiona próbowała go ponaglić,

- Producent żądał poprawek, jak to zwykle producentowi. Ja natychmiast uznałem to za zamach na mój światopogląd i oświadczyłem, że nie pozwolę sprostytuować naszego dzieła. Całymi dniami kłóciłem się o to

z bratem. Również tamtego wieczoru, kiedy zginął. W czasie kolejnej imprezy, jednej z wielu, jakie się tu odbywały, znów zaczął mnie naciskać. Opowiadał, ile to zarobimy pieniędzy i jaką zyskamy sławę, ale tak naprawdę mówił o życiowym zabezpieczeniu. Wiesz, nigdy właściwie, nawet za życia rodziców, nie było nam łatwo i Eryk miał obsesję, żeby zapewnić nam godziwy byt. Starał się o to, odkąd pamiętam. Aleja zaciałem się i nie chciałem go słuchać. W końcu zaczął grozić, że sam wprowadzi poprawki. Wtedy się wściekłem i wypaliłem mu, żeby nawet nie próbował się do tego brać, bo nie ma za grosz talentu. Uwierz mi, Faith, nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Nigdy! Zupełnie jakby dostał cios prosto w serce.

- Czy to była prawda?

- Teraz to już nieważne. Absolutnie nie powinienem był mu tego mówić, ale byłem głupim, zbuntowanym sniarkaczem. Wypadłem z mieszkania, zanim zdążył odezwać się słowem. Nawet nie pamiętam, dokąd wtedy poszedłem i co robiłem. Pamiętam dopiero moment, w którym zobaczyłem Eryka leżącego tam, w patiu. Gdyby nie kałuża krwi wokół głowy, wyglądałby, jakby spał.

- Och, Jack, tak ci współczuję... - wyjąkała Faith, porażona jego opowieścią.

- A wszystko to z powodu paru nieistotnych poprawek w głupim scenariuszu, którego pewnie i tak nikt by w końcu nie sfilmował - wyrzucił z siebie z powstrzymaną gwałtownością.

- Dlaczego po tylu latach ciągle jeszcze się tym drę-

czysz? Dlaczego krążysz wokół tego bolesnego tematu? - Faith usiłowała łagodnym tonem głosu trochę go uspokoić.

Odpowiedzią był wybuch sarkastycznego, gorzkiego śmiechu.

- Myślałem, że ktoś taki jak ty powinien znać odpowiedź.

- Ktoś taki jak ja?

- Tak, kochanie. Przecież doskonale opanowałaś sztukę samoudręczania i wzbudzania w sobie poczucia winy.

- A za narzędzie tortur służy ci ten scenariusz, który ciągasz ze sobą po świecie przez dwadzieścia pięć lat?

- Wskazała palcem na leżące w kącie kartki. - Ma przypominać ci o czymś, czego i tak nie możesz już zmienić. To nie jest samoudręczenie, Jack, to prawdziwy masochizm. Równie dobrze mógłbyś biczować się i chodzić we włosiennicy albo namalować sobie czerwoną farbą na czole „M” - jak „morderca”, żeby każdy od razu wiedział, za kogo sam siebie uważasz. Niezłym rozwiązaniem byłoby też oblanie się benzyną i podpalenie, którego mógłbyś dokonać na wzór buddyjskich mnichów, tu, na dziedzińcu Bachelor Arms, najlepiej dokładnie w miejscu, gdzie leżały zwłoki twojego brata. A może widowiskowy skok z balkonu byłby lepszy? Zresztą, wszystko byłoby lepsze niż to, co sobie przez cały czas robisz, nawet kiedy jesteś ze mną. - Zamilkła na chwilę, żeby zaczerpnąć oddechu, zaskoczona gwałtownością własnych słów.

- Wcale nie ciągałem ze sobą tego scenariusza - za-

perzył się. - Tak naprawdę, to prawie o nim zapomniałem. - Jack mówił prawdę. Dopiero niedawno przypomniał sobie o scenariuszu. Natomiast przez wszystkie te lata nie mógł wyrzucić z pamięci tragedii, jaka się wówczas wydarzyła.

- W takim razie, skąd się tu wziął? - dociekała Faith.

- Kiedy z powrotem wprowadziłem się do Bachelor Arms, Amberson pokazał mi kilka kartonów z rzeczami Eryka, na które nikt się nie połaszczył. Przechował je w suterenie.

- I w jednym z nich był scenariusz - to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak. Scenariusz, moja stara maszyna do pisania, a poza tym trochę książek, sarta starych rachunków i kilka obrazków.

- To musiało zboleć - powiedziała miękko Faith, żałując, że nie mogła być wtedy przy nim, by pocieszyć go i złagodzić ten wstrząs. Jednak coś w wyrazie twarzy mężczyzny powiedziało jej, że nie przyjąłby takiej pomocy. Ani wtedy, ani teraz.

- W gruncie rzeczy nie zabolało - stwierdził takim tonem, jakby sam był zaskoczony swoją reakcją. - Nawet było w jakiś sposób pocieszające, zupełnie jak spotkanie starego przyjaciela. Dało mi... - Zastanowił się chwilę, gdyż po raz pierwszy próbował to wyrazić słowami. Nigdy dotąd nie rozmawiał z nikim tak szczerze. - Dało mi coś, co można określić jako nadzieję na wybawienie od tego piekielnego poczucia winy. Teraz mógłbym i chciałbym zrobić poprawki, o które prosił mnie Eryk tyle lat temu. Problem w tym, że nie jestem w stanie.

' - Nie jesteś w stanie poprawić scenariusza? - upewniła się, czy dobrze go rozumie.

- Nie mogę pisać. W ogóle. Od czasu Haiti nie napisałem ani słowa.

- Coś się stało na Haiti?

- Właśnie o to chodzi, że nic. - Nerwowym ruchem przeczesał palcami włosy. - Nic takiego, czego nie widziałbym już setki razy w innych częściach świata. Widywałem nawet rzeczy po stokroć gorsze.

Faith uspokajająco dotknęła jego dłoni.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła, mając nadzieję, że ta opowieść pomoże mu zrozumieć samego siebie i dotrzeć do sedna sprawy.

Zamknął jej dłoń w swoich- i już nie puścił.

- Byłem tam dopiero trzy dni, to niedługo, i łąziłem po ulicach, zbierając materiał do artykułu. - Nie patrzył na nią, kiedy mówił, ale zaciskał dłonie, jakby chciał zmiażdżyć jej palce. - Podbiegła do mnie grupa, chyba sześciu chłopaczków, ośmio- albo dziesięciolatków, brudnych, chudych i obdartych. Rozumiałem piąte przez dziesiąte z tego, co wykrzykiwali, ale mieli taki głód w oczach, że nie trzeba było słów - mówił jakby automatycznie, martwym głosem.

Faith położyła mu drugą rękę na ramieniu. Teraz wreszcie mogła być opiekuńcza i pocieszająca. Jack pozwalał na to.

- Dałem każdemu z nich po batoniku, które zawsze nosiłem w chlebaku. Rozdałem wszystkie. Dosłownie rzucili się na nie, ale jeden dzieciak nie zjadł swojego, tylko przyciskając baton do piersi, jak jakiś skarb, pognał

na drugą stronę ulicy, wołając kogoś. Zza walącego się ogrodzenia wyszedł drugi malec, chyba pięcioletek, ale trudno określić wiek przy tym ich potwornym wychudzeniu. I wtedy starszy chłopak przełamał batonik i dał większy kawałek swojemu młodszemu bratu. A potem jeszcze stał i pilnował, gdy tamten jadł, żeby nikt nie zabrał mu jedzenia. Dopiero potem wziął się do swojej części.

Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, poczuł, że ma mokre policzki, ale nie dbał o to. Faith delikatnie otarła mu łyzy końcami palców. Tego też zdawał się nie zauważać.

- Ich widok był ostatnią rzeczą, którą zapamiętałem. Nie wiem, co działo się potem. Ocknąłem się dwa dni później w szpitalu w Miami.

- W szpitalu w Miami? - Nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Coś na kształt zapaści - powiedział, nie patrząc na nią. - Czarna dziura, rozumiesz? Amerykański dziennikarz, który na szczęście znalazł się w pobliżu, zabrał mnie stamtąd. Chyba uznał, że najbliższej do Miami.

- Przeszedłeś załamanie nerwowe - domyśliła się.

- W każdym razie nie ma się czym chwalić - burknął szorstko.

Faith nie mogła już dłużej patrzeć na jego udrękę. Przysunęła się jeszcze bliżej i objęła go ramionami. Poczowała opór, ale nie odepchnął jej. Pozwolił, by przyciągnęła jego głowę do ramienia i utuliła jak dziecko. Czuła jego łyzy na swoim policzku, silne ciało drżące jak liść w jej słabych ramionach, palce szarpiące materiał jej sukienki. Wreszcie fala rozpacz przeminęła. Po długiej

chwili Jack uspokoił się i wyciszył w ramionach Faith. Wzruszającym, dziecinnym gestem wytarł mokrą twarz ojej ramię-jak chłopiec, który wstydząc się łez, wyciera je ukradkiem w sukienkę matki. Należał do mężczyzn, którzy uważają, że łzy im nie przystoją.

Wyczuwając to, opuściła ramiona i delikatnie odsunęła się od niego, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

- Muszę zająć się omletem, bo inaczej umrzemy z głodu - oznajmiła lekkim tonem i poszła do kuchni.

scandalous

Rozdział

10

- Uprzątnij stół w jadalni - poprosiła Faith, zajęta szorowaniem patelni. - Tam zjemy. Zaraz podam kawę i omlet.

Jack poruszał się niczym robot. Myśli krążyły wokół tego, co stało się przed chwilą. Zachował się jak dzieciak, a ona nie powiedziała ani słowa pochwały czy pocieszenia, nie zapewniła, że wszystko będzie dobrze. Po prostu była tu, przy nim, spokojna i niewzruszona. Kiedy wreszcie odsunął się od niej niezręcznie, zawstydzony własnym brakiem opanowania, jak gdyby nigdy nic wzięła się do kuchennej roboty.

Ze zdumieniem zorientował się, że uprzątnął stół, odstawił na bok maszynę do pisania i zgarnął papiery, by przygotować miejsce dla talerzy. Scenariusz wrócił do pudła. Faith trzaskała szafkami w kuchni.

Wreszcie zjawiła się przy stole, niosąc na tacy kawę i apetycznie pachnące omlety oraz grzanki z bułeczek, a do nich dżem na spodeczku. Jako serwetki, na których

zgodnie z regułami sztuki ułożyła sztucce, posłużyły udrapowane kuchenne ściereczki.

- To po prostu nieprawdopodobne - stwierdził Jack, z zachwytem śledząc, jak nalewa mu parującej kawy do kubka. - Jesteś niesamowita.

- Wstrzymaj się z tymi pochwałami, dopóki nie spróbujesz omletu - ostrzegła. W rodzinnym Pine Hollow usługiwanie mężczyźnie w domu traktowane było jak codzienny, oczywisty obowiązek i nic więcej. - No, jedz -- zachęciła, sadowiąc się naprzeciwko niego.

Siedząc razem z Faith przy stole i delektując się smaczkowitym omletem, Jack nagle pojął, że tak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby Faith zechciała z nim zostać. Już przecież sprzątała jego mieszkanie, szykowała mu jedzenie, dzieliła z nim łóżko i pocieszyła, gdy wpadł w rozpacz — nie żądając nic w zamian.

- Faith, dlaczego jeszcze ze mną jesteś?

Znieruchomiała na moment z kąskiem omleta nabitym na widelec, patrząc na niego pytająco orzechowymi oczami.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? Tutaj, ze mną, po tym wszystkim- co się stało? - rzucił zaczepnie.

- Bo cię kocham - odparła z prostotą.

Poczuł nagły skurcz, zabrakło mu na moment powietrza. Nadzieja, podniecenie, radość, lęk, groza. Nie spodziewał się, że wyzna to tak po prostu.

- Faith... nie wiem, co ci powiedzieć - wyjąkał bezradnie.

- W porządku, rozumiem. Nie oczekiwałam, że cokolwiek odpowiesz.

Nie oczekiwała. Miała tylko nadzieję. Już dawno temu nauczyła się, że nie należy liczyć na odwzajemnienie przez kogoś uczucia.

- Pamiętasz, co mówiłam o życiowych decyzjach?
- zapytała spokojnie. - O tym, że czuję się odpowiedzialna za to, co robię? To dotyczy również uczuć. Odpowiadam za swoje uczucia i potrafię nad nimi zapanować. Nie oczekuję od ciebie, że docenisz je, a zwłaszcza że je odwzajemnisz, choć oczywiście chciałabym tego
- stwierdziła z właściwą sobie szczerością. - Jednak niczego nie oczekuję, pamiętaj.

. Jack w zdumieniu pokręcił głową.

- Coraz mniej cię rozumiem, aniołku. Teraz, kiedy już tyle się dowiedziałaś, powinnaś uciekać ode mnie gdzie pieprz rośnie, a nie siedzieć tutaj i najspokojniej w świecie wyznawać mi, że mnie kochasz. Nie jestem mężczyzną dla ciebie, już ci to mówiłem. Nie wyobrażam sobie naszego związku.

- Wiek nie musi być przeszkodą - zaproponowała żywo. - Jeśli nie będziemy myśleli o różnicy lat, zapomniemy o niej.

- To nie jest tylko kwestia wieku.

- W takim razie, czego? Masz na myśli swoje... stan swojej psychiki, bagaż przeżyć? - Popatrzyła mu prosto w oczy. - To mnie wcale nie przeraża.

- Należysz do bardzo upartych osóbek, prawda?

Faith podniosła filiżankę do ust, dając sobie czas na zastanowienie się, o co naprawdę mu chodzi.

- Myślę, że tak - powiedziała po chwili. - I byłoby, najlepiej, gdybyś od razu odpowiedział na moje pytanie.

Jack nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Rozbroiła go tym uroczym uporem. Była słodka i taktowna, a jednocześnie konsekwentna i nieustępliwa. Wiedział, że nie da mu spokoju, dopóki nie uzyska satysfakcjonującej odpowiedzi na swoje pytanie o dzielące ich różnice. Sięgnął do kieszeni po papierosy, ale napotkał spojrzenie Faith.

- Przepraszam. - Cofnął rękę z ociąganiem.

- Ależ nie krępuj się - powiedziała pospiesznie. Nie była przyzwyczajona, że tak jej słuchano. - To przecież twoje mieszkanie i możesz tu robić, co chcesz.

- Wiem. Tylko już od dawna próbowałem rzucić palenie. - Wyciągnął wypaloną do połowy paczkę z kieszeni i zgniótł ją w garści. - O! Właśnie je rzuciłem ostatecznie.

- Nie musiałeś tego robić akurat teraz. - Faith była poruszona gwałtownością jego gestu.

- Owszem, musiałem .- stwierdził z powagą. To przynajmniej się jej należało od niego.

- Zdajesz sobie sprawę, że ci nie popuszczę, i będziesz mi musiał odpowiedzieć - powiedziała Faith z łagodną stanowczością.

Jack z zakłopotaniem przeciągnął dłonią po włosach.

- Nie chodzi o... o moje załamanie nerwowe - zaczął niepewnie. - Ani też o dzielące nas lata, tylko o to, jak te lata przeżyłem i kogo ze mnie zrobiły. Te lata były puste i złe, aniołku. Pozbawione ciepła, miłości i takich chwil. - Gestem wskazał ładnie zastawiony stół, domowe jedzenie i siedzącą naprzeciwko niego kobietę. - Zrobiły ze mnie faceta, który wykorzystuje kobiety...

- Ty mnie nie wykorzystujesz - zaprotestowała ostro. - To, co zdarzyło się między nami, było wyłącznie moją de...

- Tak, tak, wiem, twoją decyzją- dokończył ironicznie. - Zgoda, przyjmijmy, że cię nie wykorzystałem. Nie znaczy to jednak, że jestem takim typem mężczyzny...

- Może mi wreszcie powiesz, jakim typem jesteś?
- Teraz Faith wpadła Jackowi w słowo.

- Twardym, aniołku. I wypalonym wewnątrznie - oświadczył dobitnie, jakby chciał, żeby dobrze go zrozumiała. - W czasie wszystkich tych lat nikogo nie kochałem. I nie chciałem, żeby ktoś mnie kochał.

- Kochałeś swojego brata..

- I doprowadziłem go do samobójstwa.

Faith przygryzła wargę, usiłując powstrzymać się od płaczu na widok rozpaczliwej pustki jego spojrzenia. Wiedziała, że płacz nic tu nie pomoże. Jack utwierdziłby się tylko w przekonaniu, że ją skrzywdził. Do licha, przecież jest dorosłą kobietą, a nie naiwnym dziewczętakiem. Musi mu to jakoś udowodnić! Mocno ujęła filiżankę w dłonie, by nie dostrzegł, że drżą.

- Kiedy miałam piętnaście lat - zaczęła po chwili milczenia - w naszej szkole pojawił się nowy nauczyciel muzyki. Mój ojciec niezmiernie się z tego ucieszył* bo pan Morrison okazał się młodym, pełnym energii i pomysłów człowiekiem. Mój ojciec jest urodzonym działaczem, zaangażowanym nie tylko w sprawy kościelne. Należy do wszystkich możliwych organizacji i stowarzyszeń w naszym okręgu; był też oczywiście członkiem rady szkoły. Od dawna już omawiano sprawę zorganizo-

wania porządnej szkolnej orkiestry. Pani Burnett, którą dyrektor trzymał już chyba z litości, powinna dawno odejść na zasłużoną emeryturę. Głuchła coraz bardziej, a jak komentowano złośliwie, nie była przecież Beethovenem. Pan Morrison, który ukończył konserwatorium w Nowym Jorku, tak przypadł ojcu do gustu, że wkrótce zaprosił go do nas na kolację, by omówić plany zakupu nowych instrumentów i znalezienia sponsorów dla orkiestry. Rozpromienił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że nauczyciel pochodzi z dobrej, katolickiej rodziny. Od razu zaprosił go na następną kolację. Od tej pory Morrison zaczął prawie co tydzień pojawiać się u nas. Był już niemal na prawach domownika, więc często wpadał do kuchni, gdzie szykowałam na jego cześć cytrynowe ciasteczka. Mama była już wtedy bardzo chora i zajmowałam się gotowaniem. Opowiadał mi o Nowym Jorku, o muzyce, plotkowaliśmy o szkole i innych nauczycielach. To były takie sobie zwykłe pogaduszki, ale bardzo je lubiłam, bo w naszej rodzinie mężczyźni na ogół nie interesowali się opinią kobiet i nie wdawali się z nimi w rozmowy. Morrison sprawił, że poczułam się wyjątkowa i ważna. Wyróżniał mnie też na lekcjach, aż koleżanki zaczęły mi zazdrościć, bo był bardzo przystojny i wszystkie się w nim kochały.

- To miły obrazek, ale nie bardzo rozumiem, co może mieć wspólnego z naszą dyskusją- rzucił z lekkim zniecierpliwieniem Jack, ale natychmiast spoważniał, widząc bolesne, pełne napięcia spojrzenie Faith.

- Słuchaj dalej i niczego nie komentuj, proszę.

Skinał głową. Już zrozumiał, że to, p czym mu opo-

wiada, nie jest banalnym wspomnieniem z dawnych ażkolnych lat.

- Po niedługim czasie powiedział ojcu, że chętnie udzielałby mi dodatkowych lekcji śpiewu i gry ze względu na mój talent, który szkoda by było zmarnować. Lekcje miałyby się odbywać u niego w domu, ponieważ my nie mieliśmy pianina. Ojciec, który widział już we mnie gwiazdę chóru parafialnego, bardzo zapalił się do tego pomysłu. Nie muszę ci chyba mówić, że również byłam zachwycona. Miałam w tym cel - zaznaczyła specjalnie po to, żeby Jack wiedział, iż potrafiła być interesowna. - Przynajmniej raz na tydzień mogłam wyrwać się na całe popołudnie spod kurateli ojca, który uważał, że zarówno dziewczynki, jak i kobiety nie powinny bez potrzeby ruszać się z domu. Wyobrażasz sobie, w dzisiejszych czasach? Zwykle wypuszczał mnie tylko do szkoły albo po sprawunki i leki dla matki.

- Boże, co za zacofany typ - wyrwało się Jackowi. Szybko jednak przeprosił, widząc ból w spojrzeniu Faith.

- Poza tym wiedziałam, że inne dziewczyny będą się skręcać z zazdrości - ciągnęła dalej. - Robert Morrison był młody, przystojny i do wzięcia. Teraz, gdy o tym wszystkim myślę, zastanawiam się, czy ojciec nie widział w nim przyszłej partii dla mnie. Uważał przecież, że kobieta powinna zaraz po szkole wyjść za mąż i zająć się rodzeniem i wychowaniem dzieci. Wściekał się, kiedy marzyłam o studiach. W każdym razie brałam te lekcje dwa miesiące - urwała, by zaczerpnąć powietrza. Zacisnęła palce na filiżance, przygotowując się

do powiedzenia Jackowi tego, czego nie wiedział nikt z jej przyjaciół ani rodziny - i wtedy zaczął się nasz romans.

Jack tak gwałtownie zakrztusił się kawą, że omal nie wypłuł jej na stół.

- Wasz co?

- Romans, tak, dobrze usłyszałeś - potwierdziła szttywnym tonem. - Straciłam cnotę. Miałam kochanka. Dotarło wreszcie do ciebie?

- Na Boga, Faith, przecież... przecież miałaś wtedy piętnaście lat!

Przytaknęła, uciekając spojrzeniem w bok. Policzki jej płonęły.

- Przecież mówiłam ci, że nie jestem dziewicą i że był ktoś. Nie pamiętasz?

- Rany boskie, zabiłbym tego drania! - wybuchnął Jack. - Co na to wszystko twój ojciec? Mam nadzieję, że rzucił w kął chrześcijańskie miłosierdzie i spuścił baty temu gościowi!

Faith w głębi duszy żałowała, że jej ojciec tego właśnie nie zrobił.

- To nie była wyłącznie wina Morrisona - powiedziała, ciągle uciekając spojrzeniem w bok. - Ja...

- Żartujesz, przecież był twoim nauczycielem, a ty jego uczennicą, jeszcze dzieckiem! - Jack wyobrażał sobie, jak bardzo wtedy musiała być ufna i niewinna. Krucha roślinka, o którą trzeba było dbać i chronić ją od wszelkiego zła. - Jak możesz go usprawiedliwiać?

- Bo wiedziałam, że źle robię, ale zgadzałam się na wszystko. Kiedy pocałował mnie po raz pierwszy, byłam

przerażona, że popełniam grzech, ale skrycie marzyłam, żeby zrobił to jeszcze raz.

Nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby się sprzeciwić. Robert był taki miły, przystojny i taki dobry dla niej, a ona, jak każda dziewczyna, marzyła o miłości i księciu z bajki. Poza tym, to był tylko jeden niewinny pocałunek. Niektóre jej koleżanki chwaliły się, że już się całowały, nawet wiele razy.

- Przy każdym następnym spotkaniu sprawy... posuwały się coraz dalej.- ciągnęła, nerwowo splatając palce.
- Oczywiście nawet ja, święta naiwna, wiedziałam, do czego to prowadzi. Ale... - zebrała siły, by wyznać najgorsze - ..lubiłam, kiedy pieścił mnie i całował. Zaczęłam oddawać mu pocałunki, a potem pieścizoty. - Pochyliła głowę jak skazaniec i zamilkła, jakby czekała na wyrok. Jack milczał jednak i nie uczynił żadnego gestu, więc mówiła dalej.

- Coraz bardziej bałam się, że ojciec dowie się o nas. Robert uspokajał mnie, że po prostu bardzo się lubimy i nic jeszcze złego nie zrobiliśmy. Bardzo chciałam mu wierzyć, ale lęk narastał. Wreszcie - nie pamiętam już pod jakim pretekstem - odwołałam lekcję. Wtedy zadzwonił do ojca.

- I co mu powiedział?

- Poskarżył się, że opuszczam się w nauce, a stwierdza to z przykrością, bo zaczęłam właśnie robić postępy. Gdybym teraz jeszcze intensywniej ćwiczyła, miałabym szansę w przyszłym roku zostać solistką w chórze. Ojciec oczywiście zaczął go przeproszać i obiecał, że wybije mi z głowy lenistwo. Miałam potem kosmiczną awanturę.

- Chcesz powiedzieć, że ojciec się niczego nie domyślał? - zdumiał się Jack.

- W żadnym wypadku. Twierdził, że rzadko spotyka się tak porządnych młodych ludzi.

- A twoja mama? Matki zwykle mają intuicję. Dlaczego się jej nie poskarżyłaś?

Faith smutno pokręciła głową.

- Nie mogłam, Jack. Była już wtedy bardzo chora i każdy wstrząs mógł pogorszyć jej stan. Nie chciałam jej denerwować. Zresztą uważałam, że sama sobie jakoś poradzę. Postanowiłam, że zostanę po lekcjach w pracowni i porozmawiam z Robertem; Powiem mu, że będę dalej pobierać lekcje muzyki, jak kazał ojciec, ale nic poza tym. Byłam pewna, że zrozumie i nie będzie mnie więcej zaczepiał.

- O święta naiwności! - nie wytrzymał Jack.

- Następnego dnia udałam, że wychodzę ze szkoły, ale po cichu wróciłam do pracowni. Siedział tam, przeglądając jakieś nuty. Bardzo się ucieszył, kiedy przyszłam, i powiedział, że chciał porozmawiać o naszej sytuacji. Prosił, żebym usiadła, nalał mi lemoniady. Byłam zadowolona, że nie muszę robić żadnych wstępow i od razu oznajmiłam, że oczekuję od niego tylko lekcji i nic więcej. Mówiłam o grzechu i lęku przed ojcem. Przyznał mi rację, a potem pochylił się nade mną, pocałował i szepnął, że jestem tak urocza, że nie potrafi mi się oprzeć.

Głos Faith był spokojny, nawet obojętny, jakby opowiadała o cudzych problemach, ale obojętności tej przeczyły drżące wargi i dłonie. Teraz dopiero Jack zrozu-

miał, dlaczego tak ostro zareagowała, gdy tańczyli w pa-tiu - użył wtedy niemal tych samych słów.

- Wybacz, aniołku, byłem cholernie głupi - wyszep-tał, ale zdawała się go nie słyszeć.

- Oddałam mu pocałunek - ciągnęła swoją opowieść z ponurą determinacją, nie oszczędzając mu najdrobniej-szego szczegółu. -I pozwoliłam, żeby mnie dotykał. Nie zrobiłam nic nawet wtedy, kiedy włożył mi rękę pod spódnicę i zdjął majtki. Wtedy kochaliśmy się tam, w pracowni, na dywanie pod fortepianem. Do końca życia będę pamiętać żółto-brązowy wzorek. Potem robi-liśmy to u niego w domu, podczas „lekcji”. Za czwartym razem nakrył nas ojciec, bo przypadkiem przejeżdżał obok i postanowił wstąpić po mnie. Zawsze zapominali-śmy zamknąć drzwi.

- Rany boskie, Faith— wyszeptał zdruzgotany Jack. Mógł sobie wyobrazić, co się wtedy działo.

- Ojciec wpadł w furję. Robertowi udało się jakoś odciągnąć go ode mnie tak że zdążył tylko dać mi po twarzy. Ale mocno, bo miałam rozbitą wargę i dzwoniło mi w uszach.

Jack mimowolnie zacisnął pięści. Och, gdyby tam był, zrobiłby porządek i z jednym, i z drugim!

-Ojciec chciał bić ciebie, a nie Morrisona? - warknął.

- Jak ma według ciebie zareagować ojciec, kiedy widzi, że jego nieletnia córka się puszcza? - zapytała bezlitośnie.

-A twój belfer? - naciskał. - Był niewinny jak aniołek, co? Może mi jeszcze powiesz, że to ty go uwiodłaś?

- To była moja wina, Jack - powiedziała cicho, odwracając oczy. - Za bardzo go kusiłam.

Jack sięgnął przez stół i ujął ją za podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w twarz.

- Wiesz, że to nieprawda, Faith. Popatrz mi w oczy i powiedz, że sama nie wierzysz w te bzdury.

- Nie sprzeciwiłam się - powiedziała męczeńskim tonem, przymykając powieki pod jego palącym spojrzeniem. - Zrozum, nie zmuszał mnie do niczego, sama chciałam.

- Przestań mi powtarzać bzdury, których naopowiadała ci ta świnia! - nie wytrzymał Jack. - Przecież uwiódł cię z premedytacją, wykorzystując twoją naiwność. - Puścił ją i gwałtownym ruchem zburzył sobie palcami włosy. - Wystarczyłoby, żebyś wniosła oskarżenie, a każda ława przysięgłych posadziłaby tego gościa za kratki. Dosłownie nóż mi się w kieszeni otwiera, kiedy o tym myślę. Jak twój ojciec mógł...

- O, nie, Jack - Faith stanowczo potrząsnęła głową - w moich stronach inaczej załatwia się takie sprawy. Musiałabym wyznać swoje grzechy i prosić o przebaczenie, ale wtedy musiałabym też wymienić nazwisko tego, z kim zgrzeszyłam. Ojciec razem z proboszczem i dyrektorem szkoły ustalili, że ze względu na mój młody wiek i dobro publiczne sprawa nie zostanie nagłośniona.

- Pewnie, im też to było na rękę - sarknął Jack.

- A mnie nie? Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym pokazać się w miasteczku po tym, jak opowiedziałabym o tym, co zrobiłam. Wystarczyło mi, że muszę dalej żyć pod jednym dachem z ojcem.

- A ten twój kochliwy belferek? Co się z nim dalej działo?

- Został w szkole i do końca udawał, że mnie'nie widzi. Po pół roku ożenił się z najstarszą córką miejscowego notabla i kiedy wyjeżdżałam z Pine Hollow, ich czwarte dziecko było w drodze.

- Serio? Nie przyszło mu do głowy, że powinien się wynieść?

- Jak widać, nie.

- A twoja matka? Jak to wszystko zniosła?

- Nie wiem, czy ojciec w ogóle coś jej powiedział. Jeśli tak, nigdy nie dała mi poznać, że coś wie.

- Mój ty biedny aniołku. Potem już nie miałaś nikogo, prawda?

Faith niespodziewanie sięzjeżyła i sztywno usiadła na krześle. Nie lubiła, kiedy się nad nią tak litowano.

- Nie miałam zamiaru wzbudzać w tobie współczucia, Jack. Było, minęło, i lepiej lub gorzej, alejakos sobie z tym poradziłam - oświadczyła. Nie mówiła prawdy. Nadal zmagająca się z poczuciem winy, z przekonaniem, że gdyby tylko naprawdę chciała, mogłaby coś zrobić i nie dopuścić, by sprawy zaszły aż tak daleko. - Opowiedziałam ci całą tę historię tylko po to, byś zrozumiał, że nie jestem niewinną panienką, którą trzeba chronić. Przestałam być niewinna w wieku piętnastu lat. Chyba wcześniej od ciebie, co? - zaśmiała się gorzko.

- Niewinność nie zawsze łączy się z dziewictwem.

- Wiem"- przyznała. Czuła się coraz bardziej zdesperowana. Dlaczego ten człowiek upierał się, by widzieć w niej kruchą, szlachetną istotę? - Chyba zdajesz sobie

sprawę, że tamtego dnia straciłam nie tylko dziewictwo, ale i dzieciństwo. Skończyły się niewinne, dziecięce marzenia. Stałam się dorosła.

- Wepchnięto cię w dorosłość siłą!
- Możliwe. Ale to już się stało. Czasu nie da się cofnąć. - Popatrzyła na Jacka smutnym wzrokiem. - Tak samo jak w przypadku twojego brata.

- O, nie, mylisz się. Tamta sytuacja była zupełnie inna.

- Sama sytuacja, owszem, ale nie odczucia: ból, poczucie winy, wstręt do siebie. - Sięgnęła przed siebie i zanim zdążył się odwrócić, serdecznie ujęła jego dłonie w swoje. - Nikt nie jest doskonały, Jack, i niczyje życie nie jest idealne. Wszyscy mówimy słowa, których potem żałujemy, i robimy rzeczy, których się koszmarnie wstydzimy. Ale nie możemy cofnąć czasu i zacząć od nowa. Możemy tylko nauczyć się żyć z pamięcią naszych słów i uczynków, możemy się starać nie popełniać podobnych błędów w przyszłości.

Patrzyli na siebie przez całe epoki, odmierzane powolnym biciem serc. Jack myślał o wszystkim, co mógłby powiedzieć i co powinien powiedzieć, by przekonać Faith, że to on ma rację, że błędów, które popełnili, nie da się porównać. Była tylko niewinną ofiarą, natomiast on był winien śmierci swojego brata. Później, przez całe lata usiłowała okupić grzech, którego nie popełniła, podczas gdy on zagłębił się jeszcze bardziej w bagnie, nawet nie próbując z niego wyjść. Jednak patrząc na minę Faith, wiedział, że i tak nie przyjmie do wiadomości jego argumentów.

- Jesteś uparta jak mulica z Missouri - prychnął. -
Że też wcześniej tego nie zauważyłem!

Faith obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Bo bierzesz pozory za rzeczywistość, mój panie.
Nie jestem delikatnym kwiatuszkiem. Nigdy nie byłam.

- Taak... - powiedział w zamyśleniu. - Zaczynam
wierzyć w to, że nie jesteś.

scandalous

Rozdział

11

Ponieważ cię kocham...

Kiedy ostatni raz ktoś mu to wyznał? A może nigdy tych słów nie usłyszał? Może od matki, ale mógł tylko przypuszczać, gdyż niczego nie pamiętał. Wiedział, że Eryk go kocha, sam kochał swojego starszego brata. Ani razu jednak nie wspomnieli nic na ten temat. Mężczyźni nie mówią o uczuciach.

Ponieważ cię kocham...

Faith McCray była jedyną osobą w jego życiu, która to powiedziała. Jedyną, której miał ochotę powiedzieć to samo. A jednak nie mógł i obiecał sobie, że nigdy tego nie zrobi. Nie zasługiwał na to, żeby ktoś go kochał, a już zwłaszcza Faith. Ani przedtem, ani teraz nie był jej wart.

Popatrzył na wkręconą w maszynę kartkę, na której właśnie wypisał słowo „koniec”. Pomyślał bez humoru, że udał mu się ten przewrotny finał. Zdołał za jednym pociągnięciem wypełnić zobowiązania wobec nieżyjącego brata i oszukać kobietę, którą kochał.

Wczoraj wieczorem, a właściwie już dziś, odprowa-

dził ją do domu. Szli przez patio w bladym świetle poranka. Faith ze śmiechem protestowała przeciwko takiemu zbytkowi uprzejmości.

- Co mi się może stać w czasie przejścia do mojego mieszkania? Naprawdę, nie musisz odprowadzać mnie aż do samych drzwi.

- Próbuję tylko zachować się jak dżentelmen - wyjaśnił z godnością. - Zresztą - stwierdził, popychając ją w cień - gdybym nie odprowadził cię do domu, nie mógłbym pocałować cię na dobranoc. A muszę ci wyznać, że nigdy nie całowałem na pożegnanie dziewczyny pod drzwiami jej mieszkania.

- Coś mi się wydaje, że są sprawy, w których nie jestem jedyną niedoświadczoną w tym towarzystwie - zażartowała. - Mnie też żaden chłopak nie całował pod drzwiami na pożegnanie - dodała, szukając jego ust.

Ich pocałunki były teraz niespieszne i łagodne. I upajające jak dojrzałe wino. Nie mogli się rozstać, jak nastolatki na pierwszej randce. Wreszcie Jack oderwał usta od warg Faith i rzucił nagłym szeptem:

- Wchodź do środka albo zapomnę o dżentelmeńskich zasadach. No, już!

- Może wcale bym się nie zmartwiła... - powiedziała przekornie, wtulając się w jego ramiona — ...gdybyś o nich zapomniał.

- Aniołku, miej litość nade mną - jęknął. - Jestem o dwadzieścia lat starszy od ciebie i muszę wreszcie iść spać.

- Osiemnaście - uściśliła - a poza tym, moglibyśmy spać razem.

- Nie ma mowy - oświadczył stanowczo. - Wtedy nie miałbym już żadnej nadziei na spokojny sen.

Faith zachichotała, ale puściła go wreszcie.

- Jutro, a właściwie już dzisiaj, przyjdę po ciebie do baru „U Flynnna” w porze, o której kończysz pracę. Tylko zaczekaj na mnie, okay?

- Okay.

Pocałował ją ostatni raz i gdy zamykała za sobą drzwi, odwrócił się szybko, żeby się przypadkiem nie rozmyślić.

Nie pamiętał już, od jak dawna nie odczuwał czegoś takiego. Był po prostu, zwyczajnie szczęśliwy, gdy pogwizdując cicho, z rękami w kieszeniach, wracał wolnym krokiem przez puste korytarze do swojego mieszkania. Po raz pierwszy też od bardzo dawna zaczął z entuzjazmem myśleć o planach na przyszłość/Mogliby się wyprowadzić z Bachelor Arms, gdzie dręczyło go zbyt wiele złych wspomnień, i znaleźć sobie większy apartament w okolicach uniwersytetu, żeby Faith miała blisko na zajęcia. Postarałby się o etatową robotę od dziewiątej do piątej. Mógł zacząć zarabiać pisanie.' Jego reporterskie wspomnienia cieszyłyby się pewnie niezłym wzięciem. Och, zresztą jest tyle rzeczy, które mógłby robić... Ważne, żeby on i Faith byli razem i nie musieli się rozstawać na dłużej niż pół dnia.

Kiedy wrócił do mieszkania, odruchowo, posłuszny nawykowi, poszedł do kuchni, by zaparzyć sobie kawę. Potem z parującym kubkiem w ręku usiadł przy maszynie, by -jak myślał - przegrać kolejną konfrontację z białymi kartkami.

Nagle z ogromną radością położył palce na starej klawiaturze i poczuł, że wreszcie ma ochotę pisać. Wiedział nawet o czym. Scenariusz leżał obok, w pudle. Wystarczy wprowadzić do tego, co jest, trochę poprawek - ale nie te, które chciał wnieść Eryk - a część dopisać. Nie byłyby to więc scenariusz, przy którym sam się dawniej upierał. Miał zupełnie inny, nowy pomysł, który pozwalał pogodzić ustępstwa, których domagał się niegdyś brat, z ambitnym zamysłem, z którego sam nie chciał zrezygnować. Cena była jednak wygórowana - musiał zdradzić zaufanie kobiety, którą kochał.

Miał bowiem zamiar opowiedzieć jej historię, tę, o której tak bardzo chciałaby zapomnieć. On tymczasem chciał właśnie ujawnić ją światu. Oczywiście, przestrzegąłby'zwyczajowych ograniczeń, takich jak zmiana nazwiska, nazwy miasta i szczegółów, które mogłyby umożliwić identyfikację pierwowzoru bohaterki. Tylko Faith wiedziałyby od razu, o kogo chodzi - i to właśnie byłyby największa zdrada. Wszak opowiedziała mu swoją intymną historię w największym zaufaniu, wiedzona uczuciem i potrzebą zwierzeń, on zaś wykorzysta ją jako tworzywo do tekstu na sprzedaż. Jako dziennikarz postępował podobnie, za pieniądze opisywał cudzy ból i nieszczęście. O, tak, Faith znenawidzi go za to.

Wkręcił papier w maszynę i uderzył palcami w klawisze. Pasja pisania okazała się silniejsza. Pracował jak szalenciec przez cały dzień, odrywając się od maszyny tylko z konieczności. A kiedy skończył, pomimo potwornego zmęczenia ogarnęła go radość - gdyż czuł, że napisał najlepszą rzecz w swoim życiu, coś prawdzi-

wego i - co najważniejsze - tworzonego sercem i uczuciami. Zapomniał o dziennikarskim profesjonalizmie i chłodnym dystansie wobec faktów, zawarł w tej opowieści coś własnych uczuć i własnego cierpienia, choć nie on był jej bohaterem.

Po chwili jednak, gdy minęła euforia, wrócił rozsądek, każąc Jackowi zastanowić się, co powinien zrobić dalej ze scenariuszem. W pierwszym odruchu uznał, że należy go spalić, wmawiając sobie, że ważny i oczyszczający był tylko czas twórczej pasji. Wtedy jednak nie spłaciłby ostatecznie długu wobec zmarłego brata. Mógł również po cichu sprzedać scenariusz agentowi i mieć nadzieję, że i tak nigdy nie wejdzie do produkcji. Ale wówczas musiałby ukrywać to przed Faith, a tego by nie zniósł. Zresztą, kto wie, może za ileś lat scenariusz by wypłynął; bo w filmowym biznesie zdarzają się takie rzeczy. Jak wówczas spojrzaliby jej w oczy?

Nie, jest tylko jedno wyjście - musi powiedzieć Faith prawdę, dać jej scenariusz do przeczytania. Lepiej, żeby teraz przekonała się, z kim naprawdę ma do czynienia, potem może już być za późno. I jeśli po tym wszystkim postanowi odejść, on nie będzie miał prawa jej zatrzymać.

Jaka szkoda... Te ostatnie dni były jak piękny sen, pomyślał z ogromnym żalem. Pozwolił na szaleństwo swoim zmysłom i wyobraźni, ale nawet najlepsze historie muszą się wreszcie skończyć. Z tej w każdym razie wynika morał, że dziewczyna taka jak Faith nie powinna się zadawać z mężczyzną w rodzaju Jacka Shannona.

Spiął maszynopis klipsem i włożył do dużej koperty,

na której napisał nazwisko i adres jednego z najbardziej znanych hollywoodzkich agentów. Nie zaklejał jej jeszcze. Dwie przecznicie dalej było ksero czynne całą dobę. Musiał zrobić dwie kopie -jedną dla siebie, drugą dla Faith.

- Jedna koperta wylądowała w skrzynce pocztowej, a drugą niósł pod pachą, wracając do Bachelor Arms z poczuciem ulgi, jakby wypełnił jakąś szczególnie trudną misję. Klamka zapadła. Przez chwilę żałował, że nie zaczekał z wysłaniem scenariusza aż do chwili, kiedy Faith go przeczyta, ale przekbnał sam siebie, że niczego by to nie zmieniło.

Na dziedzińcu natknął się na wychodzącą właśnie Jill Fóyle. Podskoczyła, kiedy powitał ją głośno, nagle wyłaniając się z cienia.

- Rany boskie, człowieku, nie strasz kobiet po nocy!
- zawołała drżącym głosem. - Za chwilę dostałbyś gazem po oczach.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Czy nie jest aby trochę za późno na samotne spacerki? - zapytał, zerkając na nią spod oka.

- Dorabiam po godzinach. Kończę projekt dla pewnej miłej klientki, która ma całe worki pieniędzy, ale za grosz gustu i potrafi postawić jakąś prowincjonalną angielską tandetę i coś w stylu *art decó* razem, na jednej komodzie, wyobrażasz sobie? Jutro rano mam z nią ustalić ostateczną wersję, przygotowałam trzy warianty i stwierdziłam, że muszę skoczyć na koniak do Flynna, żeby się odprężyć, bo inaczej zwiariuję z przepracowania.

- Też się tam wybieram - stwierdził Jack. - Możemy iść razem.

Wprawdzie miał jeszcze trochę czasu, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli zjawi się w barze wcześniej i powie Faith o scenariuszu tam, w lokalu, przy kawie i drinku. Gdyby wrócił z nią do domu, pewnie najpierw poszliby do łóżka, a potem nie mógłby się zdobyć, żeby podsunąć jej maszynopis. Lepiej załatwić tę sprawę bardziej oficjalnie. Przypadkowe spotkanie z Jill nasunęło mu pewien pomysł. Może będzie mógł zrobić coś, co spowoduje, że sprawa scenariusza nie będzie dla Faith już tak bolesna...

Kiedy nie ukrywając niczego, opowiedział jej o śmierci Eryka i swojej winie, nie odwróciła się od niego, wybaczyła mu. Mógł być natomiast pewien, że nie wybaczy mu drugiej kobiety po tym wszystkim, co przeżyli ze sobą.

Jack jedną ręką otworzył drzwi, a drugą objął szczupłą talię Jill. Weszli do środka prawie przytuleni. Zbliżyła się pora zamknięcia i lokal już opustoszał. Paru starych bywalców tkwiło przy drewnianym barze, oglądając wiadomości CNN w małym kolorowym telewizorze. W boksach czuliło się kilka parok. Przy stoliku w kącie samotny mężczyzna powoli sączył piwo. Bobbie-Sue stała przy stanowisku dla kelnerów, gawędząc z Eddim i klientami. Nigdzie nie dostrzegł Faith.

Musi być na zapleczu, pomyślał. Zastanawiał się, czy ma jeszcze czas, żeby się wycofać. W tym momencie Jill uwolniła się z jego objęć i ruszyła w stronę baru, by dołączyć do wesołej grupki.

- Chodźmy do boksu'- powiedział, dosyć bezceremonialnie chwytając ją za łokieć i zwracając w stronę sali.

Jill zerknęła na niego zdumiona, ale posłuchała.

— Masz mi coś ważnego do powiedzenia? ^ spytała, gdy usadowili się za drewnianą ścianką.

- Nie, nic specjalnego - odparł. Odłożył na stół grubą kopertę i pochylił się ku Jill. - Powiedz, co u ciebie?
- zagadnął z uwodzicielskim uśmiechem.

Jill czujnie uniosła głowę i popatrzyła na niego spod grzywy złotych kędziorków.

- Dlaczego pytasz?

Jack wzruszył ramionami, robiąc niewinną minę.

- Czy muszę mieć jakiś po wód?

- Myślę, że tak - odparła z powagą. - Tak, nawet jestem tego pewna.

- A gdybym powiedział, że się za tobą stęskniłem?

- Nie wierzę.

- Szkoda, bo to prawda - powiedział z wymownym westchnieniem i ujął jej dłonie w swoje. - Myślałem o tobie czę... - urwał nagle na widok kelnerki, zmierzającej do ich stolika. - Witaj, aniołku - pozdrowił ją nie-
dbale, nie puszczać dłoni Jill, choć ta bardzo chciała je wyrwać. - Znasz Jill Foyle, prawda? Mieszka w 2B.

- Spotkałyśmy się kiedyś - wtrąciła Jill. - Jak się miewasz, Faith?

- Dziękuję, dobrze. - Faith starała się patrzeć w przestrzeń pomiędzy tymi dwojgiem. - Co mam wam podać?

- Dla Jill - brandy Alexander, a dla mnie jak zwykle - Corona.

Kelnerka skinęła głową i odeszła bez słowa. Dopiero teraz Jill udało się wycofać ręce - tylko dlatego, że Jack już jej nie trzymał.

- Chcę wreszcie wiedzieć, o co tu chodzi - powiedziała podenerwowanym tonem.

Jack wzruszył ramionami.

- O nic, chciałbym tylko wyjaśnić parę spraw.

Jill popatrzyła w kierunku baru, na zgarbione ramiona kelnerki, która szykowała ich zamówienia, a potem wróciła spojrzeniem do Jacka.

- Nie lubię być w ten sposób wykorzystywana - ostrzegła.

- Nawet jeśli działałbym w dobrej sprawie?

- Czyżby? - skrzywiła się sceptycznie. - Jakoś nie mogę uwierzyć w dobre intencje kogoś takiego jak ty.

- To znaczy jakiego?

- Takiego, który gra na całego, żeby zdobyć kobietę i jak najszybciej iść z nią do łóżka, a dalej myśli już tylko, jakby się jej pozbyć. Lesera, babiarza, figo-fago, mam nazywać dalej, czy już zrozumiałeś?

Jack z zakłopotaniem przygryzł wargę, zaskoczony zjadliwością jej ataku.

- Chyba wiem, o co chodzi.

- No, myślę - warknęła i zgarnawszy torebkę, zaczęła podnosić się z miejsca. - Wybacz, Shannon, ale nie mam zamiaru być figurantką w twoim kiepskim przedstawieniu - oświadczyła lodowato.

- Jill, poczekaj. - Chwycił ją za łokieć i siłą przytrzymał. - Proszę, zostań jeszcze chwilę - powiedział błagalnie.

Rozpaczliwa nuta w jego głosie sprawiła, że Jill zawałała się i usiadła. Tym razem jednak trzymała ręce na kolanach, by znów ich nie chwycił. Faith nadchodziła właśnie z zamówionymi alkoholami. Jill obserwowała spod oka to dziewczynę, to mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej.

Z pozoru nic się nie działo. Nie wymienili znaczących spojrzeń, nie padły żadne istotne słowa. Jednak kobiecy instynkt mówił jej, że pod tą spokojną powierzchnią kłębi się burza emocji. Faith postawiła przed nimi napoje i uprzejmie zapytała, czy mają jeszcze na coś ochotę. Jack podziękował i wręczył jej banknot, mówiąc, że nie trzeba reszty. Faith skwitowała napiwek lekkim uśmiechem, wyraziła nadzieję, że będzie im smakowało, po czym odeszła, zręcznie przesuając się pomiędzy stolikami. Jill dziwiła się tylko, czemu łomot serc tych obojga nie rozbrzmiewa jeszcze w całej sali.

- Jesteś w niej zakochany. - To było stwierdzenie, nie pytanie. - Wpadłeś po uszy, Shannon, i nawet nie próbuj zaprzeczać.

- Dobrze, i co z tego? - Jack zdmuchnął piankę z piwa.
- Jak to co? - Jill była uosobieniem kobiecej mądrości.
- Ona też jest w tobie zakochana. Chyba to zauważyłeś? ,
 - Ona tylko myśli, że mnie kocha.
 - Naprawdę uważasz, że tylko tak myśli? Boże, miej w opiece tych durnych samców. - Jill teatralnie uniosła oczy do góry. - Posłuchaj, Jacku Shannonie - pochyliła się ku niemu, patrząc mu uważnie w oczy - myślenie nie ma absolutnie nic wspólnego z tym, co większość kobiet czuje do ciebie, wierz mi. Kiedy ta dziewczyna na ciebie

patrzyła, widać było w jej oczach całą duszę, serce, wszystko, ale nie rozum.

- Cholernie szkoda, że żadna z nich nie raczyła użyć rozumu! - wybuchnął. - A zwłaszcza ona. Gdyby ruszyła głową i trzymała się ode mnie z daleka, tak jak jej mówiłem od początku, nie byłoby tego wszystkiego.

- Chciałeś, żeby trzymała się od ciebie z daleka? Dlaczego?

- Ty mnie pytasz, Jill? Przecież jesteś doświadczoną kobietą. Wystarczy tylko popatrzeć na nią i na mnie.

Jill niezwłocznie spełniła jego prośbę.

- Przystojny jesteś, starszku-powiedziała z życzliwą kpina. Wolała nie dodawać, że jest najbardziej atrakcyjnym i seksownym facetem, jakiego znała. - A ta biedula wygląda nieszczęśliwie.

- To jeszcze dziecko, mała dziewczynka udająca doświadczoną kobietę. Ale jakoś sobie poradzi, jest taka młoda.

- Och, wy, mężczyźni. - Jill z głęboką dezaprobatą pokręciła głową i wstała, szykując się do wyjścia, tym razem ostatecznie. - Lubię cię, Jack, i tylko dlatego zgodziłam się posiedzieć tutaj, uczestnicząc w tym przedstawieniu. Zastanów się, co robisz, bo jeśli nie przestaniesz postępować w ten sposób, zmarnujesz życie i sobie, i tej dziewczynie. Dziękuję za brandy - dodała i wyszła z boksu, zostawiając nietknięty kieliszek.

Jack, obawiając się, że jeśli zostanie sam, załamie się i zacznie prosić Faith o przebaczenie, zostawił nie dokończone piwo i Wybiegł za Jill.

- Mam ochotę skopać tego drania, dać mu w zęby, wydrapać mu oczy, żeby już nigdy nie mógł żadnej omotać - syczała z wściekłością Bobbie-Sue, zaciskając palce zakończone długimi, polakierowanymi na czerwono paznokciami.

Faith nie mogła powstrzymać uśmiechu pomimo łez spływających jej po twarzy.

- Nie denerwuj się, Bobbie-Sue - łagodziła. - Teraz już nie dam mu się zwieść.

- Widzę, że zachowuje się jak zwyczajny, głupi, egoistyczny drań - kipiała wściekłością Bobbie-Sue. - Jak można było przyprowadzić tutaj Jill, wiedząc, że pracujesz! W dodatku sam ci obiecał, że zabierze cię po pracy! W co ten facet gra? Czy on nie ma serca? - Spojrzała na Eddiego, podliczającego rachunki przy barze, oczekując jeśli nie odpowiedzi, to chociaż jakiegokolwiek wyrazu potępienia. Jednak Eddie bardzo pilnie wpatrywał się w rachunki. Oto typowy przykład męskiej solidarności, pomyślała Bobbie-Sue.

- Jack uważa, że nie nadaje się dla mnie - powiedziała Faith płaczkliwie.

- No, przynajmniej w tym ma rację. On ci do pięt nie dorasta, dziewczyno. Ten cholerny, wyrachowany barbarz trzyma cię do czwartej nad ranem, a potem przychodzisz do domu wykończona, ze śladami na szyi i ciętym zachwytem w oczach. A kiedy jak gdyby nigdy nic wparowuje tutaj z inną kobietą, ty potrafisz się tylko popłakać w kącie. Może ona jest w szoku, jak myślisz, Eddie? - znów zwróciła się do barmana jako znawcy życia. Eddie nie miał jednak szansy na zabranie głosu.

- Nie jestem w szoku - szybko wyjaśniła Faith. - Tylko się zdenerwowałam i jest mi trochę przykro, ale mogę zrozumieć, dlaczego on to zrobił.

- Wobec tego ja chyba jestem strasznie tępa, bo żaden rozsądny powód nie przychodzi mi do głowy - prychnęła Bobbie-Sue. - W każdym razie, kochana, nie sprzątaj już dzisiaj. Wszystko za ciebie zrobię, a ty usiądź sobie spokojnie, żebyś mogła ochłonać. Eddie, podwójna whisky dla Faith. Wypij sobie, to ci dobrze zrobi. Idę wytrzeć stoliki.

- Dzięki, Bobbie, ale nie będę siedzieć. I nie rób mi drinka, Eddie - podziękowała Faith. - Muszę o tym wszystkim pomyśleć, a najlepiej mi się myśli, kiedy pracuję. Naprawdę, wszystko jest w porządku - uśmiechnęła się do przyjaciółki, która patrzyła na nią z iście matczyną troską. - Nie trzęście się tu nade mną, tylko puśćcie mnie do roboty.

- Jak dotąd, to tylko ja się trzęsę - zauważyła zgryźliwie Bobbie-Sue, ale nie doczekała się reakcji ze strony Eddiego. - Dobrze, jak chcesz, to bierz ścierkę.

Nie będę się załamawać z byle powodu! - postanowiła w duchu Faith i z pasją trzepnęła moką ścierką w stolik. Może sobie wyglądać na naiwną dziewczeczkę, ale tak naprawdę jest twardą babą. Ludzie muszą to wreszcie dostrzec - a zwłaszcza ten jeden człowiek musi to zrozumieć.

Jeśli Jack sądził, że przestanie go kochać tylko dlatego, że przyprowadził tutaj tę przeintelektualizowaną lalkę i trzymał ją za rączki, to grubo się mylił!

Właściwie nic nie miała do Jill. Wyraźnie było widać,

że posłużył się nią tylko jak pionkiem w swojej rozgrywce. Już prędzej jego rąbnęłaby kelnerską tacą w ten zakuty łeb, żeby wreszcie zaczął myśleć.

W piorunującym tempie czyściła stolik Za stolikiem, z pasją wyzymając ścierkę. Wreszcie dotarła do feralnego boksu i wtedy spostrzegła, że na stole leży duża, wypchana koperta. Nie była zaklejona, a tylko Spięta spinaczem.

Faith przygryzła wargę. Dobre wychowanie nakazywało zwrócić zgubę właścicielowi bez zaglądnienia do środka, ale... na kopercie nie było przecież nazwiska. Odłożyła ścierkę, usiadła i ostrożnie wyciągnęła zawartość koperty. Scenariusz. Nie, dwa scenariusze. A właściwie dwie kopie tego samego scenariusza. Eryk i Jack Shannon, „Kochankowie i nieznajomi” - głosił napis na okładce. Poza tym nie znalazła nic, ani daty, ani numeru telefonu czy adresu. Tylko tytuł i nazwiska autorów.

- Faith, kochana, co...

O mało nie upuściła pliku na podłogę, słysząc głos Bobbie-Sue.

- ...co tam masz?

Faith szybko schowała obie kopie do koperty.

- Scenariusz. Scenariusz filmowy - wyjaśniła krótko, już uspokojona, bo podjęła decyzję. - Jack chciał, żebym go przeczytała i oceniła.

Rozdział

12

Faith przeczytała scenariusz. Po jej policzkach płynęły strumieniem łzy, a całe ciało drżało od spazmatycznego płaczu.

- Boże, dziewczyno, co się stało? - zapytała Bobbie-Sue, wchodząc do sypialni i przecierając oczy. - Co on ci znowu zrobił? - Usiadła na poręczy fotela i objęła ramieniem drżące plecy przyjaciółki. - Powiedz mi!

- Moje życie... - wykrztusiła Faith. - On opisał moje życie.

- Kto? Jack Shannon? A skąd mógł znać twoje życie? No, przestań płakać i powiedz mi wreszcie... albo nie, wypłacz się najpierw, kochana. - Głos Bobbie-Sue złagodniał. Mocniej utuliła Faith i zaczęła kołysać ją jak dziecko.

Dopiero po dobrych kilku minutach Faith uspokoiliła się na tyle, że przestała płakać i usiadła prosto w fotelu.

- Już dobrze? Masz. - Bobbie-Sue podsunęła jej chusteczkę. - Teraz już możesz mi powiedzieć?

- W sumie to nic takiego. - Faith głośno wydmuchała nos.. - Nie ma o o czym mówić.

- Zaraz, zaraz. Nikt z byle powodu nie płacze tak jak ty przed chwilą. Chodzi o scenariusz Shannona?

- Tak.

- Co takiego ten egoistyczny drań napisał o tobie?

- Opowiedziałam mu o czymś bardzo złym, co mi się kiedyś zdarzyło. Przez całe życie uważałam, że zdarzyło się to z mojej winy. Próbowałam jakoś sobie z tym poradzić, przekonywałam samą siebie, że to już przeszłość, coś dokonanego i zamkniętego, co nie ma nade mną władzy. Ale to wracało. A on napisał o tym tak... pokazał... - Twarz Faith rozjaśnił radosny i pełen ulgi uśmiech. - Zrozum, uwolnił mnie, przekonał, że niesłusznie się obwiniałam!

- Teraz dopiero nic nie rozumiem. A twój płacz?

- Nie gniewaj się, ale wytłumaczę ci wszystko później - powiedziała Faith, podrywając się z fotela. - Teraz muszę jak najszybciej powiedzieć to Jackowi.

Nie spał, kiedy zapukała do jego drzwi. Już wracając do domu, zorientował się, że zostawił kopie w barze „U Flynna”. Wiedział, że Faith je znajdzie i przeczyta. Zapewne taki był jego podświadomy zamysł. Przecież już stary doktor Freud twierdził, że nic nie dzieje się przypadkiem.

Dlatego dał jej czas na przeczytanie i czekał. Był pewien, że przyjdzie. Faith należała do kobiet, które podejmują wyzwania i muszą uczciwie wyjaśnić sprawy do końca bez względu na konsekwencje. Dlatego między innymi nie był jej godny. On nie miał w sobie takiej odwagi.

Szedł korytarzem do drzwi powoli, jak na ścięcie. Wiedział, co go czeka. Faith będzie zraniona, urażona, wściekła i nie wybaczy mu zdrady, Podwójnej zdrady. Zdrając sięporzuca. Na zawsze. Zatrzymał sięna chwilę: Musiał zebrać siły, by przyjąć to, co nieuniknione.

- Och, Jack, to jest piękne - zawołała, gdy tylko otworzył drzwi.

Był zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Trwał nieruchomo, patrząc na ślady łez na twarzy Faith. Łez się spodziewał, ale dlaczego mówiła o czymś pięknym?

- Zło, które mi się przydarzyło, zdołałeś przekształcić w coś dobrego i wartościowego. Dziewczyna, o której piszesz, wyrasta ponad swoje nieszczęście i zmagając się z nim, staje się silna. Ta historia jest taka... - urwała, przyciskając kopertę do piersi jak skarb - no, po prostu jest piękna.

Jack wreszcie ocknął się z otępienia i znów zaczął być sobą. Chwyił Faith za ramię i wciągnął za próg. Gdy tylko czuł się niepewnie albo bał się, że zawładną nim emocje, zachowywał się agresywnie.

- Mów, o co ci, do licha, chodzi - burknął, wpychając ją do salonu i bezceremonialnie sadzając na kanapie.

- No, mów - ponaglił.

- Zakochałam się w tym scenariuszu - powiedziała, patrząc mu w oczy z autentycznym podziwem. - Przeżywałam każde słowo, niemal każdą sylabę.

Jack potrząsnął głową jak ktoś, kto budzi się z długiego uśpienia.

- Oszalałaś?

- Jak to?

— Do cholery, czy nie widzisz, że cię oszukałem? Wykorzystałem twoje najbardziej osobiste zwierzenia, zaufałaś mi, a ja cię haniebnie zawiodłem!

- Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz... - Teraz Faith była zmieszana. Nagle pojęła. - O, nie, Jack! - Szybko rzuciła kopertę na stolik i podeszła do niego, wyciągając ramiona. - Jak możesz uważać, że opisanie mojej historii jest nieuczciwością wobec mnie? - spytała drżącym głosem, ujmując jego dłonie w swoje. - Kiedy czytałam, czułam się... czułam się w jakiś sposób oczyszczona. Zupełnie jak gdyby ktoś zmył ze mnie tę skazę wstydu i winy.

— Nigdy nie byłaś niczemu winna - uniósł się, wściekły na Faith, że jeszcze potrafi mówić takie rzeczy. - Nigdy, pamiętaj!

- Wiem, Jack. Ale dopiero teraz, po przeczytaniu twojego tekstu zrozumiałam to naprawdę. Wcześniej rozum podpowiadał mi, że niepotrzebnie się oskarżam, ale jakaś częśćka mnie niezmiennie trwała w przekonaniu, że gdybym była inną, lepszą osobą, rozważną, odpowiedzialną, myślącą czy o silniejszym charakterze, gdybym reagowała inaczej - nic podobnego by się nie zdarzyło.

- Nie ma sensu tego roztrząsać - stwierdził stanowczo. - Naprawdę winni są ludzie, którzy powinni dbać o ciebie i chronić cię przed złem. Cokolwiek byś zrobiła, nie zmienia to faktu, że to oni karygodnie zaniedbali swoje obowiązki. - Troskliwym i czułym gestem odgarnął kosmyk włosów opadający jej na twarz i otarł ostatnią łzę. - Zapamiętaj, to nie ty byłaś winna, tylko oni.

- Teraz już naprawdę o tym wiemy - szepnęła i ufnie

jak dziecko przyłgnęła mokrym policzkiem do wierzchu jego dłoni.

- Och, aniołku - wzruszenie niemal odebrało mu głos. - Pokonałaś mnie. Dlaczego nigdy nie mogę przewidzieć, jak zareagujesz?

- Może dlatego, że traktujesz mnie nie jak osobę z krwi i kości, tylko jak zjawisko, które sobie wyśniłeś. A ja jestem sobą, Jack, po prostu sobą. Mam swoje zdanie, może nie zawsze słuszne, i swoje cele, do których będę dążyć, bo tak chcę. Musisz się po prostu do tego przyzwyczaić.

- Czy to znaczy, że jeszcze mam u ciebie szansę?
- zapytał nieśmiało.

- A chcesz ją mieć?

- Tak - powiedział cicho. Wreszcie się odważył! Przekroczył ten mur, który wznosił między sobą a światem. - Tak, chcę - powtórzył głośno i pewnie. - Tylko nie wiem, czy na tę szansę zasługuję, bo przecież...

- Natychmiast przestań! - Faith omal nie skoczyła mu do oczu. - Nie chcę już nigdy słyszeć ani o wieku, ani o doświadczeniu, ani o winie! - Pogroziła mu palcem ze srogą miną. - Jesteś dobrym człowiekiem, Jacku Shannonie, przyjmij to wreszcie do wiadomości! Cudownym, wrażliwym, uczciwym człowiekiem. I w żadnym razie nie jesteś odpowiedzialny za śmierć brata. Słyszysz? Nie jesteś - powtórzyła dobitnie. Ujęła jego twarz w dłonie i zmusiła, by popatrzył jej w oczy. - Eryk wyskoczył sam. Sam się zabił - powiedziała powoli.

Jack uchwycił przeguby Faith i odsunął jej ręce.

- Zabił się po tym, jak wykrzyczałem mu, że nie ma

talentu. Ja go popchnąłem do samobójstwa. - Tyle razy powtarzał to sam sobie w chwilach dręczących wspomnień, aż nabrało siły dogmatu.

- A to, co powiedziałaś o jego talencie, czy to była prawda?

- Już raz mnie o to pytałaś.

- I nie odpowiedziałeś mi. Więc?

- Tak - przyznał niechętnie. - Nie miał za grosz talentu.

- Czy naprawdę sądzisz, że dowiedział się o tym dopiero od ciebie? - dociekała z łagodną nieustępliwością.

- Czy myślisz, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego młodszy brat jest o wiele zdolniejszy?

Jack patrzył na nią, jak gdyby objawiła mu rewelację. Rzeczywiście, przez lata opierał swoją ocenę wydarzeń na założeniu, że Eryk o tym nie wiedział. Dopiero Faith zdołała mu uświadomić, że możliwe jest inne podejście.

Dostrzegła wahanie w jego wzroku i nie zmarnowała szansy.

- Większość ludzi dokładnie zna swoje możliwości, choć niewielu się do tego przyznaje - ciągnęła pospiesznie. - Powiedziałaś, że Eryk chciał, abyś napisał mu szkic scenariusza, pamiętasz? I twierdził, że postara się, aby został jak najszybciej kupiony. Dlatego wydaje mi się, że zdawał sobie dokładnie sprawę, jakie są jego możliwości, i od razu zrezygnował z bardziej ambitnych pomysłów, stawiając na czystą komercję. Pewnie kiedy tamtego wieczoru nazwał go beztalenciem, wcale nie był zaskoczony - a przynajmniej nie na tyle, żeby z tego powodu pomyśleć o samobójstwie/Musiał mieć jakieś

inne problemy, Jack, o których nic nie wiedziałeś. Wspominałeś, że tego lata był ciągle na obrotach, pił, bawił się i sięgał po trawkę. Może coś go gryzło i za wszelką cenę chciał o tym zapomnieć? Może była jakaś kobieta, mogło się coś dziać w pracy - przecież wiesz, jakie są stosunki w studiach filmowych. Kto wie? Może złożyło się kilka przyczyn? Nigdy nie będziesz wiedział na pewno, co go do tego popchnęło. Zabrał swoją tajemnicę do grobu. W każdym razie, ludzie nie popełniają samobójstwa z byle powodu. Myślenie, że Eryk mógł wyskoczyć przez okno tylko dlatego, że powiedziałeś mu coś, o czym i tak sam wiedział, jest... - przez chwilę szukała słowa - ...jest z twojej strony przejawem czystej arogancji.

- Arogancji?

- Tak, dobrze usłyszałeś, arogancji, Kłóciłeś się z bratem - to się zdarza każdemu rodzeństwu. Zrobiłeś kąśliwą uwagę - a pokaż mi kogoś, kto tego choć raz nie zrobił. Ale upieranie się, że po jednym twoim słowie ktoś mógł skoczyć przez okno, to już naprawdę szczyt arogancji i egocentryzmu, nie uważasz? - Z dezaprobatą pokręciła głową. - Naprawdę, Jack, nie jesteś odpowiedzialny za cały świat. I nie masz wpływu na wszystko. Jesteś odpowiedzialny tylko za siebie.

Ciągle jeszcze stał nieruchomo, trzymając jej przeguby w kurczowym uścisku.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób - powiedział w końcu, powoli dobierając słowa. - Kiedy Eryk zginął, czułem się odpowiedzialny za jego śmierć. I tak cholernie winny. Prosił mnie, żebym coś dla niego zrobił,

a ja nie chciałem. Po tym wszystkim, co oh Zrobił dla ninie! Zawiodłem go. A kiedy umarł, nie mogłem już w żaden sposób naprawić błędu. Dosłownie katowałem się poczuciem winy i przez dwadzieścia pięć lat nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

- Nie uważasz w takim razie, że pora wreszcie przestać? Wybaczyłeś mi moją przeszłość, a teraz wybaczyć sobie swoją.

- To nie to samo, Faith. Ty byłeś niewin...

- To jest dokładnie to samo; różnią się tylko szczegóły. — Choć trzymał ją za przeguby, gwałtownie wczepiła się w jego koszulkę, szarpiąc ją z zapamiętaniu. Czowała, że musi się spieszyć, bo minie ulotna chwila wahania i Jack znów zasklepi się w swoim cierpieniu. - Byłeś młody, niedoświadczony, prawie dziecko, zupełnie jak ja - mówiła gorączkowo. -I wydarzyło się coś strasznego. Nie było w tym twojej winy, ale czułeś się winny i odpowiedzialny, bo tak właśnie myślą dzieci, gdy im albo ich najbliższym zdarzy się coś złego. Ale minęło ćwierć wieku, więc nie jesteś już małym chłopcem, Jack. Musisz odpuścić sobie tę winę. Musisz!

Stali nieruchomo. Mijały dręczące sekundy. Pozostała tylko nadzieja.

Aż wreszcie coś drgnęło w nieruchomym spojrzeniu > mężczyzny.

- Może... - zaczął z wysiłkiem, jakby zrzucał z siebie ciężar dwudziestu pięciu lat udręki - ..może rzeczywiście powinienem przemyśleć to od nowa.

W tym momencie wiedziała już, że wszystko będzie dobrze. Ziarno zwątpienia zostało posiane w duszy Ja-

cka Shannona i zaczęło zapuszczać korzenie. Faith głęboko zaczerpnęła powietrza i z ogromną ulgą oparła głowę na piersi mężczyzny.

Jack musnął ustami jej włosy.

- Powiedz, co mam z tobą zrobić, aniołku? - szepnął, przepełniony szczęściem.

- Kochać mnie - powiedziała z nadzieją.

Uśmiechnął się i zaczął ją całować. Ich wargi zetknęły się, jakby pieczętowały uroczystą i czułą umowę, zamykającą przeszłość. Umowę, która pozwalała im razem wkroczyć w nowe życie. A kiedy Jack oderwał usta od warg Faith, uśmiechnął się jeszcze raz. Puścił jej przeguby i znanym już obojgu gestem ujął jej twarz w dłoń.

- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz, aniołku?

- Co mam ci wybaczyć?

- Wszystko: moją głupotę, gruboskórność, ból, jaki ci zadałem, idiotyczne przedstawienie, jakie urządziłem z Bogu ducha winną Jill - wyliczał bezlitośnie.

- Rzeczywiście, to było idiotyczne. Na drugi raz daj sobie spokój z takimi pomysłami.

- Faith, już nigdy tego nie zrobię. Nigdy!

- Myślę, że należą mi się formalne przeprosiny.

- Mów, co mam zrobić - paść na kolana, włożyć włosienicę, kupić ci najpiękniejsze kwiaty?

— Dobrze już, dobrze, wystarczy zwykłe „przepraszam”.

- Przepraszam! Przepraszam cię za to, że zachowałem się jak dureń.

- Myślę, że powinieneś również przeprosić Jill.

- Już to zrobiłem. Wyraziła nadzieję, że każesz mi trochę odcierpieć, zanim przyjmiesz mnie z powrotem.

- Uważasz, że powinnam cię podręczyć?

- Za późno, kotku. Już mnie przyjąłeś.

- Ja chyba straciłam rozum, naprawdę - zamruczała rozkosznie jak kotka, zarzucając mu ramiona na szyję;

- Ale póki pamiętam, powinieneś przeprosić też Bobbie-Sue.

- Z a co znowu?

- Jeśli tego nie zrobisz, da ci w zęby, bo jesteś draniem bez serca. Tak mi obiecała.

- Jedno się tylko zgadza: rzeczywiście jestem bez serca, bo oddałem je tobie, aniołku - stwierdził z niekłamana satysfakcją.

- Och, Jack. - Faith promieniała ze szczęścia, choć nie było to jeszcze prawdziwe wyznanie miłości, które chciałyby usłyszeć. Wiedziała jednak, że usłyszy je wkrótce. - Jack - szepnęła znowu i uniosła głowę do pocałunku.

Teraz całowali się z pasją i zapamiętaniem. Oboje drżeli z powstrzymywanej napiętności. Już po chwili Jack porwał Faith w ramiona i zaniósł do sypialni, niczym pirat unoszący świeżo zdobyty skarb.

Czuł się lekko, radośnie. Faith wpadła w ten sam nastrój, więc baraszkowali po łóżku, śmiejąc się i żartując. W pewnym momencie ich oczy spotkały się i nagle zniechęceni, zapatrzeni w siebie, jakby ktoś rzucił na nich urok. Jack pochylił się nad Faith i pogładził ją po twarzy drżącą ręką.

- Aniołku, przecież ja cię kocham, wiesz? — powie-

dział głosem nabrzmiąłym wzruszeniem. Tak cudownie wymawiało mu się te słowa, że chciałby je powtarzać co chwila. - Kocham cię. Kocham...

W oczach Faith zabłyśły złote iskierki.

- Ja też cię kocham, Jack - powiedziała z prostotą.

- Nikt nie będzie cię tak kochał jak ja - obiecał solennie. - Różnica wieku ani doświadczeń nie ma znaczenia. Byłaś mi przeznaczona, aniołku, od zawsze. I teraz wreszcie jesteś moja. Tylko moja.

- Tak, Jack, jestem twoja. Tylko twoja.

Wiedzeni jednym odruchem wstali i nie odrywając od siebie wzroku, zaczęli się rozbierać. Po chwili stanęli nadzy, twarzą w twarz.

- Obiecuję, że będę zawsze cię kochać - przysiągł Jack, uroczyście kładąc dłonie na ramionach Faith.

- Obiecuję, że będę zawsze cię kochać - powtórzyła jak echo, opierając mu dłonie na piersi.

Uśmiechnęli się do siebie jak nowożeńcy, którzy złożyli już ślubowanie i odchodzą od ołtarza. Najpierw spotkały się ich gorące wargi, piersi, brzuchy i uda. Złączyli się ze sobą szybko, niecierpliwie, zaborczo.

Mężczyzna wziął w posiadanie swoją kobietę. Kobieta przyjęła w siebie swego mężczyznę.

Byli partnerami. I w życiu, i w miłości. Razem przeżywali lot ku rozkoszy. Razem zawirowali w oszałamiającym, jaskrawym kalejdoskopie, w jaki zamieniły się czas i przestrzeń.

Słońce było już wysoko na bezchmurnym niebie, gdy Jack cicho wysunął się z łóżka, by zrobić kawę. Przechodząc przez salon, miał dziwne wrażenie, jakby tafla wiel-

kiego lustra zafalowała nagle. Przystanął, zerknął w nie i znieruchomiał.

Zamiast odbicia nagiego faceta, zmęczonego miłosnymi zmaganiem, zobaczył piękną czarnowłosą kobietę w długiej białej sukni. Właściwie nie był przestraszony ani zdumiony. Czyżby podświadomie się jej spodziewał? Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę tak przenikliwie, jakby chciała wejrzeć mu w duszę, a potem uśmiechnęła się i nim zniknęła, z satysfakcją skinęła głową. Jack zrozumiał natychmiast i bez żadnych wątpliwości, że ziściło się jego najskrytsze marzenie. Był kochany.

I kochał.

Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat był naprawdę bezgranicznie szczęśliwy. A wszystko to zawdzięczał kobiecie, która spała spokojnie w jego łóżku. Swojej kobiecie.